

„ORZEŁ BIAŁY“
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)
Septembre 1967

B.D.I.C.

ORZEŁ BIAŁY

WRZESIEŃ

1967

Nr 38/1185



SYRENA

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

Cena 3/6
\$ 0.50; 2.50 F.



Święto Żołnierza

Ponieśli dalej
sztandary,

Poszli dalej
z bronią
w rękę.

Słowacki: KSIĄDZ MAREK



FP 2156

W NUMERZE :

A. J. Dąbrowski: W rocznicę „Bitwy Warszawskiej“	1
Z. Stahl: Lato nie osłabiło działań ani nastrojów wojennych	2
R. Fajans: Gdyby de Gaulle chciał mniej przemawiać	4
K. Glabisz: Czerwona Armia od kuchni	6
Z. Grabowski: Mordercy są wśród nas	8
J. Adamski: Polityka państwowych wydawnictw książek	10
M. Tomkiewicz: Quo vadis biedny świecie?	12
A. Stambrowski: Nic nowego pod słońcem	13
F. Goldschlag: Wyprawa w nieznanie	16
Walne Zgromadzenie Instytutu Badań Krajowych	19
M. Wilczewska: Z Kazachstanu do domu	20
M. Paszkiewicz: Pocałunek kamienia	22
H. Jankowska: Nad kopułą Józefa Bema	24
J. Żmigrodzki: Książka o Lelewelu	26
Dr Michał: Bóle głowy	28
J. Pększye: Drzewiej	29
K. Schleyen: Prawo pierwszeństwa	31
J.O.N.: „Śluby Panieńskie“ w „Syrenie“	32
Kage: Kronika wojskowa	33
Z życia polskiego	34
J. Ostr.: Notatnik kulturalny	35
Przeważnie dla pań	36
P. Hęciak: Samobójcy sportowi	37
T. Z. Sychowska-Czarlińska: Śp. Łodzia Kupczyńska-Skrzywanek	38
Śp. Aleksander Bregman	39
Świat się śmieje	40

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

Zbigniewa Grabowskiego

OJCZYŻNA EUROPA

Niezwykle interesująca książka o 14 krajach kontynentu europejskiego. Wizerunek Europy powojennej, skreślony przez wrażliwego obserwatora, podróżnika, doskonałego znawcę jej historii i kultury.

Cena: £ 2.10.0

Str. 484

S k ł a d g ł ó w n y :

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.,
20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

Do nabycia w księgarniach polskich.

WÓDKI I LIKIERY NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI

J. A. BACZEWSKI

Lwów

1782

Wiedeń

Wiśniówka — Krupnik — Starka — Wiśniak
Jarzębiak — Malinowa — Tea Rum — St. Bernhard

Importowane przez:

PODOLIA COMPANY LIMITED

Zamówienia kierować do:

PODOLIA CO. LTD. — 159, Waterloo Street,
Oldham, Lanc's. Tel.: 061 MAI 4626

lub do:

J. A. BRUCE & CO. — 9, Lenthal Place,
London, S.W. 7. Tel.: 373 5808

Żądać wszędzie

Ceny przystępne

LISTY DO REDAKCJI

„W PRZYPISKU JAK PIŁAT W CREDO“

Szanowny Panie Redaktorze,

Staraniem Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku i Londynie ukazał się tom zebranych wypowiedzi gen. Kazimierza Sosnkowskiego pt. „Materiały Historyczne“. Książkę zaopatrzył przypisami płk Józef Matecki.

W przypisku na str. 386—387 czytelnik znajduje informacje o konferencji w Waszyngtonie z udziałem ambasadorów polskich przy Watykanie, w Turcji, w Hiszpanii, na Kubie i w Libanie, uplanowanej przez gen. Sosnkowskiego na dni 19—22 lutego 1953 r., a pomyślanej jako środek zaktualizowania zagadnień polskich na terenie Stanów Zjednoczonych w okresie obejmowania władzy przez nową administrację amerykańską i głoszenia przez nią „polityki wyzwolenia“. Gen. Sosnkowski —

czytamy dalej w przypisku — zdając sobie sprawę, że konferencja będzie miała znaczenie wówczas, jeśli będzie wyrazem całości polskiej emigracji politycznej, zaprosił do współdziałania w tej konferencji poza przedstawicielami ówczesnego rządu gen. R. Odzierżyńskiego — również przedstawiciele ówczesnej Rady Politycznej w osobach A. Ciołkosza i J. Zdziechowskiego. Żalony koniec imprezy — czytamy dalej — był spowodowany przez oświadczenie z jednej i drugiej strony, żądające wyłączenia. Konferencja do skutku nie doszła.

Pragnę stwierdzić, że o rzekomym zaproszeniu mnie do udziału w planowanej przez gen. Sosnkowskiego konferencji dowiedziałem się po raz pierwszy dopiero z

(Dokończenie na przedostatniej stronie okładki)

L AT TEMU 47, w dniu 16 sierpnia 1920 roku, zaczął się o świcie ostatni akt wielkiej Bitwy Warszawskiej, która zadecydowała o losach naszego państwa, narodu, Europy, a nawet i świata, przynajmniej na lat prawie dwadzieścia. W dniu tym wyszła znad rzeki Wieprz ofensywa grupy uderzeniowej, dowodzonej osobiście przez Wodza Naczelnego armii polskiej, Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Są tacy, którzy porównują zwycięstwo pod Warszawą z innymi wielkimi tryumfami w naszej historii militarnej, jak Wiedeń czy Grunwald, starając się sklasyfikować ich kolejność pod względem wielkości. Historia nie zna żadnej miary bezwzględnej dla oceny zwycięstw, bo o ich wadze decydują ich skutki. Wiedeń nie przyniósł nam zysków bezpośrednich, wypadł zresztą u samego końca naszej siły militarnej i był ostatnim błyskiem chylącej się ku upadkowi Rzeczypospolitej; Grunwald, mimo że w stosunku do wielkości zwycięstwa, dał nam minimalne, bezpośrednie rezultaty, wydał jednak w pełni swoje owoce w pół wieku później. Natomiast zwycięstwo pod Warszawą uchroniło naszą młodą państwowość i nasz naród od losu, który je spotkał, niestety, w 19 lat później — zaborów, martyrologii, rządów narzucanego obcego systemu, utraty niepodległości. Było ono kompletnym odwróceniem dramatycznej sytuacji — pochodu bolszewickiego na Wisłę i dalej na zachód — gdy wydawało się, że wszystko stracone, rozbiło wroga głoszącego już, że Warszawa wzięta i to tak skutecznie, że ponowna próba bolszewicka opanowania kraju pozwoliła na odniesienie następnego świetnego zwycięstwa w bitwie nad Niemnem, przy końcu września, które przyniosło nam pokój.

Wiele elementów uczuciowych łączy się z bitwą pod Warszawą, której punkt szczytowy wypadł w dniu 15 sierpnia — święta Wniebowzięcia Matki Boskiej i stąd zdobył sobie również miano „Cudu nad Wisłą“, jako wyraz głębokiej wiary. Ale zwycięstwo nasze w Bitwie Warszawskiej, będące owocem myśli polskiej i odniesione tylko polskimi rękami, miało i ma o wiele głębsze znaczenie, bo europejskie, światowe, ogólnoludzkie. Było bowiem zwycięską obro-



BIATY WARSZAWY

B.D.I.C

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

Nr 38/1185

WRZESIEŃ, 1967

Rok XXVI

W ROCZNICĘ BITWY WARSZAWSKIEJ

na Europę i świat, kultury zachodniej przed najazdem czerwonego barbarzyństwa, powstrzymaniem i odwróceniem azjatyckiego potopu. Był ktoś, kto nie wahał się nazwać tego na wskroś polskiego tryumfu OSIEMNASTĄ DECYDUJĄCĄ BITWĄ W DZIEJACH ŚWIATA. Był to, o dziwo — Anglik i to dyplomata! Nazywał się Edgar Vincent wicehrabia d'Aberton, który przeżył te wielkie dni naszego zagrożenia i naszego zwycięstwa w Warszawie i pozostawił książkę pod takim właśnie tytułem.

Niestety, na tym się skończyło. Świat nie chciał zrozumieć znaczenia zwycięstwa polskiego pod Warszawą. „Gesta Dei per Francos“ liczyły się tylko, wszystko inne działo się gdzieś na peryferiach świata i nie było ważne. Nawet po ten nasz laur zwycięski sięgali i sięgają jeszcze Francowie.

Słabość Rzeczypospolitej, chylącej się do upadku w XVIII stuleciu, objawiła się silnie w dezorganizacji i zwyrodnieniu jej instytucji wojskowych. Nie pomogły zrywy między rozbiorami, ani chęci naprawy politycznej i społecznej Polski. Po upadku państwa pozostały tylko powstania. Pierwsze z nich, zwane Listopadowym, miało świetnego żołnierza, walczącego znakomicie i z zapalem, ale zabrakło wśród przywódców wiary w powodzenie, a co za tym idzie — woli zwycięstwa. Powstaniu Styczniowemu nie brakowało na pewno woli, ale brakowało mu siły.

Bitwa pod Warszawą, była narodowym cudem zgrania woli zwycięskiego Wodza i mas żołnierskich, dając tak świetne i decydujące zwycięstwo.

A jednak... w 19 lat później, przeżyliśmy straszny wrzesień, 1939 r.

Cóż więc się stało? Czy zabrakło woli i zapалу do obrony kraju i wolności?

Niestety, jednym z najtragiczniejszych aspektów września 1939 roku był fakt, że nie brakowało ani woli walki, ani ludzi do obrony. Kto przeżył i pamięta te czasy ten wie jak było wiele zapалу do walki, jak wiele ofiary w obronie kraju, jak wierzone w słuszność sprawy, sprawiedliwość dziejową, pomoc ze strony sprzymierzeńców. Ale wola i ofiarność zostały złamane siłą, a nowocześni Frankowie zamknęli się za swoimi murami i fosami, rzucając na wysunięty szaniec naród polski, który jak ongiś był ich puklerzem od wschodu, tak teraz miał skierować swoje okopy na zachód. Zapomniano czy wolano nie pamiętać, że jeszcze nie zniknęły stare szanice wiekowe i te z 1920 roku, chroniące nas i Franków od wschodniej ściany.

Dzisiaj, chociaż zmiążdżeni drugą wojną światową, powinniśmy pamiętać więcej niż w czasach wolności o naszej Osiemnastej Decydującej Bitwie w Dziejach Świata pod Warszawą 1920 roku, która stała się na zawsze Świętem Żołnierza polskiego, obchodzonym co roku w dniu 15 sierpnia.

Adam J. Dąbrowski

NA wiosnę zwrócono w tej rubryce uwagę, że dawno nie było tylu ognisk wojny gorącej i tak poważnych obaw o III wojnę światową, jak w roku obecnym. Teraz, na progu jesieni możemy jedynie powtórzyć to stwierdzenie, ponieważ miesiące letnie nie przyniosły, ani zahamowania działań, ani uspokojenia nastrojów wojennych.

Na Środkowym Wschodzie kilkodniowe walki między Izraelem a Arabami zakończyły się rozejmem, ale żadna ze stron się nie rozbroiła i do zawarcia pokoju nie widać nawet jeszcze wytyczonej drogi. Co gorzej, pokonana strona arabska otrzymuje już nowe dostawy broni od Sowietów, flota ich stoi w portach Egiptu, a sowieccy instruktorzy zabrali się do szkolenia egipskiej kadry wojskowej. Powstała sytuacja, która nie jest „ani wojną, ani pokojem” — według porewolucyjnej dewizy bolszewickiej — i w każdym razie nie wóży temu obszarowi świata nic dobrego. Oprócz zawieszanej w ten wątpliwy sposób wojny izraelsko-arabskiej, ma jeszcze półwysep Arabski stojące naprzeciw siebie armie, republikańską i monarchiczną w Jemenie, a w Adenie nieustanne zamachy i strzelaniny rewolucjonistów arabskich przeciw Brytyjkom.

Równocześnie toczy się w dalszym ciągu i coraz wyższym stopniu „eskalacji” wojna wietnamska, mnożą incydenty na pograniczu chińskim, a wewnątrz Chińskiej Republiki Ludowej rozgrywa się walka wewnętrzna między „kulturalnymi” gwardiami czerwonymi Mao-Tse-tunga, a rosnącymi w siłę przeciwnikami tegoż starzejącego się „numeru pierwszego”. Nie mają również spokoju inne kontynenty. Na afrykańskim „czarnym lądzie” wojna domowa rzucała przeciw sobie główne szczepy Nigerii, zdawało się przed kilku laty, najlepiej uporządkowanego kraju ekskolonialnego i ponadto powróciły krwawe zamieszki do Konga, którego najwybitniejszy banita, Czombe, porwany został tymczasem i osadzony w więzieniu algerskim.

Podminowaną wreszcie od dawna sytuację wewnętrzną państw Ameryki Łacińskiej trzeba tym bardziej uważać za zapalną, że na Kubie pod przewodnictwem dr. Castro w początku sierpnia br. obradowała „Organizacja Solidarności Ameryki Łacińskiej”, kryjąca pod tą niewinną nazwą międzynarodowy rewolucyjno-komunistyczny spisek przeciw rządowi większości państw tej części świata i widzący w Stanach Zjednoczonych głównego wroga.

Londyński „The Times” przestrzegał ostatnio w jednym ze wstępnych artykułów pt. „Za wiele wojen”, których wyliczył aż siedem, aby mocarstwa, zwłaszcza Rosja oraz Ameryka, nie in-

ZDZISŁAW STAHL

Lato nie osłabiło działań

terweniowały w regionalne konflikty, ponieważ może to grozić konfliktem światowym. Wypada stwierdzić, że wspomniana rada wielkiego dziennika angielskiego okazać się musi, albo nie skuteczna, albo nie dobra. Nie skuteczna w stosunku do Rosji Sowieckiej, ponieważ rewolucyjny komunizm międzynarodowy jest nieodłącznym oraz istotnym współczynnikiem jej potęgi. którego się z pewnością nie zechce wyrzec. Wszelkie więc konflikty regionalne — jeśli ich nawet pośrednio czy bezpośrednio nie wywołała — Moskwa będzie zawsze uważała za wodę na swój młyn. Ta sama rada nie jest dobra w stosunku do Stanów Zjednoczonych, ponieważ brak reakcji na regionalne ogniska zapalne z ich strony grozić będzie w konsekwencji aktywności międzynarodowego komunizmu bezpieczeństwu ich samych, a dalej całemu wolnemu światu.

„DUCH GLASSBORO” BYŁ DOBRĄ MINĄ DO ZŁEJ GRY

Po dwukrotnym spotkaniu prez. Johnsona z Kosyginem w małej miejscowości na New Jersey, zaczęto pisać w Stanach Zjednoczonych o „duchu Glassboro”, którą to nazwę miejscowość owa nosi. Roztaczano przy tym normalne, optymistyczne nadzieje, że ten duch oznacza nowe porozumienie Waszyngtonu z Moskwą, nawrót do koegzystencji pokojowej i przede wszystkim możliwości zakończenia — za pośrednictwem sowieckim — wojny wietnamskiej. Próbowano równocześnie nie przyjmować do wiadomości tych wszystkich przykrych i wrogich rzeczy, jakie o polityce amerykańskiej powiedział Kosygin z trybuny ONZ lub na konferencji prasowej, a rozwodzono się nad rzekomymi zaletami osobistymi sowieckiego premiera i obliczano ile razy racy był się na amerykańskiej ziemi uśmiechnąć.

Równocześnie z tymi dobrymi minami prasy, robionymi do złej gry rzeczywistości, znane nastroje taniego optymizmu zaczęły się w Stanach Zjednoczonych odradzać, a popularność prez. Johnsona równolegle odrabiała stracone w ciągu kilku poprzednich miesięcy punkty. Sukcesy jednak na tak kruchych podstawach oparte są krótkotrwałe i rychło zaczął się proces odwrotny. Porozumienie amerykańsko-sowieckie objęło bowiem tylko uchwały ONZ, dotyczące tymczasowych załatwień wojny izraelsko-arabskiej, czyli zawieszania broni, żegluga wzdłuż brzegów sueskich i ekipy obserwatorów na liniach, rozgrani-

czających siły zbrojne obu stron. Wbrew plotkom zawodowych „koegzystencjalistów” nie dotknęło ono natomiast istoty sporu. Sowiety przystąpiły natychmiast do zaopatrywania Egiptu w wojenny sprzęt, celem zastąpienia poniesionych w wojnie przez Nassera strat i poparły stanowisko, uniemożliwiające w praktyce bezpośrednie rokowania z państwami arabskimi.

Optymizm amerykański otrzymał też niedługo dodatkowy cios z najdrażliwszej obecnie dla społeczeństwa Stanów Zjednoczonych strony, mianowicie — wietnamskiej. Jak okazało się, rozmowy z Kosyginem nie tylko nie doprowadziły do żadnego odprężenia na terenie płd. wschodniej Azji, lecz Waszyngton zmuszony został do dalszej „eskalacji” wojennej. Po lipcowych naradach w Białym Domu z dowódcą amerykańskich sił zbrojnych w Wietnamie, generałem Westmorelandem prez. Johnson musiał mu obiecać dostanie w najbliższych miesiącach 45 tysięcy ludzi do dotychczasowej liczby 465 tysięcy. Równocześnie poważna prasa amerykańska zapowiada, że do końca roku 1968 spodziewać się należy dojścia liczby tychże sił na obszarze Wietnamu do 550 tysięcy. Dla pokrycia zwiększonych kosztów prez. Johnson zwrócił się też 3 sierpnia br. do Kongresu o 10-procentową podwyżkę podatku dochodowego, co podkopało jeszcze bardziej jego popularność. Ostatnie jej gallupowe obliczenia podają, że liczba zwolenników polityki LBJ spadła do zaledwie 39%.

Tuż po tym wreszcie, doniesiono z Wietnamu o nowym rozszerzeniu strefy amerykańskich bombardowań. Wpierw więc usłyszeliśmy o zniszczeniu mostu, odległego tylko 8 km. od centrum Hanoi, a następnie równie ważnego komunikacyjnie mostu pod m. Langson, położonego zaledwie o 16 km. od granicy chińskiej. Na takie zbliżenie bombardowań do obszaru ChRL zezwolił podobno LBJ w przeświadczeniu, że pogrążone w chaosie walk wewnętrznych komunistyczne Chiny nie są teraz zdolne do poważnej reakcji.

MOSKWA UJAWNIA SWOJE CELE NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

Według początkowych informacji zachodnich korespondentów w Moskwie, których źródła są zresztą wątpliwej wartości, błyskawiczna klęska Arabów wywołała opozycję w Politbiurze w stosunku do całej polityki angażowania się na Śr. Wschodzie i popierania państw arabskich. Wysłannikami Kremla do

ani nastrojów wojennych

B.D.I.C

Kairu byli kiedyś Szellepin i Jegoryczew, ostatnio przesunięci na boczny tor, co miało być rzekomą konsekwencją ich nieścisłych raportów o możliwościach egipskiej armii. Następnie jednak sowiecki szef sztabu gen. Zacharow udał się do Kairu i nie wiadomo właściwie, czy jeszcze dotąd tam nie pozostaje, wznowiono transporty broni dla Egiptu i sowiecka flota zawinęła do egipskich portów, gdzie dotychczas przebywa i nic nie słychać, kiedy ma je opuścić.

Równocześnie szereg wypowiedzi na łamach moskiewskiej prasy przyniósł naświetlenie dalszych zamiarów Moskwy na Śr. Wschodzie, z których wynika, że nie zrażona kosztami i poniesionymi materialnymi stratami w rezultacie klęski arabskiej — będzie ona kontynuowała i rozwijała swoją interwencję na tym, ważnym strategicznie, obszarze świata. Wynika przy tym jasno z wspomnianych głosów prasy, że Sowieciom w istocie nie chodzi tu bynajmniej o zwycięstwo Arabów i pobicie Izraela, ale o usadówienie się własne na Środk. Wschodzie po wyeliminowaniu wszelkich wpływów zachodnich. Rosja, jak można wnosić, uznaje że nadszedł sposobny czas — na skutek słabości W. Brytanii, zaangażowania głównych sił oraz uwagi amerykańskiej nad Pacyfikiem i w Azji, a braku jeszcze wystarczających możliwości Francji — do narzucenia sobie samej na arbitra spraw środkowo-wschodnich.

Szczególnie wymowne są tu artykuły znanego publicysty „Izwestii” nazwiskiem Kudriawcew. Według niego, Izrael był tylko małego znaczenia narzędziem polityki Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii i Zachodnich Niemiec, która to trójka reprezentuje — odległym od prawdy zdaniem moskiewskiego komentatora — tak zwane imperialistyczne cele na Śr. Wschodzie. Pod takim, normalnie zresztą wysuwany hasłem obrony przed imperializmem kiedy Kremlowi chodzi o poddanie swoim wpływom jakichś terytoriów, Rosja Sowiecka ma wziąć pod stałą „opiekę” państwa arabskie.

Zarówno z tego, jak i innych artykułów moskiewskiej prasy, wynika, że Sowiety dążą do tego, aby wraz z całym swoim blokiem usadzić się na dobre na Kanale Sueskim i nafcie Śr. wschodniej, a arabskie państwa stopniowo przemieniać w „socjalistyczne republiki” i z kolei w swoich satelitów. Syria

Algeria i Egipt, to pierwsza trójka kandydatów do takiej, wyznaczonej przez Moskwę, roli. Aby doprowadzić do swej dominującej pozycji na Śr. Wschodzie, taktyka sowiecka sprzeciwia się obecnie przede wszystkim bezpośrednim rokowaniom Izraela z Arabami. Oczywiście, stanowiska tego Moskwa nie wypowiada oficjalnie, ale jej obstawanie, by rokowania takie nie mogły być rozpoczęte, póki Izrael nie opuści zdobytych terenów (które czterokrotnie — nie dwukrotnie, jak omyłkowo podano w czerwcowym przeglądzie, powiększyły jego terytorium) sprowadza się do uniemożliwienia ich w praktyce. Pobudzanie w ten sposób ekstremizmu arabskiego może wciąż jeszcze liczyć na przychylny oddźwięk i zapewnienie mu przewagi w tych krajach.

Ambitne plany sowieckie w odniesieniu do Śr. Wschodu potwierdza również korespondent paryskiego „Le Figaro” z Wiednia pod wymownym tytułem „ZSSR zmierza do wojskowego usadówienia się w krajach arabskich” (11 sierpnia 1967). Według tych informacji, Sowiety przede wszystkim postanowiły, przez utrzymywanie imponującej floty w portach Zjednoczonej Republiki Arabskiej i uzupełnienie jej uzbrojenia, uniemożliwić obecnie jakiegokolwiek wznowienie walk. Równocześnie Moskwa skieruje swój wysiłek na socjalizację i uprzemysłowienie państw arabskich, pokonanych w wojnie „sześciu dni”. Ambicje Moskwy, według tejże korespondencji, idą jeszcze dalej. Powracając do starego marzenia leninowskiego sprzed pół wieku i wyzyskując obecne potrzeby swoich arabskich pupiłków, Kreml będzie dążył — jak pisze dziennik francuski dosłownie — „do solidnego zapuszczenia na Śr. Wschodzie swoich korzeni wojskowych”.

Miejmy nadzieję, że mocarstwa zachodnie, a w szczególności Stany Zjednoczone, mimo swoje liczne zobowiązania i kłopoty na innych obszarach kuli ziemskiej, postawią tamę tym sowieckim ambicjom. Umacnianie się Rosji na Środk. Wschodzie zabezpieczyło by jej panowanie nad Bałkanami i wschodnią Europą, czyli rzuciło by nowy cień na widoki wyzwolenia naszego kraju.

HAWANA PRZECIW WASZYNGTONOWI

Do niemalych kłopotów, jakie rosła przed polityką Waszyngtonu, należy

komunistyczno-rewolucyjny ruch w krajach Ameryki Łacińskiej, próbujący też ostatnio wiązania się z rozruchami murzyńskimi wewnątrz Stanów Zjednoczonych. W pierwszej dekadzie sierpnia odbyła się w stolicy Kuby, Hawanie — wspomniana już wyżej — konferencja przedstawicieli tego ruchu, działającego od roku, jako „Organizacja Solidarności Ameryki Łacińskiej”. Jest ona przeciwstawieniem „Organizacji Państw Ameryki”, powołanej przed kilku laty przez rząd Stanów Zjednoczonych i stanowiącej porozumienie rządów obu Ameryk.

Cel konferencji hawańskiej określony został przez organizatorów, jako „zjednoczenie, koordynacja i wzmocnienie walki przeciwko imperializmowi Stanów Zjednoczonych, prowadzonej przez lud Ameryki Łacińskiej”. Jak z cyfr, podanych przy końcowym głosowaniu wynika, w konferencji brało udział 27 delegatów krajów Ameryki Łacińskiej i kilkudziesięciu obserwatorów komunistycznych rozmaitych narodów Azji i Europy oraz murzyn Stokely Carmichael, głośny ostatnio przywódca murzyński ze Stanów Zjednoczonych.

Na konferencji starły się dwa kierunki, bardziej umiarkowany, któremu patronowały Sowiety i propagujący walkę zbrojną w stylu wietnamskiego Wietkongu, który na konferencji ostatecznie przeważał. Ostrzejszemu kursowi przewodził dr Castro, podczas gdy za umiarkowanym opowiedziały się: Urugwaj, Costa Rica i Salwador. Ostatecznie za bardziej wojowniczą rezolucję padło głosów 15, trzy — przeciw i 9 — wstrzymało się od głosowania.

Prosowieckie koła zachodnie zachwalają gorliwie umiarkowane stanowisko, zajęte przez prasę moskiewską i wyrażane w Hawanie przez bardziej uzależnionych od Moskwy delegatów, ale te pochwały mają uzasadnienie wątpliwe. Oficjalne poparcie rewolucji zbrojnych w Ameryce Łacińskiej musiało by zrazić amerykańskich zwolenników koegzystencji z Sowiecami, lecz skrajniejsza nienawiść komunistów, reprezentowanych na zjeździe w Hawanie do Stanów Zjednoczonych z pewnością nie zmartwiła Kremla. Uzbrojenie sowieckie płynie zresztą wciąż na Kubę i przekazywane jest dalej rewolucjonistom poszczególnych krajów Ameryki Łacińskiej, chyba nie w celach pokojowych.

Póki istnieje sowieckie imperium, jako potężna baza rewolucyjnych ruchów na kuli ziemskiej, musimy wątpić, czy państwa zachodnie i w szczególności Stany Zjednoczone zaznają prawdziwego pokoju.

Zdzisław Stahl

„MIESIĄC INWALIDY” — POTRZEBNA MOJA, TWOJA, NASZA OFIARA

GDYBY ktoś zdołał skłonić generała de Gaulle, by wygłaszał mniej przemówień publicznych, by składał mniej deklaracji, by przestał się uważać za nieomylnego i za powołanego z „woli Boskiej“ do przebudowy świata... Powie kto może, że to naiwne marzenia lub pobożne życzenia? Zapewne... A jednak, życzenia te manifestują się od niejakiego czasu w coraz szerszych kołach francuskiej opinii publicznej, a zwłaszcza w kołach politycznych i w całej, niemal bez wyjątku, prasie. Wzdychają do tego nawet liczni, bardzo liczni gaulliści, których ostatnie wybryki oratorskie i niezrozumiała polityka zagraniczna generała coraz bardziej niepokoją i przygnębiają.

Wszystko zaczęło się na początku czerwca, zaraz po wybuchu arabsko-izraelskiego konfliktu zbrojnego. De Gaulle, który nie tak dawno jeszcze, oświadczał Ben Gurionowi, że „Izrael, to nie tylko przyjaciel, lecz sprzymierzeniec Francji“, nałożył nagle embargo na eksport francuskiego sprzętu wojennego, przeznaczonego dla Izraela. Ów zakaz wywozu, który jest jeszcze wciąż w mocy w chwili gdy piszę te słowa, jest tak drakoński, że obejmuje nawet części wymienne dla samolotów bojowych i czołgów izraelskich, zakupionych we Francji i zapłaconych, oczywiście, gotówką. Izraelskie siły powietrzne zaopatrzone są niemal wyłącznie w „Mirage III“, w „Mystère“, w „Ouragan“, w „Vautour“, w „Nord-Atlas“, wszystko aparaty francuskiej konstrukcji. Izraelskie siły lądowe rozporządzają sporą ilością czołgów francuskich AMX i innego francuskiego sprzętu. Co do armii arabskich, ich sprzęt bojowy, z wyjątkiem sił jordańskich, jest pochodzenia sowieckiego, w ponad 75%. Nakładając embargo, rząd francuski (lub raczej de Gaulle) umotywował je decyzją zachowania przez Francję ścisłej neutralności w blisko-wschodnim konflikcie... Dziwna to jednak neutralność, dziwna i jednostronna. Uderza ona wyłącznie w „przyjaciela i sojusznika“, w Izrael, nie szkodzi zaś bynajmniej krajom arabskim, które francuskiego sprzętu bojowego nie posiadały i nie posiadają.

Tego embargo, nałożonego na sprzęt wojenny dla Izraela opinia francuska nigdy nie zrozumiała, ani nie zaaprobowała. Sympatie dla pań-

ROMAN FAJANS

Gdyby de Gaulle

stwa żydowskiego są we Francji tak silne i żywe, że ta jednostronna „neutralność“ musiała wywołać i wywołała, w rzeczy samej, gwałtowne sprzeciw, nie tylko wśród demokratycznej opozycji, lecz, co ważniejsze, nawet wśród gaullistów, z których wielu, i to nader ważnych przywódców należy do rozmaitych stowarzyszeń francusko-izraelskich.

Zaraz potem zaczęły się co-tygodniowe deklaracje de Gaulle'a, coraz bardziej anty-izraelskie, deklaracje składane podczas kolejnych posiedzeń Rady ministrów i skapliwie odczytywane, natychmiast po tych posiedzeniach, przed prasą, przez ministra Informacji. Wreszcie, w O.N.Z., delegacja francuska głosowała, jak wiadomo, za projektem sowiecko-arabskiej rezolucji, kwalifikującej Izrael jako agresora i domagającej się natychmiastowego i bezwarunkowego wycofania jego wojsk poza linię zawieszenia broni z 1949 r.

Wszystko to nie tylko zaskoczyło i zgorszyło francuską opinię, prasę i koła polityczne, lecz spowodowało poważny rozbrat między tą opinią i de Gaulle'm. Rozbrat ten ujawnił się jaszkrawo, w końcu czerwca, z okazji wielkiej debaty zewnętrzno-politycznej w Zgromadzeniu narodowym. Nie tylko cała niekomunistyczna lewica i centrum, czyli opozycja, lecz pewna ilość deputowanych gaullistowskich skrytykowali ostro obecną politykę francuską wobec Izraela i świata arabskiego. Ogólnie słyszeć można było takie pytania: czego de Gaulle właściwie chce? Dokąd zmierza? Dokąd wiedzie Francję?

* * *

W lipcu, de Gaulle udał się do Kanady, na oficjalne zaproszenie federalnego rządu kanadyjskiego p. Lester Pearsona, do którego to zaproszenia dołączył się prowincjonalny rząd Quebec'u, w osobie jego premiera, p. Johnsona, kanadyjczyka irlandzkiego pochodzenia, lecz sfrancuziałego. Ludność Kanady liczy obecnie około 5 i pół miliona frankofonów, przeważnie normandzkiego pochodzenia, skupionych, w ogromnej więk-

szości, w prowincji Quebec, której dwa największe miasta są Quebec i Montreal. To ostatnie miasto Francuzi nazywają „drugim po Paryżu, największym miastem francuskim“. Stosunki między Francją i Quebecem zacieśniały się coraz bardziej od paru lat. Quebec posiada w Paryżu oddzielną reprezentację dyplomatyczną, niezależną od ambasady kanadyjskiej. Francja włożyła wiele wysiłku i pieniędzy, by umocnić w Quebecu swe wpływy kulturalne, ekonomiczne, a także, w pewnym stopniu, polityczne. Ludność francuskojęzyczna Quebecu, reprezentująca blisko jedną trzecią ogółu ludności Kanady, jest bezsprzecznie upośledzona, w stosunku do elementu angielskojęzycznego. Nie posiada takich samych praw i domaga się szerszej autonomii. Nieliczna stosunkowo grupka separatystów, skupiona w organizacji R.I.N. (Rassemblement pour l'indépendance nationale) dąży nawet do oderwania Quebecu od Kanady i do stworzenia niepodległego państwa francusko-kanadyjskiego. Organizacja ta jest jednak mało wpływową. W ostatnich wyborach parlamentarnych ogólnokanadyjskich uzyskała ona około 3% głosów i ani jednego mandatu.

Wbrew przyjętym ogólnie zwyczajom dyplomatycznym, de Gaulle, zamiast rozpocząć swą podróż kanadyjską od stolicy federalnej, Ottawy, uparł się, by przybyć na ciężkim krążowniku „Colbert“, odwiedzić najpierw Quebec i Montreal, na końcu zaś dopiero Ottawę, gdzie spędzić miał zaledwie jeden dzień. Rząd ottawski nie chciał się początkowo na to zgodzić i trudne rokowania dyplomatyczne na ten temat trwały całe trzy miesiące. W końcu jednak rząd p. Pearsona ustąpił.

Jasnym było, że de Gaulle wykorzysta swój pobyt w prowincji Quebec, by wzmocnić francuskie samopoczucie narodowe tamtejszej ludności i utrwalić więzy, łączące tę ludność z macierzą. Jasnym było również, że francuskojęzyczna ludność tej prowincji zgotuje mu wyjątkowo gorące przyjęcie. Nikt nie przypuszczał jednak, by prezydent Francji posunął się tak daleko, jak to uczynił, by pod-

chciał mniej przemawiać...

B.D.I.C

sycal separatyzm garstki francuskich Kanadyjczyków, by w przemówieniach swych traktował Quebec niemal jako część Francji, i wreszcie, by okazał całkowity brak elementarnej kurtuazji wobec federacji kanadyjskiej i rządu w Ottawie. A jednak wszystko to się stało...

Od swego pierwszego do ostatniego przemówienia na kanadyjskiej ziemi, de Gaulle nie przestał egzaltować „francuskiego charakteru“ Quebecu, nawoływać jego mieszkańców do walki o samodzielność polityczną, gospodarczą i kulturalną, zachęcać do oswożenia się spod „amerykańskiej dominacji“, wzywać do zacieśnienia wszelkich więzów z Francją. W miarę przedłużania się jego pobytu, przemówienia jego i toasty przybierały charakter coraz bardziej anty-kanadyjski, anty-amerykański i nacjonalistyczny. Znowu wbrew ogólnie przyjętym obyczajom międzynarodowym, krążownik „Colbert“, wjeżdżając na kanadyjską rzekę Saint-Laurent, nad którą położony jest Montreal, nie wywiesił kanadyjskiej flagi. W przemówieniach i toastach francuskiego prezydenta nie było najmniejszej aluzji, ani do królowej angielskiej, która jest przecież nominalnie królową Kanady, ani do jej osobistego przedstawiciela, gubernatora Kanady, który przybył specjalnie z Ottawy do Quebec, by go przywitać, ani nawet do rządu federalnego, który go zaprosił. W tychże przemówieniach, de Gaulle nie zawahał się stwierdzić, że atmosfera która otacza go w Quebecu przypomina mu „żywo“ atmosferę wyzwolenia Francji w 1944—1945 r. Na balkonie ratusza w Montrealu zakończył swe przemówienie okrzykiem: „Vive le Quebec libre“, który stanowi slogan separatystycznego R.I.N. Wiwat ten wznosił, otoczony transparentami, na których wypisane były te trzy litery.

Gdy rząd ottawski zareagował na to, mocną lecz raczej umiarkowaną w tonie deklaracją, w której stwierdził, że uważa niektóre wypowiedzi prezydenta Francji jako „nie do przyjęcia“ i oświadczył, że „nie ma potrzeby wyzwałać Kanadyjczyków“, de Gaulle obraził się i postanowił

skrócić swą wizytę i nie pojechać do Ottawy, gdzie wszystko było przygotowane na jego uroczyste przyjęcie. Decyzję tę powziął późną nocą, w Montrealu, i, przed świtem, ambasador francuski w Ottawie chciał obudzić premiera Pearsona, by oznajmić mu decyzję prezydenta. Współpracownicy premiera kanadyjskiego odmówili jednak i odpowiedzieli, że komunikują to premierowi, rano, gdy wstanie.

Po powzięciu tej decyzji, de Gaulle kontynuował najspokojniej w świecie swą wizytę w Montrealu i w ostatnim jeszcze dniu swego pobytu, mówił o „kanadyjskiej frakcji francuskiego narodu“ i o „Francuzach z Kanady i z Francji“. Wreszcie, odlatując wprost z Montrealu do Paryża, nie wysłał nawet depeesz pożegnalnych i dziękczynnych, ani do premiera Pearsona, ani do przedstawiciela królowej, gubernatora Kanady.

Wszystko to wywołało burzę bez precedensu we francuskich kołach politycznych i w prasie. Nigdy przedtem de Gaulle nie był tak ostro krytykowany, tak gwałtownie atakowany, jak w ostatnich dniach. Z wyjątkiem jednej tylko komunistycznej „Humanité“, cała bez wyjątku prasa francuska, bez różnicy zapatrywań politycznych, zakwalifikowała zachowanie się Generała jako międzynarodowy skandal, stwierdziła, że afera ta znacznie pomniejszyła autorytet i prestiż, nie tylko samego de Gaulle'a, lecz Francji, wyraziła obawę, że skandal ten może pogłębić jeszcze bardziej przepaść dzielącą Francję od Stanów Zjednoczonych, doprowadzić do ostrego napięcia stosunków między Francją i Kanadą i między Kanadyjczykami dwu grup etnicznych, oddalić wreszcie jeszcze bardziej Francję od jej zachodnich sprzymierzeńców. Dały się słyszeć nawet głosy, przypominające, że slogany o „więzach krwi, kultury i języka“ nie stanowią właściwie nic nowego. Slogany takie słyszano już przed ostatnią wojną światową i podczas niej... z drugiej strony Renu. Przejrzysta aluzja do Hitlera i nazizmu. Aluzję tę poczynił ich dziennik „Combat“.

W Zgromadzeniu Narodowym, które jest obecnie na wakacjach, posyłały się interpretacje, żądania natychmiastowego zwołania Izby na nadzwyczajną sesję i zebrania komisji Spraw Zagranicznych Zgromadzenia. Nie należy jednak wysnuwać zbyt daleko idących wniosków z tej burzy w szklance wody. Gdy Zgromadzenie Narodowe zbierze się na jesienną sesję, demokratyczna lewica mitterrandowska zastanowi się poważnie, zanim podejmie ewentualnie na ten temat gwałtowną ofensywę przeciw de Gaulle'owi. Wie ona, że komuniści popierają jego politykę zagraniczną, nie chce zaś odciąć się od kompartii. Co do gaullistów, wyrażają oni wprawdzie, od niejakiego czasu w prywatnych rozmowach, swe „zgorszenie“, „oburzenie“, „niepokój“ i „zakłopotanie“... Gdy przyjdzie jednak do głosowania w Pałacu Burbońskim, wszyscy niemal staną murem za rządem, gdyż drżą o swe mandaty parlamentarne i o swe lukratywne posady. Faktem jest, że przy obecnej konstytucji i w obecnym układzie sił politycznych i parlamentarnych, nic tu prawie przeciw de Gaulle'owi zrobić nie można i że pozostaje on wszechwładnym panem. Jeśli kiedyś rząd jego miałby być obalony i prezydent zmuszony do ustąpienia, to napewno nie ze względu na jego niebezpieczną, zgubną dla Zachodu politykę zagraniczną, lecz z przyczyn ekonomicznych i socjalnych. Chwilowo, nie ma o tym mowy.

De Gaulle wrócił ponoć zachwycony swą kanadyjską podróżą. Otoczenie jego twierdzi, że osiągnął to, co zamierzał: wzmocnił samopoczucie narodo- we kanadyjczyków francusko-języcznych i zwrócił uwagę Francji i świata na ich smutny los... Gdy, w odpowiedzi, zwraca się uwagę na skandal dyplomatyczny jaki wywołał, na bezprzykładne zachowanie się jego w Kanadzie i na bardzo poważne konsekwencje międzynarodowe, jakie wyniknąć stąd mogą dla Francji, de Gaulle odpowiada ponoć: „Nie trzeba mnie było zapraszać“...

Będziemy więc widzieć obecnie, że, skoro ktoś zaproszony jest do znajomych na obiad lub kolację, wolno mu tam tłuc porcelaną, łamać meble i obrażać gospodarzy. Nie podoba się to? Nie trzeba było zapraszać...

Roman Fajans

O ile na temat doktryny, organizacji, stanów, uzbrojenia i nawet dyslokacji sowieckich sił zbrojnych prasa zachodnio-europejska pisze często, podając z natury rzeczy nieraz wiadomości tendencyjne lub inspirowane, o tyle bardzo rzadko znaleźć w niej można konkretne i ciekawsze wiadomości o życiu codziennym i wewnątrz tego olbrzymiego organizmu, nieustannie udoskonalanego, uwzajemnianego i uwszeczstronnianego — pod kątem potrzeb zarówno zimnej jak gorącej wojny.

Wychodząc z założenia, że temat ten naszych czytelników zainteresuje, dzielę się tymi wiadomościami, które udało mi się w różnych czasopismach (zwłaszcza szwajcarskich) znaleźć i które zasługują na zaufanie. Zdaję sobie oczywiście sprawę z tego, że będzie to tylko pobieżny, niekompletny i nie całkiem ścisły szkic, a nie szczegółowy i dokładny obraz. Zwłaszcza, że znam armię czerwoną tylko z opisów i ilustracji, a nie z autopsji i oczywiście nie mam dostępu do archiwów wywiadowczych, które zresztą, wobec ostrej ochrony tajemnic sowieckich, niewątpliwie też nie są kompletne.

Ogromne różnice między obecnym wojskiem sowieckim, a masami bolszewickimi, które w 1920 roku zostały rozbite pod murami Warszawy i w 1944/45 zalały całą Europę wschodnią i środkową, nie ograniczają się tylko do uzbrojenia, zmotoryzowania, wyszkolenia i organizacji. Nie wiele mniejsze przeobrażenia nastąpiły pod względem postawy i wyglądu, stosunków wewnętrznych, składu, współdziałania z wszechwładną partią, wytworzenia i pielęgnowania tradycji, warunków bytu itd. Obecna armia czerwona nie jest już tworem improwizowanym, nieustannie zmienianym. Jest armią par excellence regularną, „sztandową“, pod niejednym względem zrutyinizowaną i podobniejszą (oczywiście tylko pod względem „fasonu“) do armii zachodnich niż do obecnej armii chińskiej marszałka Lin Piao.

Przypatrzmy się szczegółom.

Rola w państwie. Czerwona armia nie jest państwem w państwie. Jest tylko służką i zbrojnym ramieniem wszechwładnej partii. Ambicji politycznych dotychczas nie zdradzała i nie zbuntowała się ani przeciw krwawym czystkom, przeprowadzonym przez Stalina przed wojną wśród jej starszyny, ani przeciw usunięciu jej bożyszczka i jedyne go czterokrotnego „bohatera ZSSR“, marszałka Żukowa, posądzonego niesłusznie o bonapartyzm. Nie znaczy to, że jej góra nie odegrała żadnej roli w personalnych rozgrywkach na szczytach komunistycznej partii. Odegrała i to zarówno w wykończeniu Berii, jak w utraconiu Małenkowa i Chruszczowa.

KAZIMIERZ GLABISZ

CZERWONA ARMIA

Ale w kierownictwie partii, tzw. „poli-biurze“ nie ma obecnie ani jednego przedstawiciela, zaś w „centralnym Komitecie“ ma tylko 15 reprezentantów wśród 195 jego członków oraz 18 kandydatów na członków, gdy ogólna ich ilość wynosi 165, przy czym degradacje są na porządku dziennym. Tak np. zeszłoroczny kongres zdegradował do pozycji kandydatów między innymi b. członków C.K. — marszałków Budionego, Jeromienko, Rokossowskiego, Sokołowskiego i Timosenkę. W państwach demokratycznych wojsko jest, jak wiadomo, apolityczne i każdemu rządowi lojalnie służy, natomiast w Chinach odgrywa w życiu politycznym poważną rolę. Za to w Sowietach ministrem obrony jest stale wojskowy, a nie, jak na Zachodzie, cywilny polityk i, jak się zdaje, o kierunkach sowieckiej polityki zbrojeniowej decydują od obalenia Chruszczowa, przeważnie czynnikami z rzemiosłem wojskowym obeznane. Góra wojskowa, związana ściśle z partią, nie przeszkadza oczywiście w politycznej obróbce mas żołnierskich, broni się jedynie, nieraz skutecznie, przed nadawaniem politykom nadmiernych uprawnień. Nie zdołała jednak przeszkodzić podporządkowaniu G.R.U., czyli wywiadu wojskowego, osławionemu K.G.P.

Umundurowanie. Nie ma bodaj obecnie, jeśli pominąć brytyjską gwardię, wojska tak kolorowego podczas parad — jak sowieckie. Przynajmniej w większych garnizonach i poza obrębem ZSSR. Kolorowe otoki i kołnierze nieraz nawet „ułańskie“ rabaty, uzupełnione u oficerów lśniącymi pagonami i pasami u generałów dodatkowo haftami na kołnierzach, otokach, daszkach i rękawach, wzbogacają pokojowy strój paradny względnie garnizonowy, nie mówiąc już o białych nicianych rękawiczkach i coraz liczniejszych orderach. Starszyna jest tak obwieszona orderami, że przypomina bogato ozdobione choinki. Tak np. zmarły niedawno minister obrony, marszałek Malinowski, dźwigał podczas swego ostatniego wystąpienia na Placu Czerwonym aż 38 orderów i medali, zawieszonych oczywiście po obu stronach jego szerokiej piersi. Ostatnio wojska pancerne otrzymały nowe umundurowanie, a wszyscy zawodowi żołnierze otrzymują jednolite płaszcze deszczowe i wysokie buty z cholewami ze sztucznej skóry. Polowe mundury i nakrycia głowy nie uległy zmianie od wojny. Doszły jedynie zimowe burki.

Wspominam o tych szczegółach, bo świadczą one o wielkiej dbałości kierownictwa o atrakcyjność i popularność

wojska. Na to nie szczędzi się pieniędzy, jak nie szczędzi się na parady, które zwłaszcza w Moskwie są nieraz imponujące i pod względem bogactwa zademonstrowanego sprzętu nie mają równych sobie na Zachodzie.

Tryb służby wewnętrznej i polowej. Choć służba poborowych, którzy stanowią daleko wyższy procent niż w armiach zachodnich, trwa, zależnie od broni, 3 lub 4 lata, a więc znacznie dłużej niż na Zachodzie, wyszkolenie podstawowe trwa bardzo krótko. Tłumaczy się to tym, że gros rekrutów przeszło już wstępną zaprawę w bardzo rozgąłżonym P.W. Służba jest twarda. Oddziały przebywają dużo w terenie — nawet przy niesprzyjających warunkach atmosferycznych. Duży nacisk położony jest na ćwiczenia nocne i działania połączonych broni. W razie przebywania w garnizonie służba trwa na ogół od 7,30 do 18-tej, nie licząc czyszczenia broni i godzinnego apelu wieczornego. Szkolnictwo wojskowe jest niebywale rozbudowane, przy czym większość uczelni związana jest z nazwiskiem takiego czy innego „bohatera rewolucji“. Patronem jednej ze szkół morskich w Leningradzie jest np. Dzierżyński, choć jest on, jak głosi powiedzonko warszawskie, najbardziej zasłużonym Polakiem, „bo najwięcej Rusków wykończył.“

Opieka nad żołnierzem. Ten dział, obejmujący przede wszystkim utrwalanie w żołnierzu komunistycznego światopoglądu i nienawiści do „imperyalistycznego“ Zachodu, jest daleko więcej rozbudowany niż w armiach zachodnich. Zwłaszcza w oddziałach, które stacjonują w państwach satelickich. Zasadniczo przeznaczają się na „propagitkę“ co drugi dzień po dwie godziny, ale na tym nie kończy się „ideologiczna“ obróbka żołnierza. Zradiofonizowanie wszystkich koszar, odpowiedni dobór czasopism i książek w świetlicach i bibliotekach oddziałowych, aktywność oddziałowych komórek partyjnych i komsomolskich, wreszcie gęsta sieć aparatów telewizyjnych i kin garnizonowych umożliwiają niemal stały nacisk. W rezultacie należy do partii lub komsomolu rzekomo ponad 90% oficerów i blisko 82% szeregowych.

Oczywiście i dział właściwej opieki nad żołnierzem nie jest neglizowany. Poza b. licznymi oddziałowymi zespołami amatorskimi — istnieje podobno 8 wojskowych teatrów zawodowych i 50 objazdowych zespołów tanecznych, śpiewaczych, muzycznych itd., a biblioteki wszystkich części sił zbrojnych mają podobno ponad 100 milionów książek i

OD KUCHNI

B.D.I.C

brozur. Czasopism wojskowych, z „Krasną Zwiędą“ na czele, jest bez liku. Wymownym dowodem dbałości o szerzenie kultu dla „niezrówanej“ tradycji oręża radzieckiego i nawet carskiego z czasów Suworowa i Kutuzowa — jest założenie aż 11 muzeów wojskowych.

Wychowanie fizyczne i sport wycyznowy. Wprowadzone po ostatniej wojnie powszechne próby sprawności fizycznej wykazują podobno coraz wyższy procent wykonujących normy. W ubiegłym roku osiągnięto je podobno już 70% całego stanu. Armie zachodnie takich sprawdzeń sprawności nie przeprowadzają, a w naszym przedwojennym wojsku odbyła się ona, o ile wiem, tylko raz i to w 1924 roku w 14. dywizji wielkopolskiej. Nie mniejszy nacisk kładzie się na sport wycyznowy, przy czym wojsko stwarza swej czołowiec wręcz idealne warunki, jakich często nie mają zawodowcy. Nie dziw wobec tego, że wśród 319 olimpijczyków sowieckich, wystanych do Tokio, było aż 129 wojskowych i że zdobyli oni aż 30 złotych, 31 srebrnych i 15 brązowych medali. Nie dziw także, że armia czerwona dominuje w corocznie organizowanych „spartakiadach“ armii zaprzyjanych i mistrzostwach ZSRR. Podnosi to jej prestiż, wyrabia w żołnierzu „esprit de corps“ i daje mu odprężenie i rozrywkę, o którą — wobec niskiego żołdu i przeciążenia służbą — trudno.

Żołd i przywileje. Żołd szeregowców (4 ruble miesięcznie) i podoficerów jest niewiarygodnie niski i to nie tylko w porównaniu z amerykańskimi stawkami. Również oficerskie pensje są skromne (od 150 do 350 rubli miesięcznie), choć nawet podporucznik otrzymuje więcej niż sierżant sztabowy, który w armii amerykańskiej jest niemal tak usytuowany jak kapitan. Za to pobory generałów, a zwłaszcza marszałków (600 do 1.000 rubli na miesiąc) zbliżają się do stawek zachodnich. Zwłaszcza, że ci dygnitarze są zwolnieni od podatków, mają wolne przejazdy kolejowe klasą luksusową (oficerowie sztabowi tylko I. klasą) i posiadają prawo zakupywania w specjalnych sklepach, lepiej zapatrzonych i stosunkowo tańszych. Oficerowie sztabu generalnego mają obniżki w czynszach mieszkaniowych. Oficerom przysługują urlopy 30-to-dniowe + podróz, natomiast, szeregowi otrzymują swoje krótsze urlopy z trudem, raczej jako nagrody. Tak wygląda „równość“, w imię której wybuchła przed pół wiekiem rewolucja. Niebywała mno-

gość stopni oficerskich (4 oficerów młodszych, 4 generalskie i 3 marszałkowskie) pogłębia te różnice.

Służba wojskowa jest oczywiście zaliczana do wysługi lat. Emerytury wynoszą 50% poborów w czynnej służbie, a pensje inwalidzkie od 30 do 75%. Istnieją również pewne zasiłki i ulgi dla rodzin, których synowie stracili w wojsku życie i zdrowie.

Wyżywienie. Wyżywienie jest monotonne, ale pożywne i przedstawia oficjalnie równowartość 2.500 do 6.000 kalorii (zależnie od nasilenia służby i stopni). Z dniem 1. stycznia br. żołnierze zaczęli otrzymywać o 100 gramów więcej chleba białego — kosztem razowego. Przed Chruszczowem istniały trzy typy kasyn oficerskich. Chruszczow je skomasował i (najwidoczniej pod wpływem chińskiego przykładu), zmusił oficerów młodszych do spożywania posiłków razem z szeregowymi, co prawda przy oddzielnych stołach. Oddzielne oficerskie kasyna garnizonowe istnieją jednak nadal — obok klubów dostępnych dla wszystkich stopni.

Nagrody i kary. Zwłaszcza nagrody różnią się od praktykowanych w armiach zachodnich i są częściowo osobliwe, jak np. urlop dwu lub dziesięciodniowy, zdjęcie fotograficzne przy sztandarze, oznaka „Wzorowy żołnierz“, wpisanie do księgi honorowej oddziału, pochwalne powiadomienie gminy, rodziny lub pracodawcy, podzięką przed frontem itd. Oficerowie są nagradzani wręczeniem laurki, upominku, szabli, pistoletu lub pióra wiecznego albo przedterminowym awansem. Przekonano się, że propaganda bez bodźców osobistych nie wystarcza.

Jeśli idzie o kary dyscyplinarne, to stosuje się — obok powszechnie znanych — pracę dodatkową, odebranie odznaki „Wzorowy“, pozbawienie funkcji, obniżenie stopnia, przedterminowe zwolnienie służących zawodowo. Arsztem może karać szeregowych dowódca kompanii, natomiast oficerów tylko dowódca pułku. Osobliwością jest również istnienie sądów koleżeńskich, dla szeregowców w kompanii, a dla podoficerów w baonie. Rzecz jasna, że obok tego istnieją sądy karne, które karzą bardzo surowo więzieniem, przydziałem do baonów karnych, łagrów itd.

Mimo to dyscyplina podobno raczej się rozluźniła, co tłumaczy się nie tylko rosnącym utecznieniem służby, ale także postalinowską „odwilżą“, rosnącą emancypacją młodego pokolenia oraz malejącym procentem potulnych i przy-

mitywnych rekrutów wiejskich. Świadczą o tym nie tylko utyskiwania i apele dowódców, umieszczane w czasopismach wojskowych, ale także ostrzejsze przepisy i wytyczne, wydane przez naczelne władze, które oczywiście nie wszystkim się podobają.

* * *

Choć żołnierz sowiecki z pewnością nie jest zbudowany i zachwycony wszystkim, co widzi i robi, a przeciwnie ma sporo powodów do niezadowolenia i utyskiwania, do poważniejszych wybrków czy rewolt bodaj nie dochodzi, skoro wiadomości o nich nie przedostają się przez żelazną kurtynę. Dlatego bezpieczniej liczyć się z tym, że w razie próby wojsko biłoby się twardo, niż spekulować na masowe dezercje czy kapitulacje. Zwłaszcza, że żołnierz sowiecki jest wychowany w przeświadczeniu, że oręż sowiecki nie ma równego sobie na świecie i że szlifuje się go nie tylko celem zapobiegnięcia wojnie, ale także celem jej ewentualnego wywołania i prowadzenia w jak najpomyślniejszych warunkach.

Po zwycięskiej wojnie z hitlerowskimi Niemcami przeciętny żołnierz sowiecki, nieświadomy istotnego stosunku sił, ma raczej kompleks wyższości niż niższości. Zwłaszcza, że częste przechwałki sowieckiej starszyny wojskowej musi brać za dobrą monetę i jest wychowany w nienawiści do „drapieżnego“, choć „zgnitego“ świata kapitalistycznego, rzekomo gotującego się nieustannie do napaści na „obóz pokoju“.

Kazimierz Glabisz



SZYBKO I TANIO!
Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
w y k o n u j ą
ZAKŁADY GRAFICZNE
GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.
171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879

**DOM POLSKI
W WIEDNIU**

**Klub — Czytelnia —
Restauracja**

Przyjemna atmosfera
Dobre miejsce spotkań
**SHELLEINGASSE 2
WIEN IV.**

WIOSNĄ roku 1937 otrzymałem w Berlinie zaproszenie, z którego postanowiłem skwapliwie skorzystać. Oto pewien młody urzędnik biura Ribbentropa, (które to biuro istniało jako rodzaj konkurencji dla ministerstwa spraw zagranicznych zanim Ribbentrop objął sam kierownictwo polityki zagranicznej), zapytał się mnie czy bym pojechał z niewielką wycieczką zagranicznych dziennikarzy i uczonych do jednego z tak zwanych „Ordensburgów“? O tych „Ordensburgach“ chodzą od dawna już wieści wśród obserwatorów zagranicznych, mieszkających w Berlinie — a do ich grona należałem od lipca 1935 roku, kiedy to koncern „IKC“ wysłał mnie na stałe jako swego berlińskiego korespondenta. Ordensburgi nazwane tak od zamków krzyżackich, były wylegarnią przyszłych przywódców Niemiec, szkołą, z której mieli wyjść kierownicy państwa zapowiadanego jako tysiącletnia Trzecia Rzesza. Był to rodzaj konkurencji dla angielskich „public schools“, wykwit hitlerowskiej myśli wychowawczej.

Zaproszenie przyjąłem uważając, że będę miał sposobność bliższego wglądu w mechanizm edukacji hitlerowskiej i że zobaczę nareszcie na własne oczy autentyczną szkołę, z której wyjdą Führerzy tysiącletniej Rzeszy. Obserwacje zebrane od lipca roku 1935, kiedy na stałe zamieszkałem w Berlinie, a przed tym w ciągu roku 1934 kiedy regularnie odwiedzałem Niemcy hitlerowskie, składały się na obraz wysoce niepokojący. Miało się wrażenie, że naokoło nas wyrasta jakaś nowa cywilizacja, przypominająca szczepy afrykańskie z totemami i tam-tamami, że tworzy się nowy mahometanizm, z janczarami i wszelkimi dodatkami totalizmu. Był to mahometanizm polityczny o silnym jednak podbarwieniu religijnym — a zatem religia polityczna, której słońcem i bóstwem był sam Hitler. Religia ta nie wahała się przybierać nieraz dosłownych form kultu religijnego, bo oto w lecie roku 1936 przeczytałem drobną wiadomość, że gdzieś w Schelzwigu-Holsztynie zbudowano rodzaj świątyni czy miejsca kultur, którego witraże przedstawiały Hitlera jako nowego świętego. Pochody hitlerowskie, zwłaszcza w czasie tak zwanych „dni partyjnych Rzeszy“ w Norymberdze, wiece w Norymberdze na olbrzymiej arenie, nad

ZBIGNIEW GRABOWSKI

MORDERCY SĄ

którą reflektory rozpiwały fioletową kopułę światła, widoczną na dystans stu kilometrów, fanatyzm zebrań i wieców, nastrój młodzieży hitlerowskiej H. J., która coraz to bardziej przypominała janczarów gotowych do wyrzeczenia się własnych rodzin dla idei Führera, wszystko to wróżyło jak najgorzej. Zapowiadał się jakiś generalny odwrót Niemiec Hitlera od tradycji europejskiej, powrót do szczepowych zasad „krwi i ziemi“, „Blut und Boden“ a wszystko to ożywione chęcią zniszczenia innych form kulturalnych i cywilizacyjnych.

Nasza wycieczka do „Ordensburga“ na dawnym Pomorzu Pruskim odbyła się w słoneczny dzień majowy, przy czym większość gości stanowili Skandynawowie, a Francję reprezentował jeden z profesorów Sorbony. Przyjęto nas w obozie z niesłychaną atencją i zaproszono na obiad podany na prostych stołach drewnianych w sali, która przypominała górskie schronisko. Komendant obozu czy szkoły był człowiekiem gładkim, mówiącym kilku językami i objaśniającym nam z wielką dumą całą organizację obozu. Była to osobałwa mieszanina ducha pruskiego korpusu oficerskiego z zasadami chyba zakonu Jezuitów, do których dodano ideologię krzyżacką, a wszystko to podbarwiono nowoczesnymi teoriami Freuda. W pośrodku obozu czy szkoły, czy klasztoru znajdowało się miejsce zebrań wieczornych, wzorowane na germańskich wiecach, czyli Tingach (od tego słowa pochodzi angielski rzeczownik „thing“). Wieczorem młodzież mieszkająca w szkole zbierała się tam na rodzaj ogniska harcerskiego, na którym wpajano ideologię „krwi i ziemi“. Chłopcy spędzali dzień częściowo na nauce, a częściowo na ciężkich ćwiczeniach fizycznych. Między innymi, jeździli oni nago na koniach, biorąc trudne przeszkody, wystawiani byli na brutalne warunki pogody i musieli być przygotowani na znoszenie niewygody i bólu. Była to słowem szkoła bardzo spartańska, a fizyczne okazy młodzieży zebranej w jednej z wielkich sal na posiłek, były imponujące.

Wdałem się w rozmowę z komendantem szkoły, a francuski gość do-

łączył się do niej i z wyraźnym niepokojem w oczach indagował kierownika „Ordensburga“ jakie są właściwie cele kształcenia młodzieży w tak brutalnej i okrutnej szkole? Komendant szkoły odpowiadał z ironicznym uśmiechem, że Trzecia Rzesza ma do spełnienia olbrzymie zadanie całkowitego przekształcenia narodu niemieckiego, — z narodu piwoszków w naród heroiczny. Rasa germańska ma odegrać rolę w Europie współmierną do jej liczebności i uzdolnień i nie widać powodu dlaczego tylko szkoły angielskie mają kształcić przyszłych przywódców i rządców.

Kiedy opuszczaliśmy szkołę na dawnym Pruskim Pomorzu profesor Sorbony odciągnął mnie na bok i powiedział z troską w głosie: „Czy nie uważa pan, że idzie na nas fala barbaryzacji? Przecież to niesłychane co oni z tą młodzieżą wyprawiają!“

Wizyta w „Ordensburgu“ pozostawiła mi najbardziej ponure wrażenie, spotęgowane wiadomościami, które coraz częściej przesiąkały do korespondentów zagranicznych. Mój lekarz berliński pochodzenia żydowskiego, dr. S. zamknawszy się raz z mną w swoim gabinecie opowiadał mi po cichu, że rozmawiał z Żydami, którzy przeszli przez obozy koncentracyjne i którzy zdecydowali się wyemigrować z Niemiec. Ich relacje wkraczały w dziedzinę makabry, a doktor S. podkreślił, że niejednen z nich powiedział, iż trudno jest uwierzyć jakimi miejscami kaźni są te obozy. Wszyscy więźniowie obozów wypuszczeni po jakimś czasie, podpisywali przysięgę, że nie wspomną nikomu co się w tych obozach działo.

Dla niejednego z nas z obserwatorów w Berlinie stawało się rzeczą jasną, że Niemcy w swoich obozach koncentracyjnych tworzą szkoły okrucieństwa i że na razie ćwiczą się niejako na swoich własnych rodakach. Co będzie jeżeli ta fala barbarzyństwa przeleje się przez granice Niemiec? Wielu z nas wyczuwało rychłą wojnę, a byli i tak dokładni prorocy jak korespondent berliński Times'a Norman Ebbutt, wysiedlony z Berlina w roku 1937, który na wiosnę roku 1933, niebawem po objęciu władzy przez

WŚRÓD NAS

B.D.I.C

Hitlera, przesłał do swego dziennika jasnowidzącą depeşe, w której stwierdził, że jeżeli „przegrzewanie kotła niemieckiego“ trwać będzie dalej, to za pięć do sześciu lat doczekamy się nowej wojny.

* * *

W latach 50-tych oglądałem w Niemczech film pt. „Mordercy są wśród nas“, ale niestety filmów takich było i jest za mało, filmów mówiących o winie społeczeństwa niemieckiego, które dało się porwać obłędowi rasowemu i świadomie zatajało najbardziej okrutne poczynania swego reżymu. Przedwojenny pobyt w Niemczech i powojenne wizyty od roku 1946 przekonały mnie, że świadomość okrucieństw hitlerowskich była o wiele szersza niż przyznają się do tego sami Niemcy i że jeżeli najszersze koła nie znały szczegółów niektórych akcji, to tylko dlatego, że postanowiły nie dopuszczać do siebie tej myśli i zdecydowały się na akt samooğłupienia. Większość jednak społeczeństwa niemieckiego wiedziała o obozach koncentracyjnych i o wyniszczaniu elementu żydowskiego jak również i o akcjach podejmowanych w Polsce.

Książka Szymona Wiesenthala nosi dokładnie ten sam tytuł, co wspomniany przed chwilą film niemiecki.*) Zdawałoby się, że jest to jeszcze jedna książka, która mówi o okrucieństwach hitlerowskich, chociaż ujęta jest pod odmiennym kątem a mianowicie człowieka, który postanowił tropić nieukaranych zbrodniarzy jak Eichmann. Mógłby ktoś powiedzieć, że mamy już dosyć opracowań tego tematu i że sprawa obozów oraz eksterminacji ras podbitych już spowszedniała. Otóż wniosek taki byłby fałszywy. Przede wszystkim problem obozów śmierci i okrucieństw popełnianych przez Niemców w krajach podbitych jest dalej jeszcze niewyczerpany. Co roku napływają nowe oświetlenia tego ponurego zagadnienia i dalej odbywają się w NRF pro-

cesy nieukaranych, ale ukrywanych i ukrywających się winowajców. Próbowano w NRF położyć kres tym procesom, ale na szczęście próba ta nie udała się. Porachunki bowiem nie są zakończone, a książka Wiesenthala utwierdza nas w przekonaniu, czy obawie, powstałej zaraz po wojnie, że winowajcy będą korzystać z usługowej pomocy sąsiadów i przyjaciół i że w odpowiedniej chwili wyjdą na światło dzienne w przekonaniu, że już o ich zbrodniach zapomniano. Książka Wiesenthala potwierdza tezę, że zbrodniarze wojenni tylko dlatego tak licznie zdołali się wymknąć z rąk sprawiedliwości ponieważ korzystali ze spisku milczenia ludzi ochraniających dawnych towarzyszy.

Zbrodnie hitlerowskie nie przestaną być tematem aktualnym przez długie jeszcze lata, a to z dwóch przyczyn: istnieje jakaś mimowolna i niezawiniona fascynacja tym tematem, tak jakby ludzkość musiała pochylać się nad otchłanią swojej własnej nieprawości. Ta fascynacja jest po części wynikiem niepokoju, który w nas istnieje i trwożliwego pytania: do jakiej granicy zbrodni człowiek może dojść i czy można go zbrodni nauczyć? Jest to pytanie wiecznie aktualne, a hitleryzm stanowił największy wybuch zorganizowanej zbrodni jaką notują dzieje nowoczesnej Europy. Drugim powodem ustawicznej aktualności tej sprawy jest to, że zbrodnie hitlerowskie zadały cios całej optymistycznej wierze w człowieka, w jego dobre instynkty, w postęp i rozwój i dążenie ku doskonałości. Trudno o straszliwszą klęskę niż ta, którą poniósł cały optymizm filozoficzny i moralny Europy zrodzony od czasów Oświecenia i tryumfujący w dobie wiktoriańskiej. Do pierwszej wojny światowej wierzyliśmy w postęp automatyczny niemal — człowieka i narodów; od roku 1914 wiara ta została nieco zachwiana, od roku 1933 — wiara ta runęła w gruzy. Nie ma postępu narodów i człowieka na zasadzie automatycznej, okrucieństwo jest składową częścią natury człowieka i można zbrodni nauczyć zarówno jednostkę jak i społeczeństwo.

Jeżeli tak jest, to rodzi się pytanie czy straszliwa noc hitleryzmu była ostatnim aktem obłąkanej gromady, czy też może się to powtórzyć w innych częściach świata w jeszcze większych wymiarach? Czy na przykład Chiny Mao-Tse-Tunga, które liczą 700 milionów nie potrafią zmontować obozów jeszcze gorszych od Niemiec Hitlera, które liczyły zaledwie 70 milionów ludzi? Czy lekcja hitleryzmu zapadła na zawsze w świadomość ludzką, czy też spłynie po niej za lat kilkanaście? Oto groźne pytania, które powstają na tle książki Wiesenthala, opowiadającej rzeczowo i niemal beznamytnie o tropieniu nieukaranych zbrodniarzy. Książka ta potwierdza dawne spostrzeżenia, że Niemcy zaczęli od ćwiczenia się na własnych obywatelach i że obozy śmierci poprzedzone były miniaturami stworzonymi na pograniczu Niemiec i Austrii, gdzie gazowano ludzi na małą niejako skalę, używając do tego materiału w oczach hitlerowskich pośledniego, a zatem ludzi przeważnie umysłowo chorych. To jest może największa rewelacja książki Wiesenthala — opis tej szkoły zbrodni i okrucieństwa, w której wrażliwość człowieka stępsia się i zaczyna traktować robotę zabijania ludzi jako prosty fach. W takiej atmosferze rozdziły się typy w rodzaju Eichmanna, który do końca bronił się, że wykonywał tylko rozkazy. Jeżeli Niemcy potrafili wytracać własnych swoich rodaków, to o ileż łatwiej przychodziło im wyniszczanie ludzi uważanych za „Untermenschen“. Psychologicznie cała ta operacja była natchniona duchem diabolicznej przemysłowości. Człowiek, który w zamku austriackim, w podziemiach i kazamatkach obserwował przez wziernik zachowanie się ludzi zagazowanych, nie drgnął na pewno potem w Oświęcimiu, kiedy wytracał tysiące w komorach gazowych. Był już oswojony ze zbrodnią i zadawaniem śmierci i, co więcej, zadawanie śmierci uważał za przywilej wyższej rasy, która musi wytracić podludzi.

Perspektywy jakie otwiera ta sprawa przedstawiona na kartkach książki Wiesenthala są doprawdy otchłanne. Potwierdzają one istnienie tego co język francuski nazywa „le mal positif“, a człowieka wierzącego umocnią w przekonaniu, że istnieje pozy-

(Dokończenie na str. 10)

*) S. Wienthal „Murderers Are Among Us“, London 1967.

Krakowskie życie literackie przyniosło w dniu 18 czerwca artykuł, zatytułowany „Książka dla nikogo.“ Autor artykułu, Tadeusz Robak, publicysta, jak widać, dobrze zorientowany w polityce wydawniczej państwowych „Domów wydawniczych“, przedstawił, oparte na autentycznych źródłach, fakty i cyfry, ilustrujące produkcję książek w latach 1965/66. Podane przez niego tytuły niektórych książek, których domagają się czytelnicy, zapotrzebowania przesłane przez księgarnie do wydawnictw i sposób traktowania ich przez wydawnictwa, wyraźnie zaprzeczają twierdzeniu, używanemu przez czynniki rządowe i partyjne, iż powodem tego stanu rzeczy jest brak papieru. Ta argumentacja widocznie nie przekonała ani autora, ani kierowników księgarni państwowych, a znalazła swój wyraz w twierdzeniu autora, iż jeśli ta kiepska sytuacja nakładowa się nie zmieni, to naród się odczytać, a w każdym razie przestanie kupować książki.

Aby zapoznać się z tą „kiepską“ sytuacją nakładową, należy zapoznać się z podanymi przez autora cyframi za okres dwuletni, głównie jednak za rok 1966. Dowiadujemy się, że m. in. w czwartym kwartale 1966 r. księgarnie zamówiły 85.000 egzemplarzy „Polski Piastów“, a otrzymały tylko 30.000. Hemingway'a „Stary człowiek i morze“, zamówiono 92.000, a otrzymano również

(Dokończenie ze str. 9)

tywna siła zła na świecie i że Szatan działa dalej wśród ludzkości. Przeżycia tych wierzących, że w Hitlerze wcielił się nowy Antychryst nie były może tak dalekie od prawdy.

Dla poznania granic niejako zbrodni ludzkiej książka Wiesenthala jest dokumentem nieodzownym. Jako ostrzeżenie przed tym co może nas jeszcze spotkać od człowieka — jest lekturą jak najbardziej aktualną. Okazuje się, że naród żyjący w sercu Europy i należący do najzdolniejszych narodów na świecie, może zmienić się w tłuszcę barbarzyńców, w porównaniu z którymi szczepy afrykańskie wydają się szczytem cywilizacji i oglady. Cały ten proces rebarbaryzacji dokonał się w przeciągu niespełna 10-ciu lat. I to jest memento, ustawicznie żywe, które przywodzi na pamięć zarówno książka Wiesenthala jak i długie szeregi opracowań ciągle aktualnego tematu ludzkiego okrucieństwa.

Zbigniew Grabowski

JAN ADAMSKI

Polityka państwowych

tylko 30.000. Z zamówionych 120.000 „Krzyżaków“ dostarczono tylko 25.000 egzemplarzy.

Trudno jednak uwierzyć, że powodem był brak papieru, bo jak podaje autor, w ubiegłym roku po długotrwałych zaciągach, przecenianiu i namowach pod adresem czytelników i różnych instytucji, by zabrały tę makulaturę za darmo, skierowano przeważnie na przemiał książki wartości 17,4 miliona złotych.

A sytuacja ulegała zmianie na gorsze, bo gdy z nowej produkcji sprzedano w 1965 80,2%, to w 1966 sprzedano już tylko 78%, co oznacza wzrost remanentów, czyli książek niesprzedanych z 252 na 274 miliony. W sumie remanenty najnowszej i starszej produkcji zwiększyły się w ciągu roku o 110 milionów książek.

Co składa się na remanenty?

Brak książek, których czytelnicy od dawna już się domagają w księgarniach powoduje polowanie na te książki „za ladą“. Tworzy się czarny rynek na książki, a skutki tego polowania nie różnią się od poszukiwania rzadkich towarów, kupowanych „za ladą“.

A w tym samym czasie półki księgarni zapełnione są książkami, o które rzadko kto pyta. O jakie książki tu chodzi, jakie były ich tytuły i jaki sprzedano procent? Oto kilka przykładów:

W czasie, gdy czytelnicy upórco domagali się „Polski Piastów“, wydano „Użytkowanie i chów koni“. Z nakładu 100 tysięcy (czyli, jak mówi autor jedną książkę na 25 polskich koni), pozostało w magazynach 75 tysięcy. Z innej książki „Warzywa“ sprzedano tylko 85%, a 51 tysięcy egzemplarzy leży w składnicy. Z nakładu 3 tysięcy „Spedycja mebli-przeprowadzki“ leżą w składnicy 1.800, a tu nawet kierowcy, którzy wożą meble „na fuchę“ nie okazali zainteresowania. Z nakładu 5 tysięcy „Bu-

dowa mostów“ sprzedano tylko 15%, bo jak mówi autor, w ciągu 100 lat nie zbudowano w Polsce takiej ilości mostów.

Jednak na tak wielkie remanenty składają się nie tylko książki tańsze, ale głównie książki drogie w luksusowym wydaniu np. „Perspektywy wychowawcze w sztuce“ (cena 55 zł.). Z nakładu 18,700, zapycha magazyny aż 12,625. Z horendalnie drogiego albumu „Polska — 1944-1965“ (cena 380 zł.), 15 tysięcy pozostało jako remanent, bez widoków na sprzedaż. Zawiodły, i to nie po raz pierwszy nadzieje wydawców, że książki o treści ideowo-społecznej znajdą odbiorców. Podobnie nakład książki „Kółka socjalistyczne, gminy i wielki proletariatus“ (cena 140 zł.), 80% leży w magazynach.

„Książka trudna pozostaje trudną“ mówi autor. Za to brak jest na rynku księgarskim „Encyklopedii“. Ileż to egzemplarzy tego wydania, którego tak silnie domagają się czytelnicy, można było wydać w miejsce 30 milionów książek, które w zeszłym roku trafiły do magazynów.

Robak zwraca uwagę na fakt, że ludzie w Polsce masowo się uczą. Ale nie mogą doczekać się książek tak bardzo im potrzebnych, a nie kupują tych, które chcą im sprzedać popularyzatorzy wiedzy. Stąd np. nowe wydanie seryjne „Omega“, które wymaga od czytelnika prenumeraty, a przynosi wiedzę o cybernetyce, o krowach, sztuce japońskiej i paleozoologii było dalszym marnotrawieniem papieru. Tempo przyrostu remanentów książek zwiększyło się w ciągu roku pięciokrotnie, a przecież, mówi autor, topimy w ten sposób papier, który w Polsce jest surowcem bardziej deficytowym od cegły, cementu i stali.

Przedstawiona przez autora sytuacja dowodzi, że o wydaniu książki i nakładzie decyduje nie zapotrzebowanie ryn-

A. J. NARBUT-ŁUCZYŃSKI

U KRESU WĘDRÓWKI

Pamiętnik wojskowy i polityczny z okresu 1870—1946 w którym autor, jeden z wybitnych oficerów legionowych daje świadectwo prawdziwego czasu, bez ambicji historyka czy stratega.

464 stron druku, 20 stron ilustracji oraz szkice w tekście.

Cena: 52/6; \$ 7.00; F. 35.00

Do nabycia: GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W. 7.

oraz we wszystkich księgarniach polskich

wydawnictw książek B.D.I.C

ku, lecz dobry kontakt autorów z wydawcami. Ale tu reakcja czytelników jest również niezmienna i zdecydowana. Nie pomaga tu ani zachwalanie, ani presja wydawców. Klient nie kupi tandety podsuwanej mu przez wydawców, zaś ci ostatni produkują spokojnie „na magazyn”. Z roku na rok zwiększa się produkcja książek, jednak w tym samym czasie rosną niewspółmiernie szybkiej rewanenty.

Krytyczne głosy.

W zesłorocznym, październikowym numerze Miesięcznika Literackiego, zabrał w tej sprawie głos znany krytyk literacki, Włodzimierz Maciąg. W dobru opracowanym esejem autor, w sposób jasny wskazał na więź między literaturą a czytelnikami, co pociągnęło za sobą utratę autorytetu periodyków literackich. Do roku 1956, pisze Maciąg, pisarz musiał albo otwarcie zdeklarować swoją ideologiczną przynależność albo milczeć. Po 1956 r. pisarz odzyskał pewną pseudo-niezależność. Mógł się wyrażać swobodnie, ale był pozbawiony wyrażenia tego, czego domagała się społeczność czytelników. W nowej roli, pisarz przestał być nauczycielem i znalazł się w sytuacji bezradnej. Zanikła więź między nim a czytelnikiem. Mówił do siebie, nie do mas. Samotność była więc ceną, jaką musiał zapłacić za „niezależność”. Szerokie masy czytelników utraciły wiarę w literaturę, ponieważ w artykułach dostępnych im w piśmie literackich, wyrażała się ta sama samotność autorów. Od wielu lat zanikły dawniej ugrupowania literatów, zanikły uznawane dawniej ugrupowania literatów, zabrakło ruchu literackiego, programów, twórczych idei i debat.

Nacisk polityczny pozbawił jednostkę możliwości opinii intelektualisty. Pisarz uzyskał swobodę „od czegoś” (np. od stalinizmu), ale nie uzyskał swobody dla wyrażenia „czegoś”, czyli, że nie odzyskał swobody do twórczej pracy. Brak zatem jest w dzisiejszej Polsce debat na tematy ideologiczne, brak jest w pracach literatów obserwacji, intelektualnego doświadczenia i zdolności rozpoczęcia konfrontacji. Duchowy nurt życia naszej społeczności płynie innymi drogami, poza treścią naszych książek i dyskusji literackich.

Podobne uwagi w Życiu Literackim z 11 listopada 1966 r. wyraził zaangażowany pisarz Tadeusz Hołuj. Nie zaważał się powiedzieć, iż w przeciwieństwie do krajów kapitalistycznych, w Polsce nie napisano ani jednego dzieła, zasłu-

gującego na nazwę dzieła literackiego. W współczesnych polskich nowelach wyczuwa się istnienie politycznego tabu. Dlaczego nie napisano dotychczas ani jednej książki o Polakach „Na wschodzie od Bugu”? Dotychczas tylko Polacy żyjący za granicą poruszali to zagadnienie.

W związku z tym należy przypomnieć przemówienie Zenona Kliszki, głównego ideologa partii, wygłoszone na kongresie kultury polskiej w październiku ub. roku, gdy zapewniał, że w okresie Polski ludowej wydano wiele znakomitych prac literackich, które potwierdziły przyjęcie przez twórców wspólnej odpowiedzialności w dziele budowy socjalizmu. Wzrost nakładów, według Kliszki, jest dowodem, iż literatura polska staje się coraz to zamożniejszym źródłem duchowej siły społeczeństwa polskiego. Nie wspominał natomiast ani słowem, o rzeczowej krytyce, wyrażonej przez krytyków literackich z własnego obozu, o wzrastającej alienacji między twórcami a społecznością. Nie mogło być inaczej, bo twórczość literacką wydawnictwa usiłowały i do dnia dzisiejszego usiłują nastawić do wskazówek samego Gomulki, nakreślonych na 4 zjeździe partii w czerwcu 1964 r. w tych słowach:

„Partia, na której ciąży odpowiedzialność za kształtowanie świadomości narodu i wykonanie go w duchu socjalizmu, nie może być ani obojętna ani neutralna wobec treści ideowych i moralnych, reprezentowanych w twórczości i działalności kulturalnej. Funkcja twórczości artystycznej może być najlepiej spełniona wówczas, gdy będzie ona wspierać generany kierunek rozwoju Polski, wytyczony przez partię. Będziemy przeto zwalczać w literaturze i sztuce tendencje reakcyjne w ich treści, wyrażające pesymizm i anarchię, sprzeczne ze stanowiskiem państwa i narodu.”

Zapowiedział, że twórcy nie mogą liczyć na wydanie ich książek o treści sprzecznej z programem kulturalnym partii.

Skutki tej polityki przedstawili Maciąg i Hołuj, a ostatnio Tadeusz Robak w swoim artykule „Książka dla nikogo.”

Czy jesteś członkiem SPK?

KSIĘGARNIA S. P. K.
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.
Great Britain

POLSKA KSIĄŻKA W POLSKIM DOMU:

- to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel,
- to kulturalna rozrywka i odpoczynek,
- to najlepszy sposób pielęgnowania ojczystego języka!

POLSKIE PISMO W POLSKIM DOMU:

- to najlepsza łączność z polskim życiem,
- to jedyny kontakt z rodakami w całym świecie,
- to polskie okno na świat i jego sprawy!

KSIĘGARNIA S. P. K.

- jest zaopatrzona we wszystkie książki wszystkich wydawców emigracyjnych,
- prowadzi kolportaż wszystkich pism niepodległościowych wydawanych na emigracji,
- posiada na składzie podręczniki dla szkół nauczania przedmiotów ojczystych.

KSIĘGARNIA S. P. K.

- jest składem głównym (na prawach wyłączności):
GRYF PUBLICATIONS LTD.,
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO
IM. GEN. SIKORSKIEGO,
POLSKIEGO TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO W W. BRYTANII,
POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO,
— jest bogato zaopatrzona w wydawnictwa krajowe.

KSIĘGARNIA S. P. K.

- zamówienia pocztowe załatwia odwrotnie,
- kołom S.P.K., szkołom i bibliotekom udziela rabatu,
- działa w oparciu o największą organizację społeczną, jaką jest Stowarzyszenie Polskich Kombatantów.

Wszelkie zamówienia i wpłaty (czeki, P.O. i I.M.O. należy wystawiać na: P.C.A. PUBLICATIONS LTD.), prosimy kierować na adres:

KSIĘGARNIA S.P.K.
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.
Great Britain.

U w a g a: Przy przesyłaniu należności prosimy o podawanie numeru rachunku.

QUO VADIS BIEDNY ŚWIECIE ?

PATRZAC i słuchając co się koło nas dzieje, myślę nieraz coraz częściej, że albo świat oszalał, albo znajdujemy się w nowoczesnej Sodomie i Gomorze, dla ocalenia której szuka się dziesięciu sprawiedliwych. Wszystkie znane i nieznanne wartości obrócone do góry nogami: ongiś możni i odważni dają sobie płuć w twarz, a inni wiją się w patologicznych skrętach nieopanowanych pasji, wyżywają się w gwałcie, mordzie, okrucieństwie, pogromach i innych formach nienawiści. Bezustannie, tu czy tam, wybuchają śmiercionośne płomienie, od ludzkich rąk i nieludzkich kataklizmów; stojący na krawędzi przepaści świat — ileś tam tysięcy milionów udreżonych ludzi — smagany jest ze wszystkich stron znanymi i nieznanymi plagami, własnej i niewłasnej roboty. Trzymamy się kurczowo słomki pokoju za wszelką cenę, a słomka pali nam się w rękach. Jeszcze wierzącym ciśnię się na usta modlitwa, prastara z nowoczesnymi dodatkami, od ognia, wody, moru, głodu, techniki, przyrostu naturalnego, skretyniałych, albo żądnych krwi przywódców, chroń nas, Panie...

Hipokryzja tych, którym powierzyliśmy troskę o nasze losy, nie zna granic na Zachodzie, ale przechodzi wszystkie ludzkie pojęcia na Wschodzie. I tak np. nieomal wszystkie dostępne teraz na świecie środki komunikacji pełne są „biednych arabskich uchodźców“. Pokazują ich tu czy tam, wygnanych z domów przez wojnę, której sami chcieli, a specjalnie, jak „fotogenicznie“ przechodzą przez niepewną izraelską kładkę zamiast przez zburzony rączkami „dzielonego“ Husseina most Allenby. Świat roni nad nimi krokodyle łzy, biedne arabskie uchodźczynie nie mają dla swoich dzieci „baby food“ w ślicznych szklanych puszczech; arabskie niemowlęta nie mają pieluch „Marathon“, ani uroczych nylonowych ubranek, litują się eleganckie panie. „Ach — wdychają pełni współczucia dla „underdog“, uchodźcy mieszkają w niehigienicznych obozach, nieszczęsne ofiary izraelskiej wygranej“. Z tego co nam pokazują, mówią i piszą należy wyciągnąć wniosek, że przed tą wojną mieszkali w pałacach z lokajami i pewno jedli homary i steki, jak czytelnicy „Timesa“ i widzowie telewizji. Oprócz tych, naturalnie, którzy bez wojny i w bogatych krajach mieszkają w slumsach i nie stać ich nawet na jeden stek tygodniowo.

Cholera może wziąć człowieka, takiego jednego z nas, którzyśmy przez

długie lata, przez wieki, byli uchodźcami i nieomal nikt nie ronił nad nami nawet krokodylich łez. Krew zalewa na to wszystko nas, którzyśmy po milion razy zdychali na ulicach miast i miasteczek, na polach i w przydrożnych rowach, na stosach, barykadach i w komorach gazowych, w obozach i lagrach i kopalniach i od dzikich zwierząt, w ludzkiej i nieudzkiej postaci. Nas, którzyśmy rodzili dzieci na stacjach kolejowych i w lasach, a chowali je w schronach, bunkrach i melinach, w większości krajów tego świata, który dzisiaj zachłystuje się w pustosławnej litości nad arabskimi uchodźcami; których i zwycięzcy i zwyciężeni proszą, żeby nie byli uchodźcami, ale im tak wygodniej, bo bez pracy dostają zapomogi od litościwych narodów „zjednoczonych“, po co więc mieliby zostać w Izraelu?

Obok małych wzmianek, że trzy miliony Żydów w Rosji i kilkadziesiąt tysięcy w kilku krajach za żelazną kurtyną znajduje się w okresie przedpogromowym; że popełniają samobójstwa, bo za dużo tego wszystkiego na pojedynczego człowieka, na jedno wymęczone pokolenie; obok krótkich wiadomości o mordowaniu Żydów, wyrzucaniu ich i grabieży ich mienia w arabskich krajach, nawet tych, które z Izraelem nigdy nie miały nic do czynienia — olbrzymie artykuły poparte wyciskającymi krokodyle łzy zdjęciami i filmami o tych dobrowolnych uchodźcach, którym dwumilionowy Izrael zrobił „krzywdę“, że wygrał wojnę, narzuconą mu przez 100 milionów Arabów, plus 300 milionów Rosjan plus 500 milionów Chińczyków.

Greulpropaganda ślepej nienawiści do ludzi w ogólności (trochę innych!), a do Żydów w szczególności przekroczyła wszystkie ludzkie granice w Rosji i w krajach, które z tych czy innych względów muszą wyć jak tm Rosja zagra. Jak już od dawna przyjęte z tamtej strony kurtyny, każda broń jest dobra, byle trafiała do celu. Doprowadzającej ludzi do obłędu operacji dokonywane przy pomocy bezczelnych kłamstw, oszczerczych obelg, zbiorowych wrasków, przekupstwa, groźby, zdradzieckich wypadów wobec słabszych, zawsze tylko wobec słabszych.

„Hitlerowskie metody Izraela“, głoszą z międzynarodowych trybun wnuki czarnoseńców o miedzianych czołach, którzy w 1939 roku zawarli diabelski pakt z Hitlerem, aby zagarnąć pół Polski i szereg innych małych krajów. „Izrael-

ski agresor“, krzyczą godni następcy Stalina, którzy odejmowali od ust swoim i nieswoim obywatelom, aby ich bronią Arabowie dokonali „ostatecznej zagłady“ 2 milionów Żydów. „Okrutnicy, dręczyciele uchodźców i jeńców wojennych“, zarzucają Izraelowi inspiratorzy Katynia, którzy z zimną krwią wymordowali miliony własnych ludzi i w zagrabionych krajach, którym teraz dyktują odpowiednie „melodie“.

Nikt nie wspomina dzisiaj o niezliczonych zastępach uchodźców z tejsze Rosji, z Polski i Czech, z Węgier, z Łotwy czy z Litwy. Odpowiednio przez „matiuszkę-Rasiję“ spreparowana uwaga świata koncentruje się na tych rozdętych tysiącach arabskich uchodźców, którzy przecież do tej pory mieli „rajskie“ życie w obozach utrzymywanych przez „zjednoczone narody“; w obozach, które ich wielcy arabscy bracia zamienili w wystawowe okna nędzy, aby mieć jeszcze jedną kartę w rosyjskim „master“ planie zlikwidowania Izraela i głębszego zajęcia pod skórę Zachodowi przez odebranie mu nafty i postawienie buta na Środkowym Wschodzie.

Z ogłoszonych w Timesie „rachunków „Oxfham“ wynika, że filantropijna pomoc dla głodnych i uchodźców świata to drobniutka kropelka w oceanie funduszy wydawanych na zbrojenia, które w logicznej kolei rzeczy doprowadzają do powstawania coraz nowych zastępów głodnych i uchodźców. Z rachunków ogłoszonych przez telewizję wynika, że sama tylko Anglia wydała około 100 milionów funtów na pomoc — przede wszystkim w zbrojeniach! — dla państw arabskich, podczas gdy cała jej pomoc dla Izraela wyraża się sumą... 2.000 funtów na kongres hotelarzy i restauratorów. O miliardach rubli czy czy złotych wydanych przez Rosję i satelickie reżymy opowiadają niewiarygodne opowieści, spalone Iliuszyny i Miگی, martwe rosyjskie i czeskie tanki i armaty na upstrzonym arabskimi trupami i butami piasku syeńskiej pustyni. O miliardach rubli wydanych i wydawanych w dalszym ciągu, „w imię pokoju“, na nowe Iliuszyny i tanki, na jeszcze więcej krwi i łez, na świeże zastępy uchodźców i nędzarzy. Rosjanie „usprawiedliwiają“ te brand-new wydatki greulpropagandą, przypominającą do złudzenia wyczynny Goebbelsa, dopingują innych, żeby posyłali żywność i pedy dla już istniejących dzięki nim uchodźców, których wierni arabscy bracia jeżdżą złotymi Cadillacami, na siedzeniach z nurków. (dok. na str. 29)

Nic nowego pod słońcem

BERTRAND RUSSELL w swej „History of Western Philosophy“ pisze:

„Aby móc zrozumieć psychologię Marksa, należy używać następującego słownika:

— Mesjasz = Marks
 Wybrany (elekt) = Proletariat
 Kościół = Partia Komunistyczna
 Powrót Chrystusa na ziemię = Rewolucja
 Piekło = Ukaranie kapitalistów
 Millennium (Tysiąclecie panowania Chrystusa na ziemi) = Rzeczpospolita Komunistyczna

Podobny słownik można by ułożyć dla hitlerowców, ale ich koncepcje są zaczerpnięte raczej ze Starego Testamentu i mniej chrześcijańskie niż Marksa. Ich Mesjasz jest bardziej podobny do Machabeuszów niż do Chrystusa.“

Istotnie, gdy się czyta Talmud, Stary i Nowy Testament, dzieła scholastyków i Doktorów Kościoła, „Kapitał“, „Manifest Komunistyczny“ oraz inne dzieła Marksa i jego uczniów, jak również „Mein Kampf“ Hitlera oraz prace zarówno ich współczesnych wyznawców i egzegezów ich następców rzuca się w oczy, że wszystkie te doktryny są do siebie podobne, przy czym w dużej mierze mistyczne i utopijne.

Talmud uczy, że po przyjściu Mesjasza na ziemię wszyscy będą „prorokami“, co znaczy, że nie będzie złych ludzi, albowiem wszyscy będą uczciwi, sprawiedliwi i pracowici. Nie będzie przestępców, chorób, bólu, cierpienia, nędzy itp. Zboże będzie dojrzewało po upływie miesiąca od czasu posiania. Niektórzy rabini-egzegeci idą dalej i twierdzą, że gotowe bochenki chleba będą rosły na polu, a owoce będą dojrzewały w ciągu jednego dnia oraz wyrastały i dojrzewały nowe w ciągu tego samego czasu po zebraniu starych itp. Gdy dusza (razem z ciałem, bo wspólnie grzeszyły) staje przed Sądem Bożym otrzymuje do podpisania wykaz wszystkich grzechów. Musi to uczynić bez sprzeciwu i tłumaczenia się, a nawet powiedzieć: „Słusznie Panie mię osądziłeś“, czyli „pokajać się“ jak w bolszewickim sądzie, lub wobec towarzyszy partyjnych podczas „samokrytyki“.

Ten raj na ziemi żywo przypomina naukę oraz optymistyczne przepowiednie Marksa i innych proroków marksistowskich, którzy zapewniają, że dobrobyt i szczęście ludzkości nastąpi po niewątpliwym (determinizm materialistyczny) nastaniu rzeczypospolitej komunistycznej na ziemi. Przepowiednie te i prorocтва nie były wynikiem logicznego i racjonalnego myślenia i rozumowania, lecz wraz z przekonania głęboko wierzących ludzi. Gdy Stalin i Chruszczow zapowiadali w ściśle określonych terminach, które przeważnie już minęły, dognanie i wyprzedzenie Ameryki na polu ekonomicznym oraz w dziedzinie dobrobytu i bogactwa, zapowiedzi te nie były z ich strony czczymi przechwałkami i obietnicami, lecz wypływały z głębokiej i niezachwianej wiary.

Obecni władcy sowieccy nie czynią tego. Jest to niewątpliwym dowodem załamania się, a może nawet załamania się, ich wiary. Może to mieć duże następstwa dla całego świata w postaci uwiądnięcia komunizmu wojującego i uwolnienia ludzkości od zmory bolszewizmu. Nic bowiem nie nastraja tak wojowniczo i agresywnie jak głęboka wiara w słuszną sprawę, wypływająca z irracjonalnej mistyki i utopii, zwłaszcza, gdy chodzi o tak wzniosłe zadanie jakim jest uszczęśliwienie i zbawienie ludzkości. Ekspansja imperialistyczna, oczywiście, będzie mogła jeszcze długo być uprawiana pod pokrywką idei i wiary marksistowskiej, ale będzie to inne zagadnienie. Zresztą, zanosi się na „wojnę trzydziestoletnią“ między rosyjskim i chińskim marksizmem.

Niezależnie od tego, pozostanie na długo szczera i głęboka wiara pewnej ilości wyznawców religii marksistowskiej. Nawet najmniejsze sekty religijne mają długi żywot. Np. towia-nizm, produkt naszego rodaka i prawdopodobnie agenta carskiego w Paryżu, do dnia dzisiejszego ma swych wyznawców w niektórych okolicach Włoch. Tym bardziej marksizm, któ-

ry wstrząsnął prawie całym światem, ma widoki długiego żywota jako religia. Wyznawcy jednak jego z czasem przestaną regulować życie gospodarcze i społeczne, przy czym ograniczą swą działalność do uprawiania kultu religijnego w swych świątyniach, zwanych obecnie „pałacami kultury“.

Z Talmudu nie wynika, że mędrcy Izraela byli przeciwni robieniu interesów i bogaceniu się. (Być może miało to związek z charakterem żydowskim). Dopiero Chrystus zaczął wypędzać handlarzy srebrnikami ze świątyni. Zresztą Talmud, pomimo, że część jego dotycząca prorocтва, jest utopijna, zawiera dużo praktycznych i mądrych przepisów. W każdym razie z Talmudu można się nauczyć o całe niebo więcej, niż z „Kapitału“ Marksa.

Z nastaniem chrześcijaństwa nastąpił w tej dziedzinie prawdziwy przewrót, żywo przypominający bolszewicką rewolucję. Takie hasła i groźby jak „łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogaczowi dostać się do nieba“, lub powiedzenie św. Pawła, iż „ten kto nie pracuje nie powinien jeść“ żywo przypominają filozofię marksistowską.

Wstrząs był w dodatku spotęgowany przez fakt, że nowa religia i filozofia były czynnikiem rozkładowym i zagrażały racjonalnemu i bardzo praktycznemu ustrojowi państwa rzymskiego, opartemu na niezmiernie logicznym i rzeczowym systemie prawnym, który do dnia dzisiejszego ma zastosowanie w wielu krajach cywilizowanych. Było to niewątpliwie powodem prześladowania chrześcijan przez bardzo tolerancyjnych w dziedzinie religijnej Rzymian, tak jak obecnie w niektórych, nawet bardzo tolerancyjnych, krajach prześladowuje się komunistów.

* * *

Z upadkiem imperium rzymskiego, do czego chrześcijaństwo znacznie się przyczyniło, nastąpiły w południowej i zachodniej Europie rządy teokratyczne

(Ciąg dalszy na str. 14)

ne. Papież sprawował przy pomocy biskupów i niższego duchowieństwa władzę zarówno kościelną jak i świecką. W tym okresie sytuacja była bardzo podobna do tej, która istniała w Sowietach za czasów Lenina, Stalina i Chruszczowa. Papież miał dyktatorską władzę nie tylko nad duszami swych poddanych, lecz również nad ich ciałem, dziećmi i majątkiem. Posiadanie bogactwa i korzystanie z dobrobytu uważano za grzech śmiertelny. Zysk był potępiony nie w mniejszym stopniu niż za czasów dyktatury Stalina. Np. jeżeli ktoś posiadał własny warsztat pracy i zatrudniał siły najemne, nie wolno mu było mieć większego dochodu niż wynosiły płace jego czeladników i robotników. Kupiec winien był sprzedawać towar po takich cenach, aby pozostało mu tyle ile zarobił pracą rąk własnych i nie więcej niż płacił swym subiektom. Czyli „urawniłowka“ na całego.

Nic nie obchodziło teokratów, że w wypadku zużycia narzędzi, pożaru, kryzysu gospodarczego itp. musiał pracodawca mieć odłożone pieniądze, aby móc załatać dziury. Pojęcie kapitalizacji i inwestycji było nieznanne. Nie uwzględniano faktu, że zadaniem przedsiębiorców jest również poszerzanie przedsiębiorstw i tworzenie nowych, aby liczne potomstwo robotników miało w przyszłości pracę i więcej towarów niezbędnych do zaspokojenia wzrastających potrzeb codziennych.

Zarobki robotników, długość dnia roboczego oraz ceny towarów były ściśle określone i naruszenie przepisów w tej dziedzinie surowo i dużo surowiej karane niż w wilsonowskiej Anglii.

Pobieranie procentów od pożyczek było zabronione i surowo karane, jako będące grzechem śmiertelnym. Życie jednak szło swoim torem, albowiem gospodarka wymagała kredytu. Wytworzył się wskutek tego czarny rynek na operacje bankowe i wynikiem tego było podrożenie kredytu w postaci bardzo wysokich odsetek (dochodzących do 100%), które musiały pokryć ryzyko.

Na podobnych zasadach jest oparta Marks'a teoria wartości, a mianowicie że wytwór rąk ludzkich jest tyle wart, ile włożono w niego pracy. Z tego wynika, że jeżeli bohomas malował obraz przez cały rok, a wielki artysta

namalował swój obraz w ciągu jednego miesiąca, obraz partacza był wart 12 razy więcej. Ile był wart „wytwór rąk“ jego służącej, która ciężko pracując nic nie produkowała, Marks nie pisze. Prawdopodobnie nic i dlatego nie uważając tego za wysysk tak mało jej płacił, chociaż cynik powiedziałby, że „każdy święty ciągnie do siebie“.

Trudno dociec czy myśl Marks'a była oryginalna, czy zaczerpnięta z nauki scholastyków i Ojców Kościoła według której „praca wspólny los ludzkości jest konieczna i zaszczytna; handel potrzebny, lecz niebezpieczny dla duszy; finanse w najlepszym razie są brudne, a w najgorszym haniebne“. Zatrudnienia więc w handlu i finansach nie uważano za pracę, lecz za coś obrzydliwego.

Po upływie pewnego czasu zrobiono wyjątek dla Żydów i patrzono przez palce na ich operacje bankowe. Teoretycznie wychodzono z założenia, że bez względu na ilość i ciężkość ich grzechów i tak są oni jako niewierni potępieni i nie wejdą do Królestwa Niebieskiego, a więc „lichwa“ im nie zaszkodzi. W istocie rzeczy, wskutek wzrostu uprzedmiotowienia konieczne było chociaż częściowe zaspokojenie potrzeb na rynku pieniężnym. Zresztą sam papież, biskupi oraz monarchowie, arystokracja i szlachta potrzebowali pieniędzy, które pożyczali na procenty od Żydów. Niektórzy nawet specjalnie w tym celu sprowadzali i osiedlali ich w swych krajach.

W średniowieczu Żydom nie wolno było zajmować się innymi zawodami. Z konieczności więc życiowej musieli zająć się operacjami finansowymi. To prawdopodobnie wyrobiło w nich zmysł do robienia interesów i pieniędzy.

Z biegiem czasu papież i biskupi zamieszkali w pałacach i żyli w dobrobycie i luksusie, eksploatując ludzi pracy. W średniowieczu trzecia część ziemi należała do kościoła, na której pracowali za darmo chłopci pańszczyźniani tak samo jak w majątkach arystokracji i szlachty. Tego jednak nie uważano za grzech śmiertelny, tak jak obecnie bolszewicy nie uważają za sprzeczne z nauką Maksa zmuszanie kołchoźników do pracy prawie za darmo. Nic więc dziwnego, że papież i duchowieństwo było wtedy tak samo znienawidzone jak są obec-

nie dyktatorzy i dygnitarze bolszewicy.

Podobna jest obecnie sytuacja w krajach bolszewickich. Gdy przybył do Londynu Kosygin jego córka zamówiła swymi strojami i biżuterią damy z najwyższych sfer arystokracji i plutokracji angielskiej, chociaż w Sowietach ludzie żyją w nędzy.

Gdy niedawno chińscy studenci wracali z Moskwy do swej ojczyzny zatrzymał się pociąg na stacji koło Irkucka. Studenci zaczęli wymyślać gapiącym się na nich chłopom od ruskich świń śmierdzących itp. Wszystkie przekleństwa „muzyki“ przyjęli ze stoickim spokojem. Nie wytrzymałi dopiero wtedy, gdy zostali nazwani „kapitalistami“. Pokazując swe obute w łapcie z łyka nogi odparowali obraźliwe słowa, zarzucając Chińczykom, że to oni są „kapitalistami“, bo mają dobre buty.

Było to typowe nieporozumienie. Chłopi syberyjscy myśleli kategoriami ekonomicznymi, a Chińczycy religijnymi. Oczywiście, w sensie ekonomicznym Kosygin jest kapitalistą, chociaż według obowiązującej w Sowietach religii jest on „proletariuszem“. Zresztą Mao jest również kapitalistą.

* * *

Z biegiem czasu nastąpił podział władzy. Wskutek niezadowolenia i nalegań królów i książąt papież przekazał im władzę świecką zachowując sobie duchową. Przez długi jednak czas podział był teoretyczny i iluzoryczny, albowiem w praktyce również i w dziedzinie świeckiej papież wydawał polecenia, które władzcy świeccy musieli pod groźbą ekokomuniki, której wówczas bardzo się bano, i wojny świętej wykonywać. Ten hierarchiczny stosunek był podobny do tego, który obecnie istnieje w Sowietach: sekretarz generalny partii komunistycznej występuje w roli papieża z późnego średniowiecza, a premier-monarcha z tego okresu.

* * *

Reformacja była rewolucją i buntem przeciw papieżowi i jego władzy. Los jednak szarego człowieka w krajach protestanckich nie tylko się nie poprawił, lecz nawet pogorszył się. Było to podobne do zrzucenia tyranii carskiej, aby ulec gorszej od niej tyranii i przemocy bolszewickiej.

Np. Kalwin nie tylko zastosował surową dyscyplinę w zmuszaniu do przestrzegania nauki Ojców Kościoła i scholastyków, lecz nawet wprowadził system policyjny w całym tego słowa znaczeniu. Zarządził odwiedzenie domów przez duchownych w celu stwierdzenia czy ludzie nie próżnują, nie piją, nie cudzołożą itp. Zachęcał dzieci do denuncjowania rodziców. Wieczorem nie wolno było zasłaniać okien, aby wszyscy mogli widzieć co ludzie robią i czy nie grzeszą. Wszędzie kręcili się szpicle. Dzieci były przymusowo umieszczane w warsztatach pracy, aby nauczyć ich rzemiosła. Niepracujących dorosłych umieszczano w domach i zakładach pracy przymusowej. Nieprzybycie lub spóźnienie się do pracy było surowo karane itp.

Głosił on też zasadę, że lepiej zgładzić tysiące niewinnych, niż gdyby mógł ujsć bezkarnie jeden winowajca. Inkwizycja Kalwina była o wiele okrutniejsza i bezwzględniejsza niż hiszpańska, chociaż dużo mniej krwiożercza od bolszewickiej za czasów Stalina. Marksowski determinizm materialistyczny jest kopią fatalizmu Kalwina.

Kalwin wprowadził jedną tylko dodatnią zmianę w ówczesnym systemie religijno-gospodarczym. Pozwolił na pobieranie procentów od pieniędzy pożyczonych bogatym, a zwłaszcza przedsiębiorcom, którzy ciągnęli z nich zyski. Od biedaków dalej nie wolno było brać odsetek. Było to coś podobnego do obecnej angielskiej polityki mieszkaniowej: bogatym właścicielom domów wolno pobierać od bogatych lokatorów dowolne komorne — biedny właściciel nędznego domku winien dać mieszkanie biedakowi za pół darmo, dopóki domek z braku reperacji nie zawali się.

Miało to jednak ogromne znaczenie ekonomiczne. Wprawdzie nikt nie pożyczal pieniędzy ubogim, ale za to bogaci mieli wszędzie otwarte kredyty, a zwłaszcza drobnymi ciułaczami obficie zasilali ich kasy. Wskutek tego rozpoczął się gwałtowny wzrost przemysłu i powszechnej zamożności. W tym momencie narodził się, a raczej został poczęty, kapitalizm, zwiastujący rewolucję przemysłową, którego wyznawcy kalwinizmu byli głównymi pionierami i promotorami. Miało to tak wielkie znaczenie dla życia gospodarczego, że nawet do niedawna kraje

protestanckie, będące pod wpływem kalwinizmu, były na ^{89.1.C} bogatsze od katolickich.

Nic więc dziwnego, że obecnie władcy bolszewicy nie zabraniają pobierania procentów od pożyczek, co przed tym było surowo zabronione, a banki państwowe płać odsetki od ulokowanych w nich pieniędzy, przyczym „motyw zysku“ uzyskał słuszenie należne mu prawo obywatelstwa w komunistycznym systemie gospodarczym.

Jedno tylko martwiło Kalwina. Nie miał sposobu na zgłębienie i rozpoznanie myśli ludzkiej. Martwiło to też Stalina, który próbował różnych spo-

sobów, aby tego dokonać, ale bezskutecznie. Np. niekiedy policjanci sowieccy widząc, że dwaj przechodnie są pogrążeni w żywej rozmowie rozdzielali ich, przyprowadzali do urzędu policyjnego i tam z osobna pytali o czym rozmawiali. Jeżeli obaj powiedzieli to samo, byli zwalniani. W przeciwnym razie szli do łagru.

Nie rozwiązywało to jednak zagadnienia, gdyż będąc w łagrze, mogli oni nadal myśleć nieprawomyślnie, a inni nie rozmawiać na ulicy, na co nie było rady.

Plus ça change, plus c'est la même chose.

Aleksander Stambrowski

SOS recepta z kraju...

Dr. Karol Kratowski
Poznań, Półwiejska 1

Imię i nazwisko chorego A. Pomorski

Rp.

Librium @ 10 mg. 100 tabl. (ANGLIA)
Melleril @ 25 mg. 250 tabl. (ANGLIA)
Persantin 75 dragées (NIEMCY)
Flagyl @ 250 mg. 20 compr. (FRANCJA)
Trecator @ 250 mg. 40 compr. (FRANCJA)
Robaden 30 amp. (SZWAJCARIA)

Data Poznań 2.1.1966

Dr. Med. K. Kratowski
Podpis i stempel lekarza

P.S. Doradzam załatwić
przez TAZAB w Londynie, bo
wykona natychmiast!

22 ROLAND GARDENS, S.W.7 · FRE -3175

W NOWYM JORKU : TAZAB, 100, EAST 10th ST., N. YORK 3. NY.
WE FRANCJI : TAZAB, 20, RUE LEGENDRE, PARIS 17., Tel. 429-00-45

Le coeur a ses raisons que la raison ne connaît pas.

(Blaise Pascal)

DO połowy 17-go wieku największa zagadka anatomii czekała na rozwiązanie. Wiekopomnego dzieła dokonał Anglik, William Harvey, odkryciem tajemnicy krążenia krwi. Pojęto w końcu doniosłość funkcji odżywczego płynu i do dzisiaj trwają badania nad jego składem jak również znaczeniem dla normalnej czynności wszystkich narządów.

Ale i przed Harvey'em darzono uwagą krwionośne naczynia, ich dziwny niekiedy wygląd, przebijający przez pokrywą skórną, i różnorodne zachowanie się pod uciskającym palcem. Upust krwi należał przez wieki do najpopularniejszych, właściwie stereotypowo-odruchowych, zabiegów leczniczych, bez względu na rodzaj choroby i stan pacjenta. Subtelniejsza diagnostyka i poznanie grup krwi zachęcają dzisiaj do stosowania wręcz przeciwnego sposobu, do przetłaczania obcej krwi. Medycyna pozostawała przez długie lata jedynie sztuką i jako taka podlegała kaprysom mody.

Do krwi odwoływały się chętnie przedhistoryczne i nowsze mity jako też rytualne obrzędy. Antropologia i psychoanaliza mogą służyć licznymi przykładami. Powoływano się na jej skład i barwę a żądanie przywilejów motywowano jej szlachetniejszym lub pospolitszym gatunkiem. Krwią pisano szczególnie uroczyste zobowiązania i ona decydowała o stopniu pokrewieństwa. Nieśmiertelny Kipling każe Mowgli'emu, w swej wiecznie młodej „Księdze Dżungli“, witać zwierzęta pochlebny zapewnieniem: Ja i ty jesteśmy jednej krwi. Folklor każdego narodu nie szczędzi aluzji do krwi tak w pieśniach jak i legendach lub... przekleństwach. Jeden z wyjątkowych, angielskich psychopatów nawet raczył się krwią swych ofiar, po dokonaniu morderstw.

Cóż więc dziwnego, że tak osławiony plyn odegrał, i do dzisiaj sprawuje, ważną rolę w fenomenie cudu? Z krzywdą dla innych może również ważnych i pożytecznych pierwiastków. Trudność tylko w tym, że definicja cudu następuje więcej kłopotów aniżeli z pozoru można sądzić. Przekonałem się o tej prawdzie na własnej skórze, gdy w chęci zaspo-

W Y P R A W A

kojenia ciekawości sięgnąłem po Encyklopedię Katolicką, aby zapoznać się z oficjalnym poglądem kościoła. Rozdział, poświęcony temu zagadnieniu, przeraża objętością i, niestety, kompleksowością. „Miracula“ — cytuję w własnym tłumaczeniu — „oznaczają wedle łacińskiej wulgaty cuda szczególnego rodzaju, dokonywane przez nadprzyrodzone siły jako znak szczególnej misji lub szczególnego daru, wyraźnie przypisywany Bogu“.

Że odczułem pewny niedosyt po takim pouczeniu, świadczy może więcej o moich przesadnych wymaganiach aniżeli niedostatecznych zdolnościach pedagogicznych uczonego autora. Dalsze jego wywody nie przyczynią się jednak do rozprószenia moich wątpliwości. Wręcz przeciwnie, zgubiłem się w chaosie argumentów i kontrargumentów, nieskończonej liczbie zastrzeżeń i ograniczeń wielostronności zapatrywań różnych autorytetów. Rezygnuję więc z nauk przeznaczonych widocznie dla innego typu umysłowości aniżeli moja i z przyjemnością przerzucam się do... G. B. Shawa.

Autor „św. Joanny“ ujmuje zagadnienie niesłychanie prosto, zgoła — urzekająco. Już w drugiej scenie Arcybiskup dowodzi cierpliwie: „Cud, mój przyjacielu, to WYDARZENIE, KTÓRE STWARZA WIARĘ. To jest zadaniem i istotą cudów. Mogą się wydawać bardzo niezwykle ludziom, którzy są ich świadkami a bardzo proste tym, którzy je czynią. To jednak nie ma znaczenia: jeśli wzmacniają lub stwarzają wiarę są prawdziwymi cudami“. Nieco zdziwiony rozmówca pyta: „Nawet, gdy są oszustwem?“ Dostojnik kościelny nie daje wyprowadzić się z równowagi: „Wydarzenie, które budzi wiarę, nie zwodzi. Nie jest więc oszustwem lecz cudem“.

Rzecz tak jasno wyłożona, a tak do szarego człowieka przemawiająca, że spotkała się z aprobatą wszystkich kościołów. Dla naszych dalszych rozważań jest prawdziwym „godsend“ i proszę o niej pamiętać przy każdej konfrontacji z cudem.

Że jesteśmy nie tak rzadko świadkami niezwykle wydarzeń, świadczy chociażby niedawne doniesienie

Dziennika Polskiego, jak i prasy angielskiej, o rozczarowaniu wiernych w Neapolu, kiedy to krew św. Januarego nie zawrzała w oczekiwanym terminie. Ponieważ ten święty cieszy się szczególnym zainteresowaniem hematologów, pragnę poświęcić mu nieco miejsca.

W ósmym tomie „The Catholic Encyclopedia“ opisane jest jego świątobliwe życie, ścięcie na rozkaz Diokletiana i pochowanie w Capella del Tesoro, w Neapolu. Ściekającą krew przechowano w szklanej, przezroczystej rurce, szczelnie zamkniętej. Gdy się ją zbliża do głowy męczennika w pewnych porach roku, zastygła, ścięta ciecz przemienia swoją spistość na płynną a z jej powierzchni podnoszą się bańki jak z wrzącej wody. Od 400 lat obserwuje się i notuje to dziwne zjawisko, przeczące wszystkim prawom fizycznym i znajomości zachowania się krwi. Relikwię przechowuje się z największą starannością, pod kontrolą władz duchownych i świeckich. Przed właściwym seansem tłumy wiernych, pod kierownictwem pewnej kongregacji zwanej „Zie di San Gennaro“ (ciotuchny świętego Januarego), zanoszą, niekiedy bardzo natarczywie, modły o spełnienie cudu. Zazwyczaj dwie minuty po tych wstępnych przygotowaniach, na oczach wszystkich obecnych i specjalnej komisji, następuje przemiana. Delegat ogłasza uroczystie: „Il miracolo è fatto“, a dziękczynne Te Deum obwieszcza miastu i światu radosną nowinę. Ale biada nieszczęsnym mieszkańcom, jeśli święty zawiedzie. Jakież groźne nieszczęście spadnie niezawodnie. Stąd ważność świętego i niezachwiana wiara w jego cudowną moc.

Zawartości rurki nikt nigdy nie analizował. Opinia niedowiarków skłania się do przyjęcia teorii, że trzymanie relikwii w pobliżu zapalonych świec powoduje topienie substancji, wytworzonej z mieszaniny eteru i specjalnego tłuszczu. Nadgorliwi sceptycy zademonstrowali nawet takie połączenie i przemianę ciała stałego w płynne pod wpływem wyższej temperatury. Uczeni teolodzy odrzucili tę hipotezę z oburzeniem jak również inne tłumaczenia. Jedy-

ny kłopot, co zresztą z ubolewaniem przyznaje encyklopedia, to fakt, że sąsiednie gminy pozazdrościły miastu monopolu i usamodzielnily się, zapatrzywszy się w podobne retorty. Encyklopedia nie wypowiada się co do ich pochodzenia i autentyczności, ale już Tertullianus Septimus, w drugim wieku, zauważył, że „Semen est sanguis Christianorum“, czym chciał podkreślić znaczenie krwi dla budzenia wiary.

Nie ogranicza się ono jednak jedynie do sfery spiritualnej. Bo z powoływaniem się na nakazy krwi załatwiano niejednokrotnie bardzo przyziemne i trywialne sprawy. Nie kto inny niż Wilhelm II usprawiedliwiał z powodzeniem swoje ponorne pomysły zapewnieniem, że „Blut ist dicker als Wasser“. Widocznie ten argument trafiał skutecznie do przekonania i mistycznych potrzeb podanych, przyjmujących bez szemrania, a nawet z entuzjazmem tak niezwykle rewelacje.

Mistyki i siły z niej płynącej nie należy zbywać wzruszeniem ramion. Przed mistyką cofa się świat rozumu, świat zmysłów. Usuwa się przeszkoda i otwiera się droga do połączenia się z istotą wyższą. Tę cudowną unię przygotowuje ekstaza, wywołana spożywaniem świętych potraw, środkami odurzającymi, muzyką, tańcem i ascezą. Na wyższym stopniu medytacja i kontemplacja prowadzą do oświecenia ducha i stopienia się z bóstwem. W religii chrześcijańskiej mistyka teologiczna zajmuje się bliższym i dokładniejszym poznaniem Boga nie tylko przez rozum i wiarę lecz i przez wewnętrzne doskonalenie się i oczyszczenie.

W historycznej perspektywie zaliczymy do prądów mistycznych chiński tatoizm, indyjską teozofię, naukę greckich filozofów przyrody, filozofię Giordana Bruno, Spinozy, Herdera, Goethego, Schellinga, neoplatońską, i mistykę średniowiecza.

Z mistyką zapoznaliśmy się nie tyle dzięki teologii ile mesjanistycznej literaturze. Nasi wieszczowie byli wspaniałymi propagatorami mistyki. Najdoskonalszym chyba Słowacki. Jego zwrotki „Samuela Zborowskiego“

ociekają krwią i podnoszą jej znaczenie do godności symbolu narodowego. Krótka wzmianka należy się nieco tajemniczemu i kontrowersyjnemu Andrzejowi Towiańskiemu. „Wiadomości“ poświęciły mu ciekawy szkic pióra St. Wasylewskiego (Nr. 17, r. 1932).

Mistyczny proces uważamy za sprawę ducha albo, jak Pascal chce, serca. Czasem i ciało bierze w nim udział, służąc do rzutowania nań znaków, pochodzących z mocy i rozkazu czynników duchowych. I znowu jakaś wyższa wola zaprzęga krew wybranego i naznaczonego w swe tajemnicze służby. Ten typ mistyka znany jest i szeroko opisywany jako STYGMATYK.

„Stigma“, słowo greckie, tłumaczymy jako plama, znak. Rozumiano pod nim również piętno, wypalane dla poznaki na niewolnikach. W alegorycznym znaczeniu odnosimy to wyrażenie do odpowiedników pięciu ran Chrystusa, pojawiających się w ekstazie, wśród bólu, w postaci krwawień na skórze, u osób szczególnie przejętych wspomnieniem Męki Pańskiej.

Literatura światowa zna przeszło trzyście wypadków podobnej reakcji, w tym 41 u mężczyzn. Pierwszym i najślawniejszym stygmatykiem był św. Franciszek z Asyżu, wiek XIII. Syn bogatego kupca zasłynął ascezą i cudami. Grzegorz IX kanonizował go już dwa lata po śmierci. Wypadek bez precedensu.

Nie możemy jednak zatrzymywać się zbyt długo przy innych osobnikach minorum gentium. „W 19 wieku poddano cztery jaskrawsze przypadki oględzinom lekarskim. Wiele hałasu narobiła sprawa belgijskiej wieśniaczki Louise Lateau. Badali ją teolodzy i świeccy uczeni. Kongres lekarski w Wroclawiu w r. 1873 poświęcił jej specjalne posiedzenie. Najwyższy anatom ówczesnych czasów, Virchow, odrzucił bezkompromisowo możliwość fenomenu stygmatyzacji i nazwał całą aferę pospolitym szwindlem. Belgijska Akademia Umiejętności wydała zgola odmienne orzeczenie: „Bezstronna komisja obserwowała stygmata i ekstazy; nie ma pod-

stawy do przyjęcia oszustwa“. Wytlumaczenia jednak samego procesu stygmatyzacji nie podała.

Do sławniejszych stygmatyczek zaliczano: św. Katarzynę, Lucie z Naddni, Veronikę Guiliani, Gemma Golgani. Traktują o nich, jak i innych, odpowiednie rozdziały historii kościoła i darzą je należyty szacunkiem. Podkreślić jednak należy, że kościół nigdy nie utrzymywał, jakoby rozwiązał istotę omawianego zjawiska. Naturalnie, jest skłonny widzieć w nim grę sił nadprzyrodzonych.

Twardym orzechem do rozgryzienia okazała się dla medycyny Teresa Neumann, znana w literaturze jako STYGMATYCZKA albo MISTYCZKA z KONNERSREUTH. Dzięki niej ta mała wioska bawarska zyskała sławę, sięgającą daleko poza kraj i państwo. Teresa zapłodniła dziesiątki umysłów lekarskich — wśród nich głównie psychiatrów i dermatologów — również innych przedstawicieli nauki, teologów, reporterów, zawodowych poszukiwaczy sensacji i zawsze chwiejnych niedowiarków. Żaden jednak szczegół osobowości ani życia nie zdawał się predystynować jej skromnej osoby do roli, którą miała odegrać.

Urodziła się w kwietniu 1898 r. Pełdziła nieciekawe życie, dzieląc je między oborą i polem. W 20-tym roku życia była świadkiem pożaru sąsiedniej chaty. Brała udział w akcji ratowniczej, doznała przy tym szoku, wpadła w nerwową chorobę i spędziła 6 tygodni w szpitalu. Po powrocie do domu pojawiły się zaburzenia wzrokowe i niezdolność do chodzenia.

Jej stan w styczniu 1919 r. był pozałowania godny: ślepa, głucha, sparaliżowana, odleżyna na grzbiecie, krwawe wymioty, krwawa wydzielina z ucha. Opinia psychiatry, prof. Ewalda: typowa histeria.

Pięć długich lat przeleżała w łóżku, nieleczone, odwiedzana i pocieszana przez miejscowego księdza, który niezawodnie poruszał w rozmowie i tematy biblijne. W r. 1925, w dniu beatyfikacji swej patronki, odzyskała nagle wzrok, i władzę w członkach. Nastąpiło to po wizji i rozmowie ze świętą. Tego rodzaju wyliczenie tłumaczymy autosuggestią. Pacjentka nabrała przekonania, że jest przedmiotem szczególnej łaski bożej.

Czasu pojawienia się pierwszych krwawień nie znamy. Podobno wystąpiły pierwotnie na rękach, następ-

nie w ekstazie, wśród krwawego płaczu, na twarzy, później w okolicy serca, na stopach i głowie. W czasie badania przez prof. Ewalda obserwowano je w ośmiu miejscach. Po roku 1927 ulubionym miejscem pozostały ręce i stopy.

Wygląd skóry w miejscu krwawienia był przedmiotem najskrupulatniejszego badania i opisu: ciemny, cienki strup, o powierzchni suchej, szklistej, nie oddzielający się od głębszej tkanki, sączący krwistą ciecz z nadbrzeżnego rąbka. Brak wszelkich zmian zapalnych budził zdumienie u wszystkich specjalistów skórnych, a nieobecność zwyrodnienia złośliwego pomimo wieloletniego trwania wrzodów — u wszystkich chirurgów i patologów.

Ekstaza rozpoczynała się każdego czwartku w południe i trwała całą dobę. Przebudzenia w okresach piętnasto-minutowych występowały nagle, jakby ze snu. Teresa siadała za każdym razem, z wyciągniętymi rękoma, śmiertelnie blada i znużona, z twarzą pokrytą krwawymi łzami, przymkniętymi powiekami. Po 5-10 minutach opadała na poduszki i zamykała się w swej wizji. Obecnemu przy tym psychiatrze zdawała sprawę ze scen na Kalwarii. Jej opis zdumiewał żywością i dokładnością. Słowa Chrystusa oddawała w aramaickim dialekcie, o czym jeszcze będzie mowa; Jerozolimę szkicowała z wielką znajomością miejsca.

Prof. Ewald, niemiecki psychiatra i prof. Klader, amerykański dermatolog obserwowali ją najdokładniej w asyście czterech zaufanych siostr przez 14 dni. Nie pozostawała sama ani przez chwilę. Nie spała więcej niż 1-2 godziny na dobę. Jej temperatura pozostawała normalna, tętno regularne. Nie przyjmowała ani pokarmów ani napojów, z wyjątkiem łyżeczki wody, aby przelknąć hostię. Oddawanie moczu pozostało prawidłowe — stolca zahamowane. Waga utrzymywała się na normalnym poziomie (55 kg).

Obaj uczeni zgodnie orzekli, że krwawienia nie były sztucznego pochodzenia. Badanie mikroskopowe wykazało obecność czerwonych krwinek w wydzielinie z wrzodów. Dermatolog podkreśla swoisty wygląd wykwitów, nie przypominający żadnych innych, spotykanych na skórze.

Teoretyczne rozważania każą mu liczyć się z następującymi możliwościami:

1. Są wywołane hypnozą lub szokiem.

2. Chwiejnością aparatu naczynio-ruchowego, spotykanego czasem u osób psychopatycznych.

3. Rzutowaniem na skórę psychicznych wydarzeń.

Tłumaczenie potwierdza jedynie zakłopotanie uczonego, który w konfrontacji z nieznanym zjawiskiem zastępuje jedną niewiadomą innymi.

Równie niezwykle jak zmiany skórne było zachowanie się organizmu wobec odcięcia wszelkiego pokarmu i wody. Wbrew ogólnie przyjętemu, drugiemu prawu termodynamicznemu ciężar ciała nie obniżał się i żadnych ogólnych zaburzeń nie stwierdzono. Uczony ojciec A. Niedermeyer, autor Compendium Medycyny Duchownej, domaga się logicznie, że albo należy uznać okoliczności za nadprzyrodzone albo nie dać im wiary. Tertium non datur, w tak jaskrawym wypadku.

Konsekwentnie więc postąpił dr. Gerlich, autor obszerniejszego studium na powyższy temat. Przyznaje bezradność nauki wobec obserwowanych faktów; uwierzył w cud i przeszedł na katolicyzm. Nie on jedyny zresztą. Teresa nawróciła niejednego właściciela szumnego tytułu uniwersyteckiego. Czyż wobec tego opinia arcybiskupa o istocie cudu w „św. Joannie“ nie zasługuje na poparcie?

Do paradoksu należy może zaliczyć fakt, że wyższa hierarchia kościelna darzy podobne wypadki wielką nieufnością. Nie zdradza wcale ochoty powiększenia i tak wielkiej liczby przeróżnych mistyków i świętych.

Do wielkich sceptyków należał, jak nas sam zapewnia, lwowski arcybiskup Teodorowicz. Jeździł co roku do Marienbadu, gdzie wiele słyszał o pobliskim Konnersreuth. Dał się wreszcie namówić i oglądął sobie Teresę z bliska. Zrobiła widocznie na nim wielkie wrażenie, gdyż wizyty ponawiał a swój entuzjazm dla osoby i fenomenu przedstawił w książce „Konnersreuth im Lichte der Mystik und Psychologie“.

Niestety, zapał nawróconego dostojnika przysłonił nieco przedmiotowość i rezerwę oczekiwaną od u-

czonego teologa. Rozdział, zajmujący się analizą zmian skórnych, należało pozostawić fachowcom. Spod pióra infułata wychodzi niepoważna spekulacja.

Teresą zajmował się również tarnowski biskup Lisowski, kanonik Bogdanowicz i polscy uczeni dr Radlos i prof. Dąbrowski.

Najciekawsze w książce Teodorowicza są rozważania na temat lingwistycznych zdolności stygmatyczki. Rzecz naprawdę granicząca z cudem. Teresa posługiwała się w ekstazie słownictwem hebrajskim, greckim i łacińskim, stosownie do okresu i miejsca, w którym się wizja rozgrywała. Uciekała się nawet do rzadkich dialektów. Miała też pełne zrozumienie estetycznej strony języka. Stawiała wyżej grecki nad aramaicki i utrzymywała, że w Smyrnie mówią poprawniej aniżeli w Jerozolimie. Z modnych języków poznawała portugalski i francuski.

Arcybiskup Teodorowicz powołuje się na orzeczenie eksperta, prof. dra Bauera: aramaicki język Teresy odaje poprawnie dialekt, jakiego używano za czasów Chrystusa. Stygmatyczka odróżnia klasyczny język Kajfasza od galilejskiego, św. Piotra.

Prof. Kittel, specjalista od języków wschodnich, zauważa, że znajomość różnych dialektów, którymi posługiwano się za czasu Chrystusa, należy do najtrudniejszej części wiedzy językowej. Bardzo niewielu uczonych może się nią chlubić.

Psychiatra Ewald, pytany o ten szczegół „cudu“, odniósł się do zagadnienia sceptycznie. Oficjalna psychiatria stoi na stanowisku, że mózg może reprodukować język, którym go obdarzono. Nie potrafi jednak drogą wspomnień atawistycznych czy inną popisać się znajomością nieznanego mu języka. Jeśli chodzi o Teresę, podejrzewa, że prof. Wutt, jeden z jej stronników, wtajemniczył ją w tajniki tej wiedzy. Od siebie dodam, że gdyby nawet tak było, to, uwzględniając pochodzenie, inteligencję i wykształcenie bawarskiej, prymitywnej wieśniaczki, rezultat godny największego podziwu.

Wspomniałem, że Teresę badał amerykański dermatolog. W powojennej Ameryce zaznaczyło się żywo zainteresowanie stygmatyczką. Tłumy żołnierzy armii okupacyjnej odwiedzały ją i przywoziły do ojczyzny

Walne Zgromadzenie Instytutu Badań Krajowych

B.D.

wyolbrzymione sprawozdania o potęgę jej cudów. Sympatię dla niej wzmógł fakt, że była przedmiotem przesładowań ze strony hitlerowskiego reżymu. Zmuszona była ukrywać się w jakiejś odludnej piwnicy.

Lokalny patriotyzm i bawarski katolicyzm darzyły Teresę baczną uwagą. Nastreczała się sposobność wzmocnienia, nieco przez Hitlera zachwianej, wiary, również zaznaczenia swej regionalnej wyższości wobec konkurencyjnych, parweniuszowskich i heretyckich Prus. Niższy kler czynił gorączkowe starania, aby parochialną ekscentryczkę dźwignąć na ogólnoniemieckie, jeśli nie światowe, forum. Niemoc nauki w wyjaśnieniu widocznych, przez lata utrzymujących się fenomenów stanowiła ważki argument dla przyjęcia interwencji sił nadprzyrodzonych.

Ten zapał i skłonność do wzbogacenia galerii świętych o nową, najwybitniejszą stygmatyczkę nie spotkały się — rzecz podkreślenia godna — z poparciem głowy kościoła w Niemczech. Kardynał Faulhaber, faktyczny rządca dusz bawarskich katolików sprzeciwił się. Zażądał umieszczenia kandydatki w klinice psychiatrycznej monachijskiego uniwersytetu i poddania jej tam badaniu i obserwacji autorytatywnych specjalistów. Rodzina nie zgodziła się, czym przekreśliła szansę przyznania Teresie wspaniałej karty w historii nowoczesnego cudu.

Opinie o niej wahają się jeszcze ciągle: oszustka, mistyczka, święta i, najczęściej, histeryczka. Ciekawe, że Teresa w swych wizjach odstępiała od ogólnej reguły. Darzy osobę Chrystusa, a nie Matki Boskiej prawie wyłączną uwagą. Odmiennie aniżeli inne zwiastunki cudu, czego przykładem jest Lourdes i Fatima.

Cóż więc ostatecznie sądzić o stygmatyzacji i osobach nią dotkniętych? Mogą pojawić się każdej chwili, gdzie blisko, wśród nas, lub w jakimś odległym Konnersreuth. Sceptycyzm będzie zawsze na miejscu. Nawet stwierdzenie autentycznych krwawień nie usprawiedliwia przyznania komuś aureoli świętości. Z drugiej strony oczywista histeria nie wyklucza jej. Może więc Goethe miał słuszną, gdy przez usta Mefista w swym „Fauście“ zapewniał: Blut ist ein ganz besonderer Saft.

Fryderyk Goldschlag

Dnia 2 czerwca br. w sali Instytutu Wschodniego „Reduta“ odbyło się pod przewodnictwem p. prof. B. Hełczyńskiego Walne Zgromadzenie członków Instytutu Badania Zagadnień Krajowych.

Sprawozdanie z działalności Instytutu za okres od 18.III. 1965 r. złożył przewodniczący Zarządu p. dr W. Czerwiński. W zakresie prac badawczych w okresie sprawozdawczym Sekcja Polityczna Instytutu odbyła 31 posiedzeń, omawiając w referatach lub komunikatach najważniejsze wydarzenia polityczne w kraju. Sekretarz Sekcji, St. Paprocki, systematycznie zapatrywał jej członków w wycinkach z prasy krajowej. W zakresie upowszechniania wiedzy o Polsce współczesnej pp. prof. B. Hełczyński, B. Kasińska, mgr J. Ostrowski, prof. W. Guenther i dr Cz. Halski wygłosili odczyty na następujące tematy: aktualnej sytuacji wolnych zawodów, młodzieży licealnej i akademickiej, stanu polskiej filozofii współczesnej, pierwszych dwóch tomów „Dzieł Zebranych“ Cypriana Norwida i „Pasji według św. Łukasza“ Krzysztofa Pendereckiego.

Instytut współdziałał z Działem Zagranicznym Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego w wydaniu kwartalnego biuletynu „Spraw Krajowych“ (8 numerów).

Najważniejszym dokonaniem Instytutu w omawianym zakresie było zorganizowanie i przeprowadzenie Kursu Wiedzy o Polsce Współczesnej dla słuchaczy zwyczajnych i korespondencyjnych, na którym wygłoszone zostały 23 wykłady, wydane w postaci skryptów. Kurs odbył się dzięki pomocy fi-

nansowej Komitetu Obywatelskiego Pomocy Uchodźcom Polskim, Federacji Światowej S.P.K., Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego, Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego oraz dzięki współdziałaniu wszystkich naczelnych emigracyjnych organizacji społecznych i kulturalnych w Londynie.

Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej złożył inż. J. Kazimierski, zgłaszając wniosek o udzielenie absolutorium ustępującemu Zarządowi; wniosek ten Walne Zgromadzenie uchwaliło jednomyślnie.

Sekretarz Generalny Instytutu, St. Paprocki, przedstawił program działalności Instytutu w latach 1967 i 1968. Program ten ma być kontynuacją dotychczasowej działalności Instytutu; nadto miałyby ona objąć utworzenie Sekcji Kulturalno-Oświatowej oraz rozszerzenie działalności w zakresie upowszechniania wiedzy o Polsce Współczesnej, zwłaszcza na prowincji Zjednoczonego Królestwa. Po dyskusji program ten Walne Zgromadzenie przyjęło do zatwierdzającej wiadomości.

Walne Zgromadzenie dokonało wyboru nowego Zarządu Instytutu, w którego skład weszli: pp. dr St. Biegański, A. Ciołkosz, dr W. Czerwiński, Z. Jagodziński, S. Kalina, W. Martin, dr J. Mękarska, St. J. Paprocki, J. Poniatowski i O. Stepan, oraz do Komisji Rewizyjnej, w której skład weszli pp. J. Kazimierski, L. Rybicki, S. Soboniewski i St. Zakrzewski.

Po odbyciu Walnego Zgromadzenia p. Bohdan Stypiński wygłosił odczyt p.t. „U źródeł kryzysu gospodarki w Polsce“, który wywołał wśród słuchaczy żywe zainteresowanie.

**SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE
PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO**

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

Zamieszczamy poniżej drugi odcinek pamiętnika opisującego historię ucieczki Polki wywiezionej w r. 1940 do Kazachstanu.

MARIA WILCZEWSKA

Z KAZACHSTANU

SIERPIEŃ

MOJE dziecko jest bardzo chore. Okazało się, że ma dezynterie. W miasteczku też dzieci chorują; i te zesłane i te kazachstańskie. Lekarka zapisała Jeżkowi jakieś proszki, które wypływał i nie mogłam go namówić do przekłnięcia. Przepisała mu też suszone borówki, które początkowo mogłam dostać w aptece, a potem zabrakło.

Dawałam więc mu tylko czyste kleiki i herbatę bez mleka i cukru. Był coraz słabszy: albo leżał na łożku, albo też nosiłam go na rękach. Wreszcie poradzono mi, żeby mu dać przecierane jabłka. Podobno świetne lekarstwo. Ale gdzie dostać? Ostatni raz widziałam jabłka — jeszcze w Polsce.

Sąsiadka Tatarka radzi, by zapytać w tutejszym hoteliku. Tam często przyjeżdżają goście z Taszkientu. Poszłam tam więc z dzieckiem na rękę — chodzę mrocznym korytarzem i pukam kolejno do pokoi. W drzwiach pokazują się różne męskie twarze — starsze i młodsze. Są trochę ździwieni, ale grzeczni — niestety jabłek nie mają.

Wreszcie korytarzem idzie gruby jegomość — na oko wygląda jak dygnitarz — słyszy o co pytałam i każe mi zaczekać.

Stoję pod drzwiami i czekam. Pokazuje się ręka z jabłkiem, a potem mój dygnitarz i sześć dalszych dużych jabłek. Mówi, że to są wszystkie, jakie mu żona włożyła do walizki. Uśmiecha się przyjaźnie do dziecka i cofa do pokoju.

Te jabłka — codzień po jednym — ucierałam i dawałam dziecku. Jadło bardzo chętnie.

Wreszcie zjawia się cała rodzina moich gospodarzy. Nazajutrz odwiedza mnie moja gospodyni z Marksem, który trzyma w ręku zielony ogórek i pojada go trochę. Dziecko jest blade — aż przeźroczyste, nie opaliło się tam na stepie.

Przez kilka dni nie widzę Marksa. Sąsiadka mówi mi, że z nim jest bardzo źle. A w nocy słyszę przez ścianę, śpiew i zawodzenie... To tatarskie przyjaciółki przyszły pomagać biednej matce w płakaniu.

Rano wyszedł gospodarz ze skrzynką pod pachą: położył ją na schodach. Potem zaprzągi krowę, wsiadł z tą skrzynką na wóz i pojechał. Już nie ma małego Marksa, leży teraz sam, gdzieś tam na stepie.

Po kilku dniach spotykam gospody-

nię z Dawidem u boku: pokazuje na Jeżka — że teraz na niego kolej. Memu dziecku jest jednak tak jakby trochę lepiej. Chyba te tarte jabłka mu pomogły? — Zamieniam teraz moje sukienki na kury i daję mu rosoly.

W miasteczku upał nie do wytrzymania, kurz, a do tego muchy nas męczą. Wydaje mi się, że gdy dziecko będzie miało lepsze powietrze — to może prędzej wróci do zdrowia; codzień go noszę teraz na step.

Siedzimy w wysokiej, kołyszącej się trawie i staramy coś ciekawego zobaczyć: wszystko jest jednak raczej jednostajne — trawa i trawa bez końca, a na niebie okazyjne obłoczki.

Mam mnóstwo czasu do myślenia, bo dziecko jest słabe i przeważnie śpi. No i rozmyślam — ale wciąż i w kółko, o jednym tylko — o ucieczce stąd.

Wydaje mi się też, że dziecko lepiej znieśnie każdą podróż — niż pobyt tutaj i wydaje mi się, że rosyjscy ludzie są dobrzy i pomogą nam. I że jakoś to będzie! Ale tak jak w tym chińskim przysłowiu, muszę i ja moją 1000-milową podróż, zacząć pierwszym krokiem. Wiadomo — najtrudniejszy.

Jakoś mi się ten pierwszy krok nie udawał wcale. Jeszcze przedtem, gdy dziecko było zdrowe — to przychodziłam często na plac, gdzie przystawały ciężarówki i przyglądałam się szoferom i kierowcom. Były jednak żółte i skośno-okie i obawiałam się. Były także obce i nie budziły zaufania.

Raz jednak zobaczyłam grupę szoferów o wyglądzie rosyjskim. Stali razem, rozmawiali, palili papierosy. Wybrałam jednego o szerokiej twarzy i częstym uśmiechu. Odwołano go jednak i zaraz odszedł.

Gdy szoferzy się rozchodzili, poszłam do tego, który szedł ostatni. Był chudy, stary i z wąsami. Prędko, żeby nie odszedł, a wysłuchał — powiedział o co mi chodzi: żeby nas przewiózł stąd do jakiegokolwiek stacji kolejowej. Popatrzył jakoś surowo na mnie, a potem nagle roześmiał się, wziął małego — pohaustał trochę. A mnie poradził, żebym o tym więcej nikomu nie mówiła. I tutaj ludzie żyją — powiedział i poszedł.

Mimo to przychodziłam na ten plac nieraz, ale białych szoferów nie udało mi się więcej spotkać.

Mój mały stanowczo ma się już lepiej, opalił się trochę, poweselał i nie śpi tak dużo. Zaczynam znowu chodzić z nim nad rzekę. Na jednym rękę dziecku, a na drugim węzelek z bielizną.

Trochę ciężko, szczególnie, gdy się wracało z wilgotną. I kilka wiorst było do tej rzeki. Była przyjemna, przeźroczysta i głęboka. Można było sobie popływać. A w lecie robiły się z niej 3 strumyczki, otoczone plażami z piasku. Płynęły szybko szeleściły kamyczkami. Było świeżo i miło tu posiedzieć, gdy bieliznę suszyłam na piasku.

Tu po raz pierwszy zaczęłam się modlić o szczęśliwy nasz powrót do domu. Trochę tak się modliłam, a trochę inaczej — ale zawsze raczej oderwanie — co mi na myśl przyszło.

Wreszcie w jednej z paczek — moja mamusia naturalnie — przysłała mi nowennę do św. Antoniego. Najpierw odmówiłam ją przez 9 dni — i nic. — Więc jeszcze raz przez 9 dni, a potem cierpliwie przez 9 tygodni. I św. Antoni słuchał, a rzeka szumiała. Myślałam sobie wtedy o tym obrazie, gdzie św. Antoni błogosławi rydom.

No i te 9 tygodni — to było w sam raz tej nowenny i Święty zauważył nas tutaj. I uznał, że rzeczywiście zagubieni i niepotrzebni jesteśmy w tym miejscu.

Wysłuchał, pobłogosławił i odprowadził do domu.

WRZESIEŃ

Wrzesień też był ładny, suchy i ciepły jak całe lato.

Pewnego razu byłam na poczcie i odbierałam paczkę od moich rodziców. Za mną stał wysoki i tęgi mężczyzna, widocznie spojrzął na adres — bo zagadał od razu po polsku. Zapytał, czy nie mam czegoś do wymiany za żywność.

Zaczęliśmy rozmawiać. Był to właśnie — jeden z tych — dawno osiedlonych tu Polaków. Odprowadził mnie do mego mieszkania i w drodze wysunęłam sprawę mojej ucieczki stąd. — Zdziwił się i zmieszał, a potem: że stąd nikt nie uciekł i że do najbliższej stacji kolejowej jest około 500 wiorst, no i w dodatku z dzieckiem... Stanęło na niczym. — Wreszcie odszedł.

Po kilku dniach jednak — powrócił. Zaprosiłam go do pokoju i omawiamy co i jak. Pyta rzeczowo, co mogę dać za przewiezienie nas na stację, no i za pośrednictwo też. Ogląda to i tamto — co mu proponuję. Wreszcie: świtka męzowska i zegarek budzik dla szofera. Wszystko to dam w ostatniej chwili, gdy będziemy wsiadać do auta.

Minęło kilka dni. Nowy znajomy przychodzi niespodzianie i mówi, że to już jutro rano. Szofer się zgodził.

Wieże zboże do stacji i nas może schować między workami.

Zapałam w dużym piecu, żeby podsużyć chleba na suchary i zabieram się do pakowania.

Mam pieniądze i trochę kosztowności i zastanawiam się, gdzie to schować. Potem zegarek, parę sukienek, parę jedwabnych chusteczek na głowę. Po namyśle biorę też i szlafrok. Nie był ciężki, a nigdy nie wiadomo — co kogo skusi. Pieniądze muszę pozaszywać w różnych miejscach, żeby nie zgubić.

Tymczasem Jeżyk robi się nieznośny: ściga na ziemię i bawi się tym co poukładałam na podróż. Potem otwiera drzwiczki od pieca i dmucha, aż iskierki lecą na pokój. Wreszcie odmaszerowuje do sąsiadki. Wychodzę za nim sprawdzić, gdzie idzie — widzę, że dzieci otwierają mu drzwi — więc wracam zadowolona do pakowania.

Już dawno umyślałam, że mam się zrobić na wiejską babę — sowiecką oczywiście. Mam perkalową chusteczkę na głowę, a drugą wełnianą. Dziecko owinę w kołderkę. Zamieniłam z Tatarką na lekką z wełny wielbłądziej.

Otwierają się drzwi i wchodzi sąsiadka Tatarka z moim dzieckiem na rękach. — Twój parniszka — mówi — położył się u nas na podłodze. Nie chce się z dziećmi bawić i taki czerwony na buzi.

Odbieram go — jest rozpalony i widać odrazu, że ma wysoką gorączkę. O kilka domów dalej mieszka lekarka. Sprowadza ją do nas Tania — starsza córeczka Tataraki. To był dyfteryt.

Spędziłam z Jeżkiem tydzień w szpitalu. Spałam przy jego łóżeczku na ziemi i pilnowałam go. Władze szpitalne nie miały nic przeciw temu i nikt się nie dziwił, ani protestował.

Mogłam pójść do stołówki i kupić herbatę lub supkę dla siebie, a także chleb. Dziecku przynoszono mleko, a potem kaszki.

W sąsiedniej sali były kobiety. Niektóre leżały, a inne chodziły. Te ostatnie, to były wariatki. Szklane drzwi przedzielały separatkę, gdzie byłam z dzieckiem — od tamtej sali a drugie, też oszklone, prowadziły na korytarz stale oświetlony. Tak, że w nocy nie było zbyt ciemno na naszych salach.

Dziecko ma się już lepiej — lekarka obiecuje, że będę go mogła zabrać stąd — już jutro.

W nocy się budzę, ktoś nachylony nade mną — usiłuje zabrać dziecko z łóżeczka. To ta wariatka z sąsiedniej sali. Zrywam się — odtrącam ją —

przewraca się stolik i zjawia się siostra, potem druga i zabierają tę kobietę. Potem opowiadają mi, że to kobieta z kołchozu, której dziecko urodziło się nieżywe. Wciąż teraz szuka dziecka i usiłuje ukraść cudze.

Nie mogłam długo zasnąć. Wciąż się bałam — że przyjdzie znowu.

PAŹDZIERNIK

Już jesteśmy w domu. W kazachstańskim domu. Jeżyk jeszcze bardzo słaby, więc przynajmniej dwa tygodnie — nie mam co nawet myśleć o planowanej ucieczce.

Pewnego dnia — odwiedza mnie jedna Pani z lwowskiego transportu. Dowiedziała się, że ja chcę stąd uciec i prosi, żebym zgodziła się wziąć ją ze sobą. We dwie będzie nam łatwiej, a poza tym jakoś mniej straszno. Zgadzam się co do tego ostatniego — ale wydaje mi się, że łatwiej jest w pojedynkę uciekać. Ale jest taka miła i tak smutnie na mnie patrzy, że ostatecznie decyduję się na wspólną ucieczkę. Może i lepiej dla dziecka — gdy nas będzie dwie.

Tymczasem ona sprowadza się do naszego pokoju i razem oczekujemy dalszych wydarzeń.

Noce są bardzo chłodne, a dni coraz krótsze. Chyba nie ma gorszej pory na organizowanie ucieczki i to w dodatku z małym dzieckiem.

Jesteśmy teraz stale z dnia na dzień przygotowane. Każda z nas ma węzełek z osobistymi rzeczami, a koszyczek z jedzeniem mamy wspólny.

Często się kontaktuję z p. X. Kiedyś przybiegł, że jutro nas weźmie ciężarówka. Podjedzie na róg sąsiedniej ulicy. Rano, ubrane do drogi — czekamy. Jeżyk marudzi. Nie chce siedzieć w płaszczyku w pokoju. Zdejmuje i rozrzuca po pokoju rękawiczki i czapkę. Wreszcie wylewa z dzbanka wodę i chowa się pod łóżko.

Już minął ranek na tym czekaniu. Zaglądamy do nas dzieci sąsiadki — czy można pobawić się z Jeżkiem. W końcu biorę go na rękę i spaceruję po ulicy — w pobliżu tego umówionego miejsca.

Już ciemno było, gdy powróciłam do domu i położyłam małego spać.

Dopiero na drugi dzień dowiedziałyśmy się, że szofer zamiast pszenicy — zabrał więźniów z konwojem do stacji kolejowej.

Jest smutno i nieznośnie od tego czekania. W pokoju lodowato. Nie kupiłam tak jak inne panie od kołchoźni-

ków kiziaków na opał. Tylko z dnia na dzień zbieram patyczki i porzucany obok instytucji rządowych węgiel — na ulicy.

15-go października spadł duży śnieg i jest kilka stopni mrozu. Któregoś dnia wieczorem, gdy siedzimy obie obok pieca, a dziecko śpi już — bez pukania otwierają się drzwi, i dwie figury zaśnieżone w wojskowych czapach taszczą się do pokoju.

Przyszli zobaczyć jak my tu sobie żyjemy. Dlaczego tu u nas tak zimno? A gdzie nasze rzeczy? Inne zesłanki jakoś się urządziły do tej pory. A gdzie pracujemy...? Ja — że mam takie małe dziecko, a ona też coś kręci.

Widać, że im się tu coś nie podoba. Ale wreszcie wychodzą. Przedtem każą sobie pokazać nasze paszporty kazachstańskie — że niby do kontroli.

Jesteśmy obie przestraszone. Ja długo w nocy z niepokoju, zmartwienia, a także zimna — zasnąć nie mogę.

PIERWSZY DZIEŃ UCIECZKI

Rano — jeszcze obie śpimy i jest zupełnie ciemno — ktoś puka do okna. To nasz p. X. Za godzinę przyjedzie ciężarówka. Zatrzyma się tym razem na placu obok studni. Szofer jedzie sam — wiezie pszenicę do stacji kolejowej.

Pan X znika. Ubieram się, grzeję mleko i budzę synka. Wypił grzecznie swoje mleczko, ale zebrało mu się na figle. Co go ubiorę — to zaraz coś z siebie zrzuca. Najlepiej mu właśnie odpowiada zabawa z rozsznurowywaniem bucików.

Słyszymy jak przejeżdża jakieś auto — i przystaje opodal. Chwytam Jeżka i mój węzełek i potykam się o jego bucik. On spogląda tryumfująco na mnie — zadowolony, że postawił na swoim. Nie mam już czasu, żeby go ubrać, więc biorę też i ten bucik do ręki i biegniemy do auta. W drzwiach żegnamy pana X. — Moja towarzyszka łapie za koszyk z żywnością i już po chwili siedzimy przykucnięte wśród tych worków na górze. Auto natychmiast rusza.

Zdaje się, że zapomniałyśmy przymknąć drzwi od mieszkania — Tatarka gospodyni za wcześniej zorientuje się, że nas już nie ma.

W miasteczku ktoś zatrzymał auto, słyszałyśmy rozmowę. Ale po chwili auto ruszyło i bez przeszkód jechaliśmy dalej.

Zrobiło się jasno i przeraźliwie zimno, mimo że byłyśmy przykryte brezentem. Przez szparkę rozejrzałam się: nigdzie domów, tylko biały, śnieżny step. A śnieg w dalszym ciągu padał.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

SPÓŹNIENI na statek, który miał nas w parę godzin dowieźć do Rosslare przyjmujemy z wdzięcznością miejsce na innym, płynącym do Corku. Wszedłszy na pokład przekonujemy się, że w rzeczywistości ofiarowano nam nie „miejsce“, ale jego brak. Blaszanę pudło kipi, przelęwa się tłumem Irlandczyków jadących na święta do domu. Nielad, brud i wrzask.

O miejscu siedzącym ani marzyć, cóż dopiero o kabinie, czy choćby łóżku. Te, w trzewiach statku, wypełnili przezornici, którzy zamówili je sobie przed wielu tygodniami. Z takiej właśnie, oglądanej przez wszystkich z zazdrością czeluści wychodzi ślepiec. Zmęczony tłum niechętnie, z oporem otwiera mu przejście. Na schodach stary człowiek potyka się o niesforną dzieciarnię.

— Czyje to dzieci? — tłum wrogo milczy. — Czyje dzieci, pytam? Zre-sztą wszystko jedno... Niech idą spać na moje łóżko. — Sam rusza na pokład.

Rozkołysana ciemność wchłania nas prędko. Natychmiast otwiera się pod pokładem karczma. Tłum pije, śpiewa, rzyga, śmierdzi. Tymczasem podłogi wąskich korytarzy, schody, zaułki zapełniają ciała poowijane w płaszcze, koce, śpiwory. Przeważnie kobiety i dzieci, gdyż mężczyźni zaczynają święta całonocną pijatyką. Statek wygląda na transport żywego towaru zdobyty przez piratów. Na zewnątrz czarne morze pomieszczone z atramentem nieba, wewnątrz zadymione światła, zaduch, chrapanie śpiących i wrzask znad kufli.

Obok nas dziewczyna ubrana wyzywająco, ale ładnie i z fantazją, tuli rozkapryszoną córeczkę, uroczego, śniadego aniołka. Wygląda na to, że mama zarabia na życie uczciwie, w pocie nie jednego ciała i że wraca właśnie z gościnnych występów w Londynie czy Manchester. Przyczepił się do niej jakiś szczupły rudzielec z wypiekami fanatyka na twarzy. Grzesznica słucha z należnym uszanowaniem przeraźliwych tajemnic wyjawianych przez samozwańczego kaznodzieję, który straszy ją ogniem piekielnym i kusi rozkoszami raj. Od czasu do czasu odchodzi po kolejne piwo. Wtedy dziewczyna zasypia natychmiast, stojąc, czy przycupnąwszy na schodach, ze zdeterminowaną rozpaczą kradnąc drobne chwili-

POCAŁUNEK

le swego odpoczynku niemilosiernemu prorokowi...

Nad ranem statek jest cichy. Deszcz siąpi. Po obu stronach bliskie brzegi zatoki obrosły na przemian to kępami drzew, to ślepyimi ścianami fabrycznych hal i magazynów. Prorok usnął snem sprawiedliwego żniwiarza. Dziewczyna z dzieckiem znika. Po chwili wraca przeobrażona: w ciemnej, skromnej sukience, z falami jasnych włosów splecionymi ciasno w surowy węzeł. Wygląda teraz jak panienka z pensji prowadzonej przez dobrotliwe, ale dbałe o maniery i cnotę zakonnice. Patrząc na nią ze smutkiem: straciła dużo czupurnego uroku, a przyzwoite szmatki wydobły i podkreśliły banalność rysów. Natomiast jej córeczka, ubrana barwnie i wspaniale błyszczy podwójnym blaskiem. Wspanała, umyta, podniecona powszechnym zainteresowaniem i uśmiechami, jest uosobieniem zalotności i wdzięku.

Statek nieruchomieje. Tłum na brzegu, zwykły zgłęb powitań. Misterium odprawy celnej odbywa się bez zwykłego w Anglii namaszczenia. Jakby religia praworządności i pie-niędzy nie była tu brana poważnie. Jakby ciągle jeszcze ludzie kłaniali się dawnemu Bogu. Celnicy nie mają min arcykapłanów. Przypominają raczej swego ewangelicznego patrona. Nie ominie ich — wierzę — wie-kuista za to nagroda...

Za miastem zalewa nas przyływ nieoczekiwanego, nieprzeczuwanego nawet żywiołu: milczenia, zieleni, pustki. Wyraźnie **słysząc** ciszę.

Blarney Castle

Główna wieża warowna, dobrze zachowana, wyrasta wysoko ponad drzewa parku. Drzewa stare i piękne, ale przecież chyba nie „tysiącletnie“ jak określa się tu, z szeroką niefrasobliwością, cisy i skalne dęby w sąsiadującym z zamkiem „Skalnym Zakątku“. Druidyczne tradycje tego miejsca swpółzawodniczą o palmę romantycznego pierwszeństwa z podstępnyimi zapadniami i lochami zamku. Nic jednak nie może się równać

w sławie z Blarney Stone — Kamieniem, który w zamian za pocałunek, obdarza wymową perfidnie ponętą, nieodparcie przekonującą, a wykrętną:

There is a stone that whoever kisses,
Oh! he never misses to grow

eloquent.

'Tis he may clamber to a ladies'

chamber,

Or become a member of parliament.

Pocałunek ów, jak każdy warty zachodu pocałunek, wymaga przecięcia niewielkich trudności. Kamień umieszczony jest na zewnętrznej stronie wieży, u jej szczytu i, by sięgnąć go wargami, przyjąć trzeba bezpieczną, ale niewygodną pozycję.

To dzięki Kamieniowi, a raczej z racji zalet, które za jego pośrednictwem można uzyskać zamek dostąpił rzadkiego wyróżnienia: wszedł do słownika nie jako nazwa, ale jako zwykłe, użytkowe słowo; właśnie jak u nas banialuka, którą zawdzięczamy przecież księżniczce tego imienia, bohaterce romansu Hieronima Morsztyna, a pośrednio stolicy Bośni — Bania Luka.

Blarney znaczy „używać mowy przymilnej, mowy zwodzającej pochlebstwami“. W tym znaczeniu i właśnie w stosunku do barona Blarney, MacCarthy'ego, użyła słowa Elżbieta I, zniecierpliwiona kręctwami swego wasala.

Potomkowie barona wiedzieli komu służyć. Rozumieli, że zaleta, którą zawdzięczali pocałunkowi kamienia, wymowa, doceniona będzie najlepiej przez Stuartów, — światłą, wybrednie kulturalną i wesołą dynastę. Za swą wierność sprawie Jakuba II utracili też zamek. W początkach XVIII wieku nabył go Jakub Jeffreys, Szkot, który po długiej służbie w polskiej armii osiadł tu, by zostać następnie gubernatorem Corku.

Ślady jego gospodarnego zainteresowania wszędzie są widoczne: część budowli stanowiąca kiedyś mieszkalną rezydencję — dziś w malowniczej ruinie — jego była dziełem; w baszcie wytropić można pozostałości przeróbek, a „druidyczny“ Zaulek Skalny dużo — jeśli nie wszystko —

KAMIENIA

B.D.I.C (Gz. I)

ze swej (nazbyt planowo zorganizowanej) „starożytności“ zawdzięcza panu Jakubowi. Jedno pewne: musiał być romantykiem, co przecież udowodnił nie tylko układaniem z kamieni dekoracji do dawnych legend, ale także, co trudniejsze, życiem własnym strawionym na tułaczce i żołnierce. Dlatego trudno mieć żal o jego drobne szalbierstwo, czy może żart tylko, uczyniony na koszt przyszłej naiwności turystów.

Wprędce jednak po opuszczeniu zamczyska starożytność nieco aranżowana ustępuje miejsca najszczerzej. Droga pustoszeje, pochyla się ku morzu. Gdzieniedzie ruiny klasztorów i opactw zamieszkałe przez groby tylko i trawy, odarte z dachów, wydane w całości wilgotnemu niebu i przyjaznej dociekliwości samotnego przybysza. Parę stopni-kamieni ułatwia przeskoczenie niskiego ogrodzenia, lub szpara w murze otwiera drogę nie nazbyt tęgiemu pielgrzymowi.

Morze — ciche i łagodne w zatokach — pełne jest wysp zamieszkałych przez ptactwo morskie i wesołe foki. U brzegów czaple bystro wypatrzące rybiego żeru i ostrzygojady dumające na kamieniach półzatopionych w błocie pozostawionym przez odpływ.

Na wzgórzach czworoboczne słupy. Ociosał je kiedyś człowiek i pokrył napisami w kreskowym alfabecie Ogham. Wiatr i deszcz złagodziły ostre brzegi, rwąc zdania na nieczytelne strzępy. Dziś tylko osty i jano-wiec bronią dostępu, a niekiedy błaszany drogowskaz wskazuje na ślad po dawnej ścieżce.

Wreszcie zaczynają się półwyspy. Owe południowo-zachodnie i zachodnie półwyspy jak chude, ostre palce wskazujące na Atlantyk, właśnie jakby ląd tęsknił za tajemnicą, przestrzenią, za groźnym Niewiadomym. Półwyspy, o których rozproszeni po świecie Irlandczycy mówią z czułością i zachwytem. Stajemy. Osły leniuchujące w przydrożnym zielsku zaglądają ciekawie przez okno samochodu, pchają łase pyski do pudła z podróznymi zapasami.

— A pudziesz, lotrze! — pędzi je Janusz, ale śmieją mu się w nos, rozpoznawszy w głosie sympatię i przychylność...

I oto już kipieliśko przyładka Mizen. Woda wrze u skał, czarne głązy co moment odkrywają swe obłe kształty z bielizny pian. Chmurne niebo klaszcze wiatrem.

Ring of Kerry

Coraz bardziej opanowuje nas wrażenie, że posuwamy się nie tyle w przestrzeń, co w czas. W jego głąb. W przeszłość. Świat olśniewający urodą i dziwnością jest bezludny, a raczej wyludniony. Bo na ślady człowieka natrafiamy co krok, co spojrzenie. Domy, dwory opuszczone wczoraj, czy przed wiekiem, klaszatory którym cios ostateczny zadali cromwellowscy siepacze, przedhistoryczne forty i domy-ule, które opustoszyły z załóg i mieszkańców nie wiedzieć kiedy? nie wiedzieć jaki? kataklizm.

Na pagórku położonym wśród amfiteatru wzgórz, z wyjściem otwartym tylko na morze nakrapiane skałami, objęte dłońmi półwyspów, przywarował fort Staigue. Zapewne gdzieś w pierwszym tysiącleciu przed nar. Ch., czy może w początkach ubiegłego, sprawni rzemieślnicy ułożyli go z luźnych, nie spajanych cementem kamieni na rozkaz, w myśl władców tej ziemi. Zdumiewa precyzja i pomysłowość w konstruowaniu odrzwi, schodów, izb, dbałość o zachowanie kształtu niemal doskonale okrągłego, o wymodelowanie tego samego wokół profilu murów.

Im wyżej wejść na zbocza podnoszące się za płytką doliną wokół warowni, tym jaskrawiej uderzają zalety położenia. Zalety bardziej służące wygodzie i urokowi niż obronności. Jakby nie było to miejsce schronienia przed najeźdźcą, ale letnia rezydencja rzymskiego arystokraty ze złotych lat cesarstwa: osłonięta od kaprysów klimatu, wychylona ciekawie ku pięknu południowego wybrzeża.

Fort jaśniejący w słońcu nagle szarzeje, gaśnie. Niespodziewane

chmury, gwałtowność gradobicia, spędza nas pod przychylną osłonę dawnego muru. Tak może przyszła tu kiedyś zagłada tej cywilizacji: zza przychylnych zwykle wzgórz, czy z uśmiechniętego morza.

O kilka mil na zachód, wokół Derrynane, zatoki i wyspy uśmiechają się w powracającym błękitcie. Woda tak jest płytka i łagodna, że stado krów przekracza paromilowe rozlewisko ledwie maczając kopyta i kostki. Idą powoli, czarne i uroczyste jak procesja kapłanów zamierzchłej wiary. Na skalistej wyspie, którą wydmy przychylnego piasku dawno już złączyły z lądem — sterczą ruiny klasztoru. Wyobraźnia pokoleń podniosła go do rangi opactwa. Szczodroblowość jest bowiem zwykłym przywilejem wyobraźni. Wedle powszechnego tu zwyczaju nadwyrężone ściany wypełnia używany do dziś cementarz. Ciągłość śmierci bardziej jest w Irlandii oczywista od ciągłości życia.

Ring of Kerry — drogę obiegającą półwysep Iveragh — zamyka jak szlachetny kamień w pierścieniu Killarney. Tak przynajmniej wyobrażają sobie mieszkańcy tego malowniczego miasta zwanego przez skłonnych do ozdobności w mowie Irlandczyków „odbiciem nieba“. W istocie kamień jest co najwyżej pół-szlachetny. Łączące się z sobą jeziora, ruiny po-franciszkańskiego opactwa Muckross i zamku Ross, góry i kaskady pojezierza, wszystko to zorganizowane jest i podane z chwalebą — jak u Szwajcarów — dbałością o turystykę.

Piękno cieszy więc mniej a chwilami drażni. Samochody, tłum, wielkie hotele, przewodnicy, łodzie i osły do wynajęcia, wszystko przypomina żywo o nudzie i uciechach modnych miejscowości lotniskowych. Przed utonięciem w taniej słodyczy ratuje wspomnienie człowieka, który zapisał się nie byle jak w dziejach fantastyczności: Rudolfa Raspe, autora „Zdumiewających przygód barona Münchhauzena“. Przez długie lata był on tu zarządcą kopalni miedzi w dobrach Muckross. Tu stworzył swą niepospolitą opowieść, czerpiąc do niej materiał tyleż chyba z własnej fantazji, co z wesołych opowieści tubylców, do dziś przecież obdarzonych — by nazwać rzecz wyrozumiale — bujną wyobraźnią. Napotykamy na takiego uroczego gawędziarza, któ-

(Dokończenie na str. 24)

remu jeden chudy osioł urasta w opowiadaniu złożonym na oczekaniu do rozmiarów stajni wyścigowej. Zapraszał nas do niej „jutro“ na oględziny, opisując szczegółowo cechy i zalety każdego ze swych wierzchowców.

Raspe poza kiepską administracją i znakomitym pisarstwem znajdował jeszcze czas na wiele innych zajęć: kradł, szalbierzył i oszukiwał. Zmarł w 1794 roku, ale ostatni żart udaje mu się dziś jeszcze: oto schował tak skrętnie swój grób, że ani rusz nie możemy go znaleźć. Szukamy według wszelkich rad i chętnie udzielanych, a sprzecznych ze sobą — wskazówek, lecz na próżno. Kamień w wodę. A zarówno kamień, jak wody, nie brak w okolicy...

Odjeżdżamy źli, zawiedzeni, ale równocześnie podniesieni na duchu: oto i w tej oazie banalnego dosytu mieszka przecież chocholik dziwaczności, skrzat nieprawdopodobieństwa i pomyłek. Wierny towarzysz naszych włóczęg.

Mieczysław Paszkiewicz

NOWOŚĆ!

Kazimierz Sosnkowski MATERIAŁY HISTORYCZNE

Autor, jedna z czołowych postaci naszego życia wojskowego i politycznego przed r. 1939 i w czasie ostatniej wojny, znany najszerszemu ogółowi polskiemu w Kraju i na emigracji.

Tom „Materiały“ jest zbiorem rozkazów, wypowiedzi politycznych i wojskowych, artykułów i wywiadów z okresu wojennego i powojennego, poprzedzonym zarysem biograficznym ujętym w formie artykułu encyklopedycznego.

Stron 720. Oprawa płócienna

Cena: 63/-; \$ 9.00; F. 45.00

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.
20, Queen's Gate Terrace,
London, S.W. 7

i we wszystkich księgarniach polskich

**CZYTAJ
POLSKĄ
KSIĄŻKĘ!**

NAD KOPUŁĄ W STOPIĘDZIESIĄTĄ

A TAK — właśnie, że nad tą drogą każdemu lwowskiemu sercu kopułą upływały lata mojej wczesnej młodości. O dostaniu się pod dach tego królującego na rogu ul. Kopernika i Ossolińskich gmachu marzyć nawet nie mogłam. Fale feminizmu rozbiły się bezsilnie o te czcigodne progi. W myśl wiekowego „ustanowienia“, Parnas ossoliński dostępny był jedynie dla mężczyzn. Więc tylko z drugopiętrowych wyżyn znajdującego się na przeciwległym rogu mieszkania moich rodziców mogłam patrzeć na ten otoczony zielenią budynek, którego trzon wraz z pozostałą po klasztorным kościele wieżą był dziełem kapitana-inżyniera, a późniejszego generała Józefa Bema, bohatera walk o wolność dwóch narodów: polskiego i węgierskiego.

Zimową porą, kiedy okna Ossolineum wcześniej rozjaśniały się światłem licznych lamp, lubiłam śledzić przesuwające się za szybami cienie osób, usiłując rozpoznać sylwetkę któregoś z bywających u nas ossolińczyków. Najlepiej znanym mi był dr Jerzy Koller, którego recenzje teatralne miały przez wiele lat być radością czytelników Lwowa i Poznania. Przemili gawędziarz, znał wiele z tą Biblioteką związanych historyjek i chętnie o nich opowiadał. I tak dowiadywalismy się szczegółów z życia Antoniego Małeckiego, patriarchy ossolińczyków sprzed pierwszej wojny światowej, którego Gramatyka była dla dzieci owego okresu, kluczem otwierającym skarbnicę wiedzy. Często wspominał Władysława Bełzę i jego „Katechizm Polskiego dziecka“ lub też cofał się do swoich archiwalnych wiadomości z połowy XIX w., kiedy to kustoszem był Karol Szajnocha wielki historyk, mimo wytrącającej mu pióro z ręki ślepoty. Krótko mówiąc, przesuwiał przed nami migawki z życia nie tylko współczesnych, ale też dawno zmarłych ossolińczyków.

Kiedy była mowa o samym Fundatorze, nie mogłam zrozumieć, jak człowiek, który ofiarował Narodowi tak bogaty dar w postaci setek cennych książek i tego oto wspaniałego gmachu, mógł przejść do historii jako

„skąpiec i dusigrosz“ i chciałam go bronić argumentem, że może dlatego tak „dusił grosze“, żeby móc hojniej wyposażyć swoją „córkę jedynaczkę“, jak często w listach nazywał tę przyszłą świątynię wiedzy.

Urodzony w Woli Mieleckiej 1748 r. Józef Maksymilian Ossoliński potomek długiego szeregu dostojników Rzplitej, ostatnie dwadzieścia kilka lat swego życia (umarł 1826 r.) spędził w Wiedniu, gdzie przez czas jakiś był przedstawicielem interesów Galicji i Lodomerii przy gabinecie cesarza Franciszka I. Współpracownik pism literackich oraz zapalony bibliofil, Ossoliński bardzo wcześnie powziął zamiar zebrania co najciekawszych dzieł literatury polskiej i ufundowania Biblioteki Narodowej. Bywając za młodych lat na dworze Stanisława Augusta, spotykał tam takich luminarzy, jak Naruszewicz i Czacki i może to właśnie oni natchnęli go tą myślą. Niemal od pierwszej chwili siedzibą tego zaledwie kielkującego projektu miał być Lwów, to dziwne miasto, które tak zawsze umiało zdobywać serca nawet przejściowo tylko tam mieszkających ludzi. Zresztą Ossolińscy posiadali w tamtejszej okolicy majątek rodowy, bogaty, wspaniałą bibliotekę, która miała być zalążkiem przyszłej fundacji. Zamieszkawszy w Wiedniu, zaczął Ossoliński w swoim pałacu przy Mayerhofergasse 208, gromadzić historycznej wartości dokumenty, książki i obrazy. Zwoził je ze wszystkich stron Polski, a następnie sortował pomocnik Ossolińskiego, Samuel, Bogusław Linde, przysły autor sławnego „Słownika Języka Polskiego“. (Przed wojną znajdowała się niedaleko Ossolineum mała ulica jego imienia. Ale jej też już tam pewnie nie ma.). I tak szperając zawzięcie po strychach starych dworów i bibliotekach klasztornych, zebrał Linde w ciągu tej dziesięcioletniej współpracy z Ossolińskim pięćdziesiąt skrzyń zabytkowych skarbów. Niezmiernie ciekawym przyczynkiem do historii tych siedmiokrotnych objazdów, są listy Lindego, w których późniejszy rektor warszawskiego Liceum opisuje swemu chlebodawcy

JÓZEFA BEMA

ROCZNICĘ OSSOLINEUM

B.D.I.C

bardzo szczegółowo wyniki tych poszukiwań. W jednym z nich znajduje się opis niezmiernie dramatycznej przeprawy przez Dunajec, w czasie której wzburzone fale porwały kilka pak z trudem zebranych książek.

„Ossoliński czytał te listy z upodobaniem, plamiąc je obficie to kawą, to rozmaitymi przysmakami“ — komentuje August Bielowski, dyrektor z drugiej połowy XIX wieku, czytając te listy, które przechowały się niemal w całości aż do 1939 r.

Linde wyjechał już dawno do Warszawy, dalszym wyszukiwaniem wartościowych książek zajmował się teraz Ambroży Grabowski, księgarz i wydawca obszernego dzieła Ossolińskiego pt. „Wiadomości Historyczne do Dziejów Literatury Polskiej“, a budynku na bibliotekę wciąż jeszcze nie było. Wreszcie w 1817 r. stary hrabia nabył we Lwowie ruiny dawnego klasztoru karmelitanek trzewickowych, a cesarz podpisał zezwolenie na wybudowanie tam bibliotecznego gmachu. I tak rok ten został upamiętniony jako data powstania Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Józef Bem, chroniąc się przed prześladowaniem policji carskiej, przyjechał w tym okresie do Galicji. Jakkolwiek właściwym jego zawodem była inżynieria wojskowa, zajmował się z amatorstwa architekturą. Zainteresowany projektem przebudowy klasztoru, zapewnił sobie pomoc majstra murarskiego Jana Treschera i przedłożył komisji kuratorskiej plan, który zyskał pełne uznanie. Ale choć wszystko to wyglądało bardzo pięknie na papierze, urzeczywistnienie tego projektu ciągnęło się bardzo długo. Ossoliński zmarł w 1825 r. nie doczekawszy wykończenia ofiarowanego narodowi gmachu. Ze „Wspomnień“ W. Zawadzkiego dowiadujemy się, że kiedy w 1830 r. będąc jeszcze dzieckiem, poszedł z nauczycielem obejrzeć Bibliotekę, budowa jej nie była jeszcze wykończona. Jedynie kopuła wraz z trzonem poklasztornym miały już przez Bema ustalony wygląd. Przy dobudowanej części pracowali jeszcze robotnicy. Lecz zarówno przysła-

ne z Wiednia książki Ossolińskiego, jak i dołączone do nich zbiory ks. Henryka Lubomirskiego były już pod dachem Ossolineum. Ustanowiona wówczas kuratoria ks. Lubomirskiego, miała pozostać przy tej rodzinie aż do wybuchu drugiej wojny światowej.

Począwszy od 1827 r. przez sale Ossolineum przesunęło się tyle wybitnych ludzi, że trudno byłoby ich pomieścić w ramach tego szkieletowego artykułu. Myślę, że warto by jednak wspomnieć pierwszego z szeregu dyrektorów, księdza Franciszka Siarczyńskiego, niegdyś kapelana Stanisława Augusta. Ten „pogrobowiec Oświecenia“, jak go nazywa zmarły niedawno prof. Mikulski, miał już lat sześćdziesiąt dziewięć, kiedy na jego słabe barki spadł ciężki trud oddania do użytku publiczności nierozsortowanych jeszcze książek i niewykończonego gmachu. Walcząc zawzięcie o utrzymanie nazwy „narodowy“ oddanego mu we władanie Zakładu, umarł dopiero po osiągnięciu tego celu i to dosłownie „przy warsztacie“ swojego biurka, trzymając jeszcze pióro w ręce. Następcą jego był znacznie młodszy i bardzo energiczny Konstanty Słotwiński, który ośmioletnim więzieniem w tyrolskiej twierdzy Kufstein zapłacił za tajne wydanie w założonej z jego inicjatywy drukarni „Księgi Pielgrzymstwa Polskiego“ oraz kilku innych wykreślonych przez cenzurę, utworów patriotycznych.

I jeszcze jeden długoletni Ossolińczyk nasuwa się pod taśmę mojej maszyny. Ludwik Bernacki, zasiadł na fotelu dyrektorskim już w blasku wschodzącej Niepodległości. Bardzo pracowity mimo swej światowości, poważny w decyzji, mimo swego rozeźmiania, „Lunio“ rozpoczął karierę ossolińską już w 1906 r. jako skrypta, zaraz po otrzymaniu doktoratu filozofii, aby w przeciagu dwunastu lat dojść do najwyższej godności tego Zakładu. Jego wrażliwe serce nie wytrzymało ciosu tragedii wrześniowej. Padł na ulicy spiesząc do Ossolineum. Może chciał ratować oddane mu pod opiekę skarby, przeczuwając, że bu-

rza wojenna rozrzuci je po całym kraju.

Od dyrektorów do woźnych przeskok to duży. A jednak stanowili oni nieodłączną całość z wiekową tradycją. Z wyżyn mojego prywatnego obserwatorium mogłam czasem dostrzec „samego“ portiera, jak poważny i godny stał przed głównym wejściem do Biblioteki, a srebrne guziki jego granatowej czamary błyszcząły w promieniach słońca, które zdawało się zawsze świecić w tych „dobrych, dawnych czasach“. Choć nie pamiętam, czy widziałam kiedyś któregoś z woźnych, jednak znałam ich doskonale z opowiadań naszych ossolińskich gości. W owym okresie było podobno dwóch, którzy zaciekle kłócili się ze sobą. S. Lempicki w swoich niedawno wydanych „Wspomnieniach“ opisuje dokładnie jednego z tych oryginałów. Nazywał się Stefan Herbut i był chłopem z okolic Lwowa. Pomimo bardzo słabego wykształcenia, czytał najbardziej filozoficzne dzieła, nie wyłączając Spencera i Kanta. Uważał się też za autorytet w wyborze odpowiedniej lektury do egzaminów uniwersyteckich. Jeśli chodzi o stałych pracowników Ossolineum, orientował się wybornie kto o czym pisze i jakie książki są mu do tego potrzebne. Pewnego dnia dyrektor Kętrzyński, stary i zasłużony poprzednik Bernackiego, kazał sobie przynieść dwudziesty piąty tom jakiegoś rocznika historycznego. Stefan, pokiwawszy głową, przyniósł tom — siedemnasty. Oburzony protest uczonego uspokoił flegmatyczną uwagą, że właśnie w tym tomie znajdzie odpowiednie rozdziały. I miał rację. Ale jakim dodatkowym zmysłem potrafił to odkryć, trudno zrozumieć. Być może, iż ciągle przebywanie wśród książek wyrobiło w nim ten dziwny instynkt.

I tak oto wygląda ten usłyszany czy też wyczytany kalejdoskop wrażeń ossolińskich, którymi chciałam uczcić półtora wiekową rocznicę urodzin tego tak silnie ze Lwowem związanego gmachu. Z jego wrocławską odbitką nie łączą mnie żadne wspomnienia. Wiem tylko, że nie wznosi się tam kopuła Józefa Bema, ani też nie ma na przeciw domu moich rodziców. Więc do tamtego smutnego i opuszczonego sąsiada mojej młodości przenoszę się myślą stęsknioną, ludząc się przez krótką chwilę, że wciąż jeszcze promienieje blaskiem dawnej chwały.

„Niespokojne życie“ pióra Leona Przemyskiego ukazało się w r. 1965, nie należy już więc do nowości wydawniczych, jest jednak ostatnią do chwili obecnej pozycją bibliograficzną, traktującą o życiu Joachima Lelewela, a napewno na długo pozostanie dla szerszego ogółu czytelniczego najlepszym, podręcznym i atrakcyjnym źródłem wiedzy o tym wielkim uczonym, pisarzu i przywódcy politycznym.

Wśród poprzednich publikacji o Lelewelu — gruntowne szkice Więckowskiej i znakomita monografia Kieniewicz pt. „Samotnik brukselski“ — są pracami badawczymi, przeznaczonymi z natury rzeczy dla wąskiego kręgu odbiorców, głównie historyków. Piękna i przystępnie napisana książka Ignacego Chrzanowskiego, wydana w r. 1946 z pozostałego po tym wybitnym uczonym-poloniście rękopisu, ma charakter fragmentaryczny i nie daje pełnej charakterystyki Lelewela.

„Niespokojne życie“ Leona Przemyskiego jest książką, łączącą w sobie niełatwe do pogodzenia zalety. Stanowi ponętą lekturę, jest żywo napisana, barwna, a przy tym — z naukowego punktu widzenia — bardzo rzetelna i gruntowna. Należąc do rodzaju literackiego, zwanego biografią zbeletryzowaną, może jednak zarazem z powodzeniem spełniać rolę bardzo pouczającej pracy popularyzatorskiej.

Wcześniejsze książki tego autora zdradzały talent pisarski, pod względem treści jednak budziły wiele zastrzeżeń, zwłaszcza ta, która poświęcona została życiu Henryka Kamieńskiego. Były w niej oświelenia bardzo dowolne i kontrowersyjne, a także, w niektórych miejscach — wskutek przerostu fikcji literackiej — sceny nieprzekonywające, nawet wręcz chybione, takie, o których historyk orzec musi, że nie mogły mieć miejsca. W „Niespokojnym życiu“ uchybień takich nie ma. Z przejrzystością wątku narracyjnego łączy się tu autentyczność obrazu. W stosunku do poprzednich książek tego autora jest to wielki krok naprzód.

Materiał do biografii Lelewela jest bardzo obfity — pięć pokaźnych tomów jego listów, wydanych przez Helenę Więckowską, nie licząc paru innych wydawnictw tego typu, uwagi i wzmianki o nim w setkach prac, poświęconych sprawom Wielkiej Emi-

gracji. Jest to gąszcz, w którym postać ta gubi się często w splocie wątków, przygodnie tylko i luźno z nią związanych. Niełatwo jest przebić się przez ten gąszcz, dochodząc do rdzenia prawdy o wielkim człowieku. Wydaje mi się, że Leon Przemski wyszedł z tej próby zwycięsko.

W niewielkiej rozmiarom, spopularyzowanej biografii Lelewela niełatwo zadaniem było przedstawić jego olbrzymi dorobek naukowy, obejmujący ponad 20 potężnych tomów. Dodać trzeba, że niektóre z prac Lelewela stanowią lekturę trudną. Spotyka się tu często teorie, stanowiące rozwinięcie poprzednio już zarysowanych, — z mgławicy myślowej wyłaniają się stopniowo dojrzałe sformułowania. Przemskiemu udało się przedstawić doktrynę historyczną tego badacza w sposób przejrzysty, z uchwyceniem syntezy, co jest niemałym osiągnięciem. Można by tu wytknąć mu pewne niedomówienia. Lelewel pierwszy w naszej historiografii wysunął na plan pierwszy zagadnienia wewnętrzne życia narodu, społeczne, na tym głównie polega jego nowatorska, przełomowa rola, biograf tego faktu dostatecznie nie uwypuklił. Szkoda, że wśród licznych cytatów z pism historycznych Lelewela zostały pominięte słowa, najlepiej ilustrujące jego ideę społeczną: o „ziemi gminnej, nie mojej, nie twojej, ale naszej, — ...ziemi ludu, świętej“. W książce o Lelewelu słowa te aż proszą się o powtórzenie. W zarzutach jednak pod adresem biografów należy zachować w tym wypadku duży umiar, gdyż jest to książka, jak na ogrom zagadnienia bardzo niewielka.

Dobrze wypadł fragment, poświęcony zasługom Lelewela dla nauki zachodnio-europejskiej w zakresie numizmatyki i kartografii średniowiecznej. Jego „Numizmatyka“, wydana w języku francuskim, była to, jak pisał Przemski, „chyba jedyna w dziejach książka, której autor był jednocześnie kopistą, sztycharzem i korektorem. Niewiele brakowało, a byłby również jej zecerem“. Nie tylko ta zresztą książka ukazała się w trudnych warunkach, wśród piętrzących się przeszkód. Podobnie się rzecz mia-

ła z większością prac Lelewela, traktujących o historii ojczystej. Ciężkim orzechem do zgryzienia była praca naukowa na obczyźnie, — ciągle kłopoty z wydawcami, zawiedzione rachuby na zarobek — a potem podejmowanie nowego zadania wśród biedy i niedostatku. I tylko wielki hart ducha Lelewela, tylko umiłowanie „drugiej ojczyzny“ jak nazywał naukę, mogło te wszystkie trudności przezwyciężyć.

Polityczna działalność Lelewela — to również niełatwe zagadnienie. Brak było temu uczonemu zdolności do narzucania innym swej woli, zręczności taktycznej, a i dar znajomości ludzi niezawsze mu dopisywał. W związku z tym niektórzy ze współczesnych Lelewelowi, a także niektórzy z późniejszych historyków ocenili jego pracę polityczną negatywnie, jako mało użyteczną, czy nawet szkodliwą. Sąd to bardzo powierzchowny i mylny. W r. 1830 do roli czołowej politycznej wyniosły Lelewela nie ambicje przewodnika ani upodobania, lecz fala dziejowych wydarzeń. Po prostu — poza tym popularnym w szerokich masach uczonym, znanym ze swego republikanizmu i idei postępowych — nie było nikogo innego, kto by mógł młodą, rodzącą się dopiero lewicę radykalną reprezentować w Rządzie Narodowym, zarazem — być wyrazicielem życzeń Rządu Narodowego wśród plebsu warszawskiego. Poczucie obowiązku wobec sprawy narodowej nie pozwalało Lelewelowi uchylać się od tej dwoistej, raczej niewdzięcznej roli. Jeśli nie mógł wywrzeć w większej mierze wpływu na bieg wypadków, zmierzających ku nieuchronnej klęsce — nie jego to było winą. Szczerliwszy w pewnej mierze był Lelewel na bruku paryskim w r. 1831 i 1832, — gdy to przypadła mu w udziale ważna rola polityczna, znów taka, której nikt poza nim odegrać nie mógł: reprezentanta idei walki „za naszą wolność i waszą“ wobec ludów Zachodu. Mimo pewnych błędów taktycznych, miewał w tym okresie swych robót politycznych i sukcesy, — krótkotrwałe, niestety, bo po upływie roku padł ofiarą represji. Usunięty przez władze najprzód z Paryża po-

O LELEWELU

„Niespokojne życie“)

B.D.I.C

tem z terytorium Francji, osiadł w Brukseli, gdzie przyszło mu pozostać do samego niemal końca życia, przez lat blisko 30. W stolicy Belgii pojawia się znów co jakiś czas na widowni czynnej akcji politycznej, możliwości jego jednak w tym kierunku stawały się coraz bardziej ograniczone.

Chcąc wszakże ocenić zasługi Lelewela na polu politycznym, mieć trzeba na uwadze nie tyle to, co na nim zdołał zdziałać, ile to co mówił i pisał. I tak właśnie podchodzi do zagadnienia Leon Przemski. Cytaty z odezwy i przemówień Lelewela zajmują w tej książce dość dużo miejsca. W rozdziałach, poświęconych brukselskiemu okresowi życia wielkiego historyka, podkreśla autor wzrastającą coraz bardziej w jego wystąpieniach publicznych sugestywność i siłę przekonywającą słowa. A słuchaczami byli przeważnie tłumie zgromadzeni Belgowie.

To jednak jeszcze nie wszystko. Nawet najlepsze z odezwy i przemówień Lelewela nie dają jeszcze pełnej miary jego zasług jako szermierza idei wyzwolenczej. To przede wszystkim sama jego postać i jego spartańskie życie było propagandą demokracji i praw narodu do niepodległego bytu. Oto Lelewel: przywódca polityczny o dużym rozgłosie, wielki uczyony, lecz nade wszystko wielki człowiek. Bardziej jeszcze, niż jego pisma, jego urok osobisty i siła ducha, bijąca z niego, zjednywały mu wielką cześć wśród ówczesnych przywódców demokracji europejskiej, ludzi tej miary, co Lafayette i Mazzini, później Marks i Herzen.

Lelewel, jakiego ukazuje nam Przemski, to człowiek niesłychanie prawy i prostolinijny, nieskory do utarczek słownych, ale odważny w swych wystąpieniach, gdy sprawa narodu tego wymaga, ofiarny w służbie wielkiej idei, w ubóstwie noszący zawsze wysoko swą godność ludzką. Skrupulatność moralna dochodziła w nim do skrajności: jedyny to chyba wśród ówczesnej emigracji człowiek, który odrzucał przysługujące mu zasiłki rządowe francuskie i belgijskie. I nie chciał przyjąć katedry uniwer-

syteckiej w Brukseli, w obawie — na pewno nieuzasadnionej w tym wypadku — że mogłoby utracić osobistą i polityczną niezależność. Rysem znamienym charakteru Lelewela już od wczesnego dzieciństwa była wedle Przemskiego przekora, z jaką zawsze przeciwstawiał swoje ja wszystkim niesłusznym poglądom, choćby najbardziej zakorzenionym w społeczeństwie i uświęconym przez opinię publiczną. Był człowiekiem niepodległego ducha i umysłu.

Wśród licznych wypowiedzi Lelewela, cytowanych przez Przemskiego, są i takie, niezmiernie charakterystyczne, w których stoicka pogoda ducha łączy się z celnym dowcipem: o żabce, która „onegdaj polazła“, gdzie mowa o emisariuszu Żabickim, krewnym historyka, który udał się potajemnie do kraju; o malarzach i rysownikach, którzy sławnego uczonego „okradali z twarzy“, skrycie i mimo jego sprzeciwów portretując go; o „babie, która nie chce, aby wielkie pany na nią kwestę robiły“, więc „szyje, haftuje i tak zarabia“, gdzie w istocie mowa o własnej trudnej sytuacji Lelewela i jego pracy pisarskiej dla zdobycia grosza na życie.

Bardzo ciekawy jest fragment, poświęcony izbie brukselskiej Lelewela. Znajdowała się nad traktiernią, noszącą nazwę „Estaminet de Varsovie“ (to ta właśnie nazwa znechęła Lelewela w r. 1833 do wynajęcia tej izby). Bytował tu przez 17 lat, dopóki nie był zmuszony przenieść się w inną dzielnicę Brukseli. Jakże wiele pamięta ta istniejąca po dziś dzień izba! Widziała codzienne „trudy naukowe“ wielkiego historyka, widziała długi korowód ludzi, którzy go odwiedzali. W jednym tylko roku 1835 „oprócz naszych“, jak pisze Lelewel, był u niego Brazylijczyk, Węgier, Afrykanin z Madagaskaru, kilku Francuzów, Włoch, Niemiec. Bywali tu dość często przywódcy młodej demokracji belgijskiej Delhasse i Jottrand, był raz słynny rewolucjonista rosyjski Bakunin. Z licznych rodaków zjawiał się tu kiedyś głośny przywódca spiskowy, Edward Dembowski. Goście Lelewela wywodzili się z najrozmaitszych środowisk społecz-

nych. Kiedyś, gdy zebrało się ich więcej, siedzieli obok siebie książę Bonaparte i prosta chłopka Sukrowa, co Lelewel uważał za rzecz zupełnie normalną, bo krzeselka, jak mówił, „dla wszystkich są jednakowe“. Uzupełniając Przemskiego, można by dodać: był tu i słynny rzeźbiarz francuski David d'Angers, i przelotnie bawiący w Brukseli Mickiewicz, i — o dziwo! Towiański (bo składanie szacunku Lelewelowi poczytywał za swój obowiązek niejeden z jego ideologicznych przeciwników), a w późniejszych latach znany powieściopisarz i działacz radykalny Jeż-Miłkowski.

Jak najbardziej słuszne było wyznaczenie w książce poczesnego miejsca bluzie robotniczej Lelewela. Do noszenia jej skłoniły uczonego względy praktyczne: chciał frak swój zachować na dłużej, na okazje specjalne, bluza zaś była, jak sądził, najbardziej ekonomicznym strojem na codzień. Z czasem jednak, gdy inni w tym nawyku dopatrywać się zaczęli demonstracji w duchu proletariackim, Lelewel chętnie przystał na przypisywanie swemu ubiorowi takiego symbolicznego znaczenia. Był przede wszystkim rzecznikiem potrzeb i pragnień polskiego ludu chłopskiego, ale zetknąwszy się na Zachodzie z proletariatem miejskim wychodził na przeciw aspiracjom i tej także klasy. Deklarował się jako człowiek, który gotów jest poświęcić się sprawie bluz, to jest sprawie robotników, w jednym ze swych artykułów w języku francuskim.

Jak można się domyślać Przemski przyjmuje, że niejeden drobny szczegół związany z życiem Lelewela, może mieć dla dzisiejszego czytelnika swoją wymowę. Codzienny dzban mleka przy drzwiach, stanowiący nie-raz główny posiłek, i tania siekanka, którą uczyony sobie przysmażał na obiad, i ranne wyprawy w pantoflach do piekarza w sąsiednim domu, i budżet miesięczny, w którym jedynym wydatkiem „luksusowym“ była czarna kawa w cukierni, zaopatrzonej w dzienniki miejscowe i zagraniczne, stosy książek i manuskryptów, blachy i ryłce do sztychów, zapelniające wszystkie kąty izby, i nędzny piec, dający więcej dymu, niż ciepła, wszystko to, ukazane w tej książce, czyni życie Lelewela bliskim nam, obecnym w naszych myślach.

Uporczywie powtarzające się bóle głowy są jednymi z najbardziej dokuczliwych i częstych dolegliwości u ludzi cieszących się poza tym dobrym zdrowiem, chociaż — w niektórych wypadkach — dolegliwość ta może okazać się sprawą poważniejszą, jak na przykład symptomem rozwijającej się choroby.

Niektóre bóle głowy mogą być wynikiem schorzenia wnętrza czaszki, jak ucisk na naczynia krwionośne, ich kurczenie lub rozszerzanie się, oraz zapalenie organów głowy — jak ucho czy oko. Nacisk wytwarzany przez nowotwory na nerwy biegnące wzdłuż głowy lub szyi także wywołuje symptom bólu głowy. I wreszcie czasami, ale raczej bardzo rzadko — angina pectoris da tego samego rodzaju sensację.

Zacznijmy od migreny: człowiek cierpiący na migrenę często zaraz po obudzeniu się czuje, iż ona nadchodzi. Ma złe samopoczucie ogólne, cierpi na lekkie bóle głowy, ma depresję, skarży się na przytępienie myślowe, może mu być zimno, lub mieć zawroty głowy. W przeciągu następnych kilku godzin symptomy naciągającej migreny mogą wyrazić się w zaatakowaniu zdolności

(Dokończenie ze str. 27)

Żałować trzeba, że dobra książka Przemskiego o Lelewelu ma tytuł nienajlepiej wybrany. Po pierwsze — „Życie“ jako główny składnik tego tytułu traci nieco szabloność (wraz z tym powtarza się w tytułach wielu innych książek tego typu). Po drugie — czy rzeczywiście cechą najbardziej znamioną życia Lelewela jest to, że było „niespokojne“? Zapewne, nie brak w nim było momentów krytycznych i wstrząsów. Wytrąceniem z normalnego trybu życia było dla tego historyka powstanie listopadowe, potem zaś wyrok wydalenia z granic Francji, ale nie był Lelewel pod tym względem w ówczesnym pokoleniu wyjątkiem. Kolejne losy np. Mochnackiego, czy Mierosławskiego, czy Miłkowskiego, były na pewno o wiele bardziej burzliwe. Zwykły Lelewel na ogół dość długo trzymał się jednego miejsca, z Brukseli nie ruszył się przez lat prawie 28. Gdyby mi przyszło określić życie Lelewela jednym tylko przymiotnikiem, powiedziałbym chyba: trudne.

Podnoszą natomiast wartość tej książki udane, dobrze oddające charakter epoki ilustracje Antoniego Uniechowskiego.

Józef Zmigrodzki

GAWĘDA LEKARSKA

BÓLE GŁOWY

widzenia: przed oczy nasuwa mu się coś w rodzaju mgły, po którym to wrażeniu może nastąpić — często tylko w jednym oku — widzenie błysków, czy kolorowych świateł. Ból w czaszce spowodowany migreną zaczyna się zwykle z odwrotnej strony niż zaatakowane oko. Nękający ból zaczyna się zwykle od gałki ocznej, potem promieniuje do boku głowy, oraz do górnej szczęki, stając się niemal nie do wytrzymania, jeśli osoba podlegająca atakowi migreny — stoi. Położenie się przynosi lekką ulgę, a uczucie bólu zdecydowanie wzrasta przez wszelki ruch, hałas i światło. Niekiedy chory odczuwa nie tylko mdłości, ale ma i wymioty. Po wymiotach jednak zwykle przychodzi wyraźna ulga.

Leczenie ataku migreny jest dość łatwe. Przy lekkim ataku wystarczy dawka aspiryny. Przeciwno ostrzejszym atakom znajdziemy wiele preparatów na rynku, zawierających składnik zwany „ergotaminą“, który to składnik przynosi natychmiastową ulgę. Zaciemnienie, całkowity odpoczynek i spokojne leżenie też zrobią swoje. Dodać tutaj należy, że przyczyny migreny nie zostały jeszcze dotychczas wykryte.

Ból głowy spowodowany przez nowotwór: we wczesnym stadium tworzenia się nowotworu ból głowy jest okresowy. Jest on przeważnie uporczywy, a nasilenie jego wzrasta przy kaszlu, nie jest on jednak tak silny jak przy migrenie lub przy zapaleniu opon mózgowych. Ten rodzaj bólu — jak już wspomniano wyżej — jest spowodowany uciskiem na nerwy lub naczynia krwionośne obcego ciała, czyli nowotworu.

Ból głowy związany z zatokami przynosowymi: jest zawsze połączony z zapaleniem tych zatok. Ból odczuwany jest w oczach, lub między oczami, również i u wierzchołka czaszki. Tutaj leczenie związane jest ściśle z leczeniem samych zatok.

Ból głowy z powodu złego wzroku: jest często następstwem złe dopasowanych szkielek, złym użytkowaniem mięśni ocznych, lub — w rzadszych wypadkach — wzrostem ciśnienia w samych komorach ocznych (glaucoma). Krótkowidze na ogół nie cierpią na bóle głowy, gdyż nie nadużywają mięśni oka, nie kurczą ich z tej prostej przyczyny, że każdy skurek mięśnia ocznego pogarsza ich zdolność widzenia.

Tak zwany „zwykły ból głowy“ bywa związany ze stanami niepokoju i wówczas odczuwa się ból mięśniowy na powierzchni czaszki, a nie wewnątrz gło-

wy. Chory może się nieraz skarżyć na zjawisko określane popularnie jako „mrówki“ przebiegające po całej czaszce, lub uczucie ucisku. Na ten typ bólu znowu z pomocą przychodzi aspiryna, oraz jakkolwiek środek uspokajający nerwy, jak np. phenobarbiton.

Najczęstszymi przejawami bólów głowy są migrena i napięcie emocjonalne: Do najbardziej uciążliwych bólów należą te odczuwane przy zapaleniu opon mózgowych, lub wylewu krwi między mózg a błonę, która oddziela go od czaszki. Natomiast wylew krwi do samego mózgu zwykle nie powoduje bólu, chyba, że krew przedostanie się do komór mózgowych, lub pomiędzy mózg i kości czaszki. Pulsujący ból głowy ujawni się przy migrenie, wysokiej gorączce lub naciśnięciu. Uczucie ucisku dookoła głowy jest wynikiem skurczu mięśni (np. ocznych, o czym było wyżej), infekcje w zatokach nosowych i — chyba najczęściej — przy stanach wielkiego napięcia emocjonalnego.

Dr Michał

N O W O Ś C I !

Tom 141

BIBLIOTEKI KULTURY

OLGA SCHERER

W CZAS MOROWY

Cena: £1.0.0, \$3.00

Tom 142

BIBLIOTEKI KULTURY

ALICJA

ZAWADZKA-WETZ

REFLEKSJE

PEWNEGO ŻYCIA

Cena: £1.4.6., \$3.50

DRZEWIEJ... B.D.I.C

A NA POCZĄTKU BYŁO...

Myśląc o początkach świata i ludzkości, trzeba sobie zdać sprawę z faktu jak krótkie są ostatnie, znane ze źródeł pisanych okresy, w porównaniu z całością czasu istnienia Ziemi i człowieka.

Nauka współczesna dzieli całość historii naszej Ziemi na 5 czasokresów zwanych erami, które dzielą się na okresy, a te na epoki.

Najstarszą w historii Ziemi erą jest era Archeozoiczna (zwana także Archaiczną), która trwała ok. 900 milionów lat (ostatnie badania geologiczne pozwalają niektórym uczonym na twierdzenie, że trwała ona o wiele dłużej).

W tej Erze formuje się nasza Ziemia, powstają pierwsze skały osadowe, lądy oddzielają się od mórz i oceanów. Pierwsze ślady życia (żywe komórki) pojawiają się na powierzchni Ziemi.

Erą następną była Era Proterozoiczna (okres przed-Kambryjski), trwająca ok. 700 milionów lat. Na ziemi zaczyna się rozwijać życie (Promienie, Gąbki i Korale).

Po niej następuje Era Paleozoiczna, dzieląca się na 5 okresów. Pierwszym z tych okresów jest okres Kambryjski, w czasie którego rozwijają się nadal Promienie, oraz pojawiają się po raz pierwszy Otwornice, Jamochłony, Robaki, Ramienionogi, Maże, Ślimaki i Trylobity.

Po tym okresie następuje okres Syluryjski, którego znamieniem jest

nadzwyczajny rozkwit flory i fauny. Rozwijają się różne typy skorupiaków morskich i lądowych. Na lądach pojawiają się pierwsze rośliny, a z fauny pierwsze Skorpiony, Wije i Stonogi, a także pierwsze kręgowce w postaci ryb opancerzonych.

Teraz następuje okres Dewoński; jest on okresem bujnego rozwoju flory i fauny lądowej. Rosną olbrzymie Skrzypy, Widłaki i Paprocie. Pokazują się pierwsze pająki, oraz owady latające. Postępuje dalej rozwój ryb. Okresem następującym po Dewońskim jest okres Karboński, cechujący się gorącym klimatem. Powstają wielkie puszcze tropikalne. Pojawiają się pierwsze rośliny drzewiaste. Rozwijają się owady, płazy i gady. W tym okresie powstają wielkie złoża węglowe.

Ostatnim okresem Ery Paleozoicznej jest okres Permski. W okresie tym pokazują się na Ziemi pierwsze gady zwierzo-kształtne trawożerne oraz także i drapieżne, — heroldy nowych form zwierzęcych. Zaznacza się w tym okresie duży rozwój krabów, homarów i ammonitów. Przeważa roślinność nagozależkowa.

Teraz nadchodzi Era Mezozoiczna, trwająca ok. 120 milionów lat. Dzieli się ona na 3 okresy. Pierwszym z nich jest okres Trias. Na ziemi dalej panują gady, jak Dinosaurowe i Nothosaurowe, ale też pokazują się już pierwsze ssaki typu 'Dromatherium'. Szata roślinna ziemi składa się z dużych paproci, araukarii, cypryśników i jodeł.

Po tym okresie następuje okres Jura (jurański), w którym to okresie zaznacza się rozkwit roślinności okrytozależkowej oraz fauny olbrzymich gadów lądowych z grupy Dinosaurów. Pojawiają się pierwsze ptaki. W okresie Kredowym, który nastąpił po Jurze, dalej rozwija się roślinność okrytozależkowa. W morzach rozwijają się Ammonity i Belemnity. Rozpoczyna się duży rozwój małych ssaków.

Po Erze tej nadchodzi teraz Era Kenozoiczna, trwająca ok. 70 milionów lat, a dzieląca się na dwa okresy: — Trzeciorzędowy i Czwartorzędowy. Okres Trzeciorzędowy dzieli

się jeszcze na 4 Epoki: — Eocen, Oliгоцен, Miocen i Pliocen.

W Epoce Eocenu pojawiają się cztero- i pięcypalczyste ssaki. Są to przodkowie wielu dzisiejszych zwierząt. Np. Eohippus, żyjący i rozwijający się w tej Epoce jest przodkiem, w prostej linii, naszego konia.

W Oligocenie następuje rozwój małp właściwych i małp-antropoidów, naszych odległych przodków-kuzynów.

W Epoce Miocenu następuje duży rozwój małp człeko-kształtnych (hominidae).

W Epoce Pliocenu rozwija się dalej rodzina koni (equidae), forma Pliohippus jest już typem prawie że współczesnego konia.

Na tej Epoce kończy się okres Trzeciorzędowy, a okres Czwartorzędowy otwiera Epoka Pleistocenu. W tej Epoce flora i fauna upodabniają się stopniowo do form obecnych — pojawia się człowiek pierwotny. Konie przechodzą w formy nam już znane.

Następną Epoką, trwającą od ok. 7.000 lat przed Chr. aż do dnia dzisiejszego jest Holocen. Flora i fauna mniej więcej współczesne. Jak z powyższego przeglądu widzimy, Ziemia nasza już miała około 2.000 milionów lat, gdy dopiero pojawił się na niej człowiek. Od dawna intryguje ludzi pytanie, kiedy rasa ludzka, jako taka, wyodrębniła się ze świata zwierzęcego. Fakt, że człowiek jest istotą z przyrodzenia niedostosowaną do klimatu zimnego, przemawiałby za okresem Trzeciorzędu, jako czasem w którym rasa ludzka miała swój początek, gdyż właśnie okres ten odznaczał się ciepłym i przyjemnym klimatem.

Okres następny, Czwartorzęd, w dotychczasowej swej całości, jest okresem raczej chłodnym. Ale właśnie z początków tej Epoki dopiero mamy znaleziska archeologiczne, świadczające nam istnienie istot ludzkich anatomicznie już zupełnie dobrze wyróżniających się w świecie zwierzęcym. To jednak właśnie dowodziłoby, że początek tej rasy musiał mieć miejsce w czasach dawniejszych. Kiedy to jednak było, dotychczas jeszcze nie wiemy.

Ciąg dalszy na str. 30)

(Dokończenie ze str. 12)

Potęźni i bogaci, jak i mali i zagrożeni oddają się teraz z zapalem godnym lepszej sprawy pełnej hipokryzji gierze „dawania rad“ Izraelowi, którego samotne, graniczące z biblijnym cudem i okupione krwią zwycięstwo odsunęło na jakiś czas także niebezpieczeństwo grożące im bezpośrednio; w odwróconym porządku rzeczy świat, jak przed wieloma wiekami udręczeni Żydzi, zajmuje się dzisiaj kabalistycznymi spekulacjami, nie chcąc odróżnić plewów od ziarna w złudnej nadziei, że na tym polegają ich żywotne interesy.

Quo vadis, biedny świecie? Jak daleko posuniesz się, hipokryzjo biednego świata?'

Mina Tomkiewicz

Epoka Czwartorzędu odznacza się częstymi wahaniami klimatycznymi; po okresach zimnych następują ciepłe, a po nich znów zimne lub chłodne. Żyjące w tych czasach gromady ludzkie pozostawiły ślady swej bytności w postaci porzuconych narzędzi, resztek pożywienia, tu i ówdzie konstrukcji mieszkalnych, czasem grobów. Pozostałości te, z biegiem czasu, często pokryte zostały osadami mułu rzecznoego, czasem przysypane były warstwami glinki loëssowej, w pewnych okolicach przykryte lodowcami. W dzisiejszych czasach, gdy archeolog znajduje takie pozostałości, to znając geologię, według warstwy ziemi w której je znalazł, może stosunkowo dokładnie określić ich wiek. Oprócz tego, jest jeszcze inny, bardziej dokładny sposób określania wieku znalezisk, a zresztą i każdego innego przedmiotu, metodą tzw. „węgla C.14“. Podstawową zasadą tego sposobu jest fakt, że każdy przedmiot z biegiem czasu gromadzi w sobie pewną ilość materii karbonicznych (węglowych), w ilościach proporcjonalnych do czasu; te ilości można zmierzyć specjalnymi aparatami i w ten sposób dokładnie obliczać czas istnienia danego przedmiotu.

Nauka dzieli historię istnienia ludzkości na szereg etapów. Najczęściej w pracach archeologicznych spotykane nazwy, określające te etapy, są oparte na nazwach surowców używanych przez człowieka do wyrobu narzędzi i techniki ich obróbki — np. kamień obtłukiwany (łupany), kamień gładzony, miedź, brąz i żelazo.

Często są też w użyciu terminy wzięte ze starożytnego języka greckiego np. „PALEOLIT“ — (starsza epoka kamienna); „NEOLIT“ — młodsza epoka kamienna, (epoka kamienia „gładzonego“), „MEZOLIT“ — środkowa epoka kamienna itp.

Omawiając zagadnienie wyodrębnienia się człowieka ze świata zwierzęcego, uczeni współcześni uznają za kolebkę ludzkości, na podstawie ostatnich odkryć archeologicznych, Afrykę południowo-wschodnią, skąd pierwotne gromady ludzkie stopniowo rozchodziły się na inne kontynenty. Oczywiście jest, że proces ten trwał miliony lat.

Na ziemiach polskich pierwsze istoty ludzkie pojawiły się około 600 tys. lat temu. Miało to miejsce w Polsce

południowej, gdyż środkowa i północna pokryte były lodowcem.

Były to małe grupy myśliwców, koczujące nad brzegami jezior i rzek, polujące i zbierające pokarm roślinny. W miejscach, gdzie udało się upolować jakie większe zwierzę, grupa zatrzymywała się na dłużej. Narzędzia potrzebne do rozdzielenia zdobyczy były wykonywane na miejscu i na miejscu też porzucane po wykonaniu czynności. Były zbyt ciężkie i niewygodne do noszenia, a surowca do ich wyrobu dostarczała każda prawie okolica.

Dotychczas brak jest pewnych dowodów, że człowiek tych czasów znał już ogień. Był to okres stosunkowo ciepły. Te koczujące grupy pędziły żywot raczej odosobniony. Wynikało to z bardzo rzadkiego zaludnienia. Spotkania grup nie były więc chyba częste. Jaki przebieg mogły mieć te spotkania i jakie związki zachodziły pomiędzy tymi grupami, trudno dziś sądzić. Prawdopodobnie zależało od okoliczności. Gdy koczownicy ci spotykali się w czasach obfitujących w pokarm, lub gdy współdziałanie było korzystnym dla zdobycia zwierzyny, spotkania takie mogły mieć przebieg przyjazny. Lecz gdy było to w „chudych latach“ — to wtedy starcia mogły mieć miejsce. Archeologowie często znajdują ludzkie szczątki kostne z tych czasów noszące ślady ludożerstwa.

Istoty ludzkie z tych czasów uczeni nazywają „HOMO HEIDELBERGENSIS“; jest to jedyny rodzaj istot ludzkich pochodzenia i typu uważanego za czysto europejski, podobno nie wyprowadzający się z typów afrykańskich. Co się z tą najwcześniejszą rasą ludzką europejską stało — nie wiemy. Wiemy tylko, że około 475 tysięcy lat temu nastąpił II-gi okres lodowcowy, przez uczonych zachodnich nazywany okresem „MINDEL“, a przez uczonych polskich zlodowaceniem „krakowskim“.

Lodowce pokryły prawie całą Polskę, aż do Podkarpacia (z grubsza linia Cieszyn-Sucha-Jasło-Przemyśl-Sambor).

Czy grupy „człowieka heidelbergskiego“ wyginęły z zimna na miejscu, czy też odplynęły na południe, tego nie wiemy. Ten okres „zlodowacenia krakowskiego“ był jednym z najzimniejszych w epoce Pleistocenu. Panujący wokół lodowców klimat arktycz-

ny i pod-arktyczny ogarnął wtedy całą Europę.

Na peryferiach obszarów lodowych wegetowały różne grupy myśliwców i zbieraczy. Zgodnie ze znaleziskami archeologicznymi z tych czasów, uczeni współcześni twierdzą, że człowiek ówczesny już poznał sposoby rozpalaenia ognia. Również nauczył się już okrywać swe ciało skórami zwierząt. Główną bronią owych ludzi był drewniany oszczep i kamienie do miotania. Przy polowaniu stosowano niewątpliwie nagonkę, zapędzając zwierzęta w miejsca bagniste lub na strome urwiska.

Ten okres, nazywany przez uczonych starszą epoką kamienną (lub epoką kamienia łupanego), był okresem bardzo długim. Z grubsza uczeni oceniają czas jego trwania na czas od 500.000 lat temu do ok. 50.000 lat temu. Po nim następuje Mezolit, czyli średnia epoka kamienna.

Ludność Europy, od zakończenia „zlodowacenia krakowskiego“ aż do epoki późnego Paleolitu (ok. 40.000 lat temu), jest zaliczana w swej większości do rasy zwanej „człowiekiem Neandertalskim“. Typ ten charakteryzuje się ciężką budową ciała, stosunkowo niskim wzrostem ok. 1.55 m. maksimum). „Neandertalczyk“ miał dużą czaszkę o pojemności mózgu ok. 1450 cm.³ (człowiek współczesny 1350 cm.³). Był to typowy tzw. „człowiek jaskiniowy“, rzeczywiście najchętniej zamieszkujący w różnych grotach i dziurach terenowych. Żył w małych grupach rodzinnych. Umiał wyrabiać potrzebne mu narzędzia kamienne i drewniane. Zaznaczyły się też u ludzi Neandertalskich początki zmysłu artystycznego. W Dziadowej Skale, pow. Zawiercie, znaleziono kawałki narzędzi kościanych z rytymi wizerunkami zwierząt. Miał też ten prymitywny człowiek także wycucie życia duchowego. Wskazują na to znaleziska archeologiczne grobów z tej epoki. Zmarli chowani byli w całości w płytkich grobach, ponad którymi układano stos kamieni. Przy zmarłym składano żywność, jego broń i narzędzia, a często też (lecz tylko w pewnych okolicach jak np. w grobach Neandertalczyków na Syberii) głowy zwierząt.

Typ obozowisk rodzin neandertalskich był zmienny, zależał od klimatu danej okolicy. Były obozowiska typu

(Ciąg dalszy obok)

PRAWO PIERWSZEŃSTWA

NASILENIE propagandy jest bardzo skuteczne. Ze spraw polskich na pierwsze miejsce wywindowano zagadnienie naszych granic zachodnich. Temu przypisać należy, że ministrowie spraw zagranicznych Anglii i Niemiec mówili o tym w telewizji, że słuchali tego miliony. Mniej ważne jest co mówili, bo trudno było spodziewać się rewelacji, ale wagę posiada, że mówili. Do propagandy tej przyczynia się również prasa niepodległościowa. W artykułach, przemówieniach i uchwałach nie opuszcza się okazji przypomnienia Odry i Nysy. Tak częste przypomnianie może czynić wrażenie, jakoby zagadnienie było problematyczne. Wystarczy mocne stwierdzenie: Wszyscy Polacy, gdziekolwiek mieszkają, uważają zachodnie granice Polski za ostateczne, niewzruszalne, mogą być odebrane tylko siłą do

„stałego“ w pewnych okolicach, szczególnie takich, gdzie w pobliżu była obfitość zwierzyny i gdzie były grotty odpowiednie do zamieszkania. W innych okolicach zatrzymywano się tylko na krótki, przejściowy pobyt, rozpalano ogień w miejscu osłoniętym od wiatrów i przy nim rodzina spędzała dzień, lub najwyżej kilka dni, ruszając potem w dalszą wędrówkę.

Z analizy znalezionych szczątków kości zwierzęcych można zorientować się na jaką zwierzynę polował ówczesny człowiek. Najwięcej znajduje się kości żubrów, jeleni, niedźwiedzi, słoni i nosorożców. W okresach zimniejszych polowano na mamuty, nosorożce włochate, konie, renifery i niedźwiedzie jaskiniowe.

Niektórzy uczeni twierdzą, że człowiek neandertalski wyginał bezpotomnie, gdzieś w początkach ostatniego zlodowacenia. Z najnowszych znalezisk archeologicznych orientujemy się, że jednak kultury późniejszych okresów są w wielu wypadkach pochodnymi różnych grup kultur człowieka neandertalskiego. Stąd możemy wnioskować, że również w składzie etnicznym ras późniejszych elementy neandertalskie odegrały także pewną rolę.

Po okresie zimnym znów nastąpiły czasy cieplejsze. Tereny Polski porosły lasem szpilkowym. Obszary te stały się teraz dostępne dla myśliwstwa i osadnictwa.

(Dokończenie w następnym numerze)

czego nie dopuścimy. Kropka. Jedynie odpierać należy w sposób stanowczy wszelkie zakusy wrogiej propagandy.

CELOWOŚĆ PROPAGANDY

Jakie optimum możemy uzyskać przez stałe przypominanie tego zagadnienia? Uznanie oficjalnego granic zachodnich przez mocarstwa zachodnie spodziewać się nie można. Nie załatwią bowiem jednego oderwanego problemu bez decyzji całości spraw europejskich, na co na razie się nie zanosi. W najlepszym wypadku można uzyskać jakieś oświadczenie państwa (Niemiec Zachodnich) na temat granic wschodnich innego państwa (Niemiec Wschodnich). Jeśli oświadczenie takie będzie zgodne z naszym stanowiskiem, można się będzie na nie w przyszłości powoływać, ale chyba nie ma dojrzałego politycznie Polaka, który by przywiązywał wagę do słów niemieckich i przyrzeczeń. Przychylna deklaracja Niemiec Zachodnich mogłaby im przynieść poważną korzyść dowodząc przed światem zerwania z przeszłością i zrezygnowania z roszczeń terytorialnych. Inny, donioślejszy argument powinien zaważyć. Oto sztab generalny niemiecki ma gotowe bardzo dokładne plany na wypadek wojny. Musi brać w rachubę dobrze wyekwipowaną Armię Poską. Polacy nie będą się bili z Francuzami, Anglikami czy Amerykanami, lecz będą się bili z Niemcami i będą się bić dobrze, gdy ich granice będą zagrożone. To jest ostatnia i jedyna nić ideologiczna, która łączy z Kremlem. Ideologiczne rozbrojenie Armii Polskiej w tym duchu może zmniejszyć niebezpieczeństwo dla Niemiec. Mimo nasilenia propagandy opinia Zachodu powiązań tych nie dostrzega i problem naszych granic zachodnich jest skłonna uważać jako drugorzędny, o znaczeniu raczej lokalnym.

Opinia na Zachodzie odgrywa dużą rolę i rządy z nią się liczą. Cechą dobrej propagandy jest, by była aktualną, by zajmowała się tym, co najważniejsze. My nie uważamy problemu naszych granic za aktualny i nie dopuszczamy do dyskusji podającej w wątpliwość choćby w najmniejszej mierze trwałości stanu obecnego. Pod względem zaś wagi o znaczeniu europejskim inne sprawy domagają się nieustannej ofensywy propagandowej.

PRAWDZIE W OCZY

Obraz sytuacji światowej przedstawia się w sposób dość wyraźny. Zimna wojna rzekomo się skończyła. Zastąpiła ją koncepcja koegzystencji. Przy każdej sposobności mężowie stanu Zachodu

du ludzą własną opinię, że współzycie z barbarią jest możliwe i pożądane. Zdyscyplinowana opinia wierzy swoim przywódcom popijającym kawior szampanem, gadającym w Moskwie, Paryżu czy Londynie w nadziei, że się „dogadają“. W niezorganizowanej Europie, o którą na pewno więcej chodzi niż o Indochiny, działa doskonały bramkarz, który chce grać za całą drużynę. Mimo największego wysiłku i wielkiej zręczności sam bramki strzelić nie potrafi. W najlepszym wypadku obroni własną i doprowadzi do remisu. Na jak długo?

A tymczasem w Wietnamie leje się krew strumieniami. Liczba wdów, sierót i kalek wzrasta z każdym dniem i nikt nie śmie oświadczyć oficjalnie, że idzie wyłącznie o powstrzymanie komunizmu. Farsa koegzystencji trwa. Dlatego, wierząc w tę utopię, burzą się ludzie w różnych krajach, nie pojmując tej hekatombi krwi i zawrotnych wydatków. Angielski żołnierz ginie od Adenu po Hongkong. Mnóżą się niemal codziennie wypadki poniewierania obywateli angielskich, bezczeszczenia gołę, wymyślenia nawet królowej, znieważania akredytowanych członków korpusu dyplomatycznego, wydarzenia z których każde z osobna nie tak dawno jeszcze stanowiłoby casus belli. Cofają się, polykają zniewagi, dyskutują i ostatnią nadzieję pokładają w coraz bardziej bezsilnej Organizacji Narodów Zjednoczonych, w której Ghana ma po równi ze Stanami Zjednoczonymi jeden głos w decyzjach o państwach świata.

Wszystkie nici niepokoju światowego wiodą bezpośrednio do Kremla, który oprócz zrabowanych pieniędzy, wydawanych na zbrojenia drugih i propagandę, nie ryzykuje nic, wszędzie obficie szafując cudzą krwią. Powiązania te są doskonale znane w gabinetach mężów stanu, lecz dla źle pojętej popularności, w obawie rozpętania ogólnej wojny, której żadna ze stron nie pragnie, ludzie się opinię możliwością porozumień, w co sami nie wierzą. Taktyka ta daje olbrzymią przewagę komunizmowi, do którego przemawia tylko siła i zdecydowanie, a brak ich poczytuje za słabość, wykorzystując wszelkie słabe punkty, uderzając cudzymi rękami we wszystkich częściach świata. Gra zaczyna przypominać jakiś koszmarny turniej tenisowy, w którym najlepszy gracz nie może sprostać gdy otrzymuje równocześnie kilka piłek z różnych stron, jego zaś piłki stale idą na out. Przeciwnik operuje kłamstwami i bredniami i rozzuchwalony, nie dbając nawet o zachowanie pozorów, na wysz-

(Dokończenie na str. 32)

tkie flirty z cynizmem powiada stale, nie — jak panda.

NACZELNE ZAGADNIENIE POLSKIE

Nienaruszalności naszych granic zachodnich broni i reżym, godzą się na nie Niemcy Wschodnie i dla własnych celów „gwarantuje“ je Moskwa. Nikt nam ich nie zabiera i zabrać sobie nie damy. Zabrali nam jednak pół Polski i obecnie tylko Polacy w wolnym świecie mogą się upominać o nasze granice wschodnie. Nikt inny. Powrót Lwowa, Wilna i Ziemi Wschodnich może nastąpić tylko gdy Polska będzie wolna i na wschodzie zostanie przywrócony stan sprzed wojny. To już cel, nie tylko o zasięgu europejskim, lecz ogólno-światowym, bo nie będzie rzeczą obojętną, gdzie się wpływy i przemoc bolszewicka kończą w Europie. Propaganda ta znajduje wielu sprzymierzeńców i duże zrozumienie.

W dobie, gdy na odległych kontynentach rodzą się jak grzyby po deszczu małe, samodzielne państewka, bez własnej kultury i tradycji, słuszność wskrzeszenia Litwy, Łotwy i Estonii, trzech państw wykreślonych z mapy Europy, staje się nakazem sumienia. Przesunięcie na wschód granic zachodnich największego mocarstwa kolonialnego, automatycznie zwraca niepodle-

głość tych państw. W dobie, gdy uznaje się prawo narodów do samostanowienia o własnym bycie, gdy młodzi ludzie Zachodu giną ilekroć obce siły starają się przemocą narzucić swoją wolę, opinia świata powinna dbać o to, by stare państwa europejskie o tysiącletniej kulturze chrześcijańskiej, miały co najmniej to samo prawo. To przemówi nie tylko do sumień, serc lecz i do rozumów, bo zupełna wolność tych państw Międzymorza od Bałtyku po Morze Czarne nikomu zagrażać nie może, a stanowić będzie wał ochronny dla pozostałych państw europejskich. Dlatego naczelnym nakazem wolnej prasy polskiej powinna się stać nieustanna walka o restytucję naszych granic wschodnich.

Działają jednak dwa hamulce. Pierwszym jest nieszczęsna teza o „nienaruszalności faktów dokonanych“. Historia, której byliśmy świadkami, dowodzi, jak niesłusznym jest to założenie. Jeszcze brzmi nam w uszach arogancki głos z głośników radiowych: „Meine Parteigenossen!“ Ile od tego czasu się zmieniło i jak się „fakty“ odwróciły. Nie ma racji, by rozważania naszych słusznych praw wkładać do teczki „pobożnych życzeń“. Byliśmy i jesteśmy świadkami ciągłych niespodzianek. Trudno przypuszczać, że się skończyły. Dotychczas były dla nas przeważnie bolesne. Może

nadejdzie czas, że staną się pomyślniejsze dla naszego narodu.

Drugim niebezpieczeństwem, nie mniej szkodliwym, jest inercja i utrzymywanie, że podane argumenty to komunaty i nie stanowią dla opinii żadnej rewelacji. Nie wiedzą albo wiedzą niedokładnie, zapominają lub nie dopatrują się doniosłości powiązań zagadnień i splotu własnego interesu z naszym. W czasie niesłychanego tempa wydarzeń, zmieniającej się scenarii nie tylko z dnia na dzień, lecz nawet z godziny na godzinę, bez stałego przypomnienia żywotnych spraw polskich przyczyniamy się do odsuwania ich w mroki zapomnienia.

Rozumiejcie swe zadanie wolna publicystyka polska powinna wytrwale bombardować opinię świata, przypominając cierpiętnictwo Narodu Polskiego, Katyń i łagry, bohaterstwo żołnierza polskiego od Armii Krajowej po Monte Cassino, walkę o wolność, do której Polska ma co najmniej takie same prawa, jak inne narody, bombardowanie opinii światowej tak długo, aż wreszcie zrozumieją, że gdy dom sąsiada w płomieniach, nie można przypatrywać się z założonymi rękami.

To zadanie zdobywa sobie prawo pierwszeństwa przed wszystkimi innymi.

Kazimierz Schleyen

Z TEATRU

„ŚLUBY PANIEŃSKIE“ W „SYRENIE“

Teatr dla Dzieci i Młodzieży „Syrena“ sięgnął ostatnio po repertuar tzw. klasyczny, choć sama sztuka: „Śluby Panieńskie“ Aleksandra Fredry należy do okresu romantycznego. Obsadą swoją leży ona na pograniczu teatru dla młodzieży i teatru dla dorosłych. Akcja jej rozgrywa się na tle zawiązywania się związków małżeńskich, które wówczas były okresem wchodzenia w samodzielne życie. Sztuka ta ma wcale nie prostą, a kunsztowną „geometrię“. Maczając pióro w kałamarzu Boya można by pokusić się o określenie jej jako dzieje czworokąta narzeczeńskiego, z nadbudowanym nad nim otwarto-ramiennym trójkątem owdowiałej pary dorosłych (Radosz i Dobrójska), przy czym intrzyga stara się starego Stryjcia zeswatać z Młódką. Mniejsza o matematyczną ścisłość tej konstrukcji scenicznej. Jedno jest pewne, że w tej komedii w 5 aktach, granych w trzech odsłonach, występuje dokładnie 7 osób.

Ale chyba nie czas, ani miejsce na przypomnienie wszystkich postaci, treści sztuki i tych wszystkich, którzy wybili się w tej komedii, jeśli nie w ciągu przeszło półtora wieku jej istnienia,

to choćby w czasie tego ćwierćwiecza teatru polskiego na emigracji wojennej? Wyjątek można zrobić dla Polskiego Teatru Dramatycznego 2-go Korpusu, przypominając premierę z 20 grudnia 1945 r., w sali Teatru Miejskiego w Ręcanati i recenzję z tego widowiska w „Orle Białym“ z 27 stycznia 1946 r. I okazuje się, że sztuka ta była wówczas również wyreżyserowana przez kobietę, a mianowicie przez Lenę Zelterowicz-Orchoniową.

Były to inne czasy dla teatru. Rozpządzał on wówczas wielu młodymi aktorami zawodowymi. Dziś sytuacja się znacznie zmieniła i młody narybek aktorski jest niemal całkowicie amatorski lub tzw. półzawodowy. Toteż tym większa jest zasługa obecnej reżyserki sztuki, p. Reginy Kowalewskiej, że zespół w obecnym wznowieniu „Ślubów“ potrafił osiągnąć tak na ogół sprawny poziom gry, przy wprost wyjątkowym opanowaniu tekstu i efektownych rozwiązaniach sytuacyjnych. Niezrównaną w swym liryzmie Anielą była Bogumiła Kłakówna, z frywolną werwą grała Klarę, Krystyna Mielżyńska, której rola ta odpowiadała z usposobienia.

Pełną godności Panią Dobrójską, Danuta Michniewicz z wyjątkową na wiek odtwórczyni statecznością. Trochę mniej naturalni byli wykonawcy ról męskich, jakkolwiek mający na ogół dobre warunki sceniczne: Zbigniew Youriewski starał się opanować swój manieryzm i podolał trudnej roli Gustawa. Sympatycznie oddał postać Radosza Andrzej Kamiński, choć może nazbyt jednostajnymi środkami wyrazu. Zgodnie z tekstem sztuki Marek Barański zrobił prostymi gierkami śmieszą figurkę z Albina. Michał Kiersnowski odtworzył rolę służącego Jana z rutyną starego aktora.

Niestety wystawienie tej komedii nastąpiło w okresie tzw. ogórków, kaniukuły i wakacji szkolnych, gdy mało kto z zainteresowanych widzów pozostał w mieście. W wypadku „Ślubów“ jest nadzieja, że to przedstawienie będzie mogło na jakiś czas wejść do „żelaznego repertuaru“ Teatru „Syrena“ i być powtórzone w bardziej stosownej dla widzów porze.

Pozostało jeszcze wyrazić uznanie dla utrzymanej w charakterze epoki freudrowskiej oprawy scenicznej, dzięki dekoracjom i kostiumom F. i J. Matyjaszkiewiczów, oraz sprawnej pracy sił pomocniczych w osobach A. Gołębskiego (światło) i M. Kiersnowskiego (inspicjentura)...

J.O.N.

ŚRODKOWY WSCHÓD. Bilans blykawicznej rozprawy Izraela z przygotowującymi się do napaści sąsiadami arabskimi przedstawia się następująco: Izrael przypłacił swój bezprzykładny, choć może pyrrusowy sukces (rozgromienia gros sił egipskich i jordańskich, opanowanie obszaru trzykrotnie większego niż własny, zdobycie blisko 300 czołgów nieuszkodzonych, 70.000 ton amunicji, tysięcy samochodów, masę sprzętu piechurskiego, artyleryjskiego, jednej eskadry „Migów“, 1. baterii rakiet plot. itd., niewiarygodnie małymi stratami. Wyniosły one zaledwie 730 zabitych, 2.800 rannych, 16. zabranych do niewoli, 61. czołgów i 21 samolotów. Straty ekonomiczne (koszt mobilizacji, straty w sprzęcie i eksporcie, odpływ turystów itp.) oceniane są na niewiele ponad 600 milionów dolarów. Ofiary z całego świata pokryły je w 5/6. Dojdzie jednak kosztowny serwitut utrzymania setek tysięcy uchodźców arabskich oraz części rezerwistów.

Straty bezpośrednio zaangażowanych państw arabskich są oczywiście nieporównanie większe. Najcięższe poniósł Egipt (6 rozbitych dywizji, blisko 400 samolotów i ok. 800 czołgów straconych, intratny kanał sueski od wielu tygodni zablokowany, turystyka przerwana), ale relatywnie bodaj najwięcej ucierpiała Jordania: 7 spośród 9 brygad poszarpanych, najżyźniejsza część kraju wraz z Jerozolimą stracona, kłopoty z ok. 150.000 dodatkowych uchodźców. Stosunkowo najmniejsze straty poniosła Syria, najpóźniej zaatakowana. Tylko 3 jej brygady, które broniły umocnień na północ od jeziora Genezaret, zostały rozbite, zaś jej siły pancerne i powietrzne ucierpiały niemal tylko od nalotów. Również jej straty terenowe są najmniejsze. Straty algierskie ograniczyły się do utraty 10-ciu „Mig-21“, które wylądowały na lotnisku zajęтым już przez oddziały izraelskie. Oddziały irackie (17.000) oraz saudi-arabskie, które pospieszyły na pomoc Jordani, bodaj nie wzięły udziału w walkach. Straty arabskie w poległych i rannych były niewątpliwie poważne, jednak mniejsze niż sprzętowe. Ile tysięcy Egipcjan zmarło z pragnienia i głodu podczas przedzierania się przez pustynię synajską w kierunku kanału sueskiego, nie wiadomo. Do niewoli dostało się tylko ok. 5.500, w tym 9 generałów, bo Izraelczycy przeważnie ograniczali się do rozbrojenia kapitulujących, by nie mieć z jeńcami kłopotu. Jordańskich jeńców (400) już wymienili za 2 lotników. Samą wartość zniszczonego lub straconego sprzętu egipskiego oblicza się na grubo ponad miliard dolarów albo na 10 sprzętów bawelny. Gospodarze

straty są już większe, a będą wielokrotnie większe, jeśli zablokowanie kanału sueskiego i wstrzymanie eksportu nafty do państw anglosaskich i NRF się przeciągnie.

Wobec bezsilności ONZ, braku arabskiego przemysłu uzbrojeniowego i niezgody w obozie zachodnim zależy właściwie tylko od Sowietów, czy dojdzie do nowego starcia, czy nie. Sprzętowe straty swych arabskich pupilów Moskwa już zastępuje i może wyrównać całkowicie w stosunkowo krótkim czasie, jeśli, mimo doznanego zawodu, na to się zdecyduje, natomiast straconych zarobków nie zwróci, a spowodowanego klęską chaosu organizacyjnego, personalnego i wyszkoleniowego rychło usunąć nie zdoła. Gdyby nie ta pomoc, państwa arabskie musiałyby, choć dyszą żądzą rewanzu, pójść na bezpośrednie rokowania z Izraelem, który od tego i otrzymanych gwarancji uzależnia opuszczenie gros zajętych terenów. Niestety, na to się nie zanosí, bo Kremlowi zależy na podtrzymaniu wrzenia. Uzbroi on nawet Jordanię, jeśli zabiegi króla Husseina o dostawę sprzętu z Zachodu nie dadzą rezultatu i do rozmów z Izraelem nie dojdzie. Prawdopodobniejsze jest stopniowe nasilenie utarczek granicznych, które mimo formalnego zawieszenia broni już się rozpoczęły nad kanałem sueskim i na odcinku syryjskim i mogą z czasem doprowadzić do nowej konflagracji, choć tylko współpracą Arabów z także semickim Izraelem mogłaby zapewnić obu stronom rozkwit — zamiast grożącej ruiny.

Podane w poprzedniej Kronice stany liczebne obu walczących stron dotyczyły oczywiście stanów zmobilizowanych, a nie pokojowych, przy czym w stanach egipskich nie uwzględniono sił zaangażowanych w Jemenie. Pokojowy stan izraelskich sił zbrojnych wynosił zaledwie 71.000, był więc niemal o połowę mniejszy, niż samych tylko egipskich.

CHINY. Dokonany 16. czerwca nad jeziorem Lop Nor w Sinkiangu wybuch pierwszej chińskiej bomby wodorowej, o mocy przeważnie na 3 MT ocenianej, był wydarzeniem zbyt ważnym, by można jego reperkusje polityczne, strategiczne i psychologiczne w ciasnych ramach Kroniki Wojskowej naświetlić. Wrócimy do tej sprawy w następnym numerze „Orła“. Do tego czasu wyjaśnią się prawdopodobnie niektóre wątpliwości techniczne.

WIETNAM. O ile amerykańskie naloty na Płn. Wietnam, skierowane ostatnio głównie przeciw komunikacjom, nie osłabły, o tyle nasilenie walk naziemnych raczej się zmniejszyło. Warto jedynie przytoczyć, że wojska czerwone

znów weszły do strefy neutralnej, z której zostały przed kilku miesiącami wyparte, i że integracja oddziałów amerykańskich i rządowych postępuje naprzód.

UKŁAD WARSZAWSKI. Jak było do przewidzenia, następcą marszałka Greczko na stanowisku dowódcy sił układu warszawskiego został znów przedstawiciel sowieckich sił zbrojnych, marszałek Jakubowski, który ongiś dowodził siłami stacjonowanymi w Niemczech Wschodnich. Marszałek Greczko został, jak wiadomo, ministrem obrony w miejsce zmarłego marszałka Malinowskiego. Stosunkowo późną nominację marszałka Jakubowskiego tłumaczyła zwłaszcza prasa niemiecka rzekomymi oporami państw satelickich przeciw niestosowaniu turnusu obejmującego przynajmniej większe państwa satelickie. Chyba tylko Rumunia mogła takie żądanie wysuwać.

W maju i czerwcu odbyły się dwa szkieletowe ćwiczenia sztabów sowieckich i satelickich.

Kage

BILETY KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRETOWE

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.
Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street
Tel. MID 1526

LIST KARDYNAŁA WYSZYŃSKIEGO, DO POLAKÓW W SZKOCJI

Poniżej podajemy list Kardynała Wyszyńskiego, Prymasa Polski z dnia 24 maja b. r. do Prezesa Komitetu Tysiąclecia w Szkocji, p. Mieczysława Brodzińskiego.

Szanowny Panie Prezesie,

Ostatnio otrzymałem wiadomość od Księdza Biskupa Władysława Rubina, że Komitet Obchodów Tysiąclecia Chrztu Polski w Szkocji chlubnie wywiązał się ze swego zadania. Tamtejsza bowiem Polonia włączyła się w uroczyste Te Deum Narodu, aby podziękować Trójcy Przenajświętszej za Łaski Chrztu świętego, przyrzekła, że zachowa wierność Bogu, Krzyżowi, Ewangelii, Kościołowi i jego Pasterzom, oraz oddała się pod opiekę Matki Boskiej Częstochowskiej, Królowej Polski, która „dana jest przez Boga na obronę Narodu naszego“.

Pragnę równocześnie podziękować za bratni dar, jaki Komitet złożył na Polskie Seminarium Duchowne w Paryżu.

Wdzięczny za te żywe uczucia naszej bratniej łączności, ślę Panu Prezesowi, Komitetowi, Ofiarodawcom i całej Polonii Szkockiej błogosławieństwo prymasowskie z najlepszymi życzeniami dalszych obfitych Łask Bożych i wszystkich oddaję pod macierzyńską opiekę Pani Jasnogórskiej, Królowej Polski i Matki Kościoła.

W miłości bratniej,

† Stefan Kard. Wyszyński

* * *

USTĄPIENIE PREZESA F. KĘDZIA

Zarząd Federacji Polskich Obrońców Ojczyzny we Francji zawiadamia, że wieloletni prezes Federacji p. Franciszek Kędzia złożył w dniu 28.IV. br. rezygnację z zajmowanego stanowiska.

Do czasu walnego zjazdu, obowiązki prezesa Federacji pełni wiceprezes Marian Czarnecki.

* * *

...ZE ZJAZDU SPK w HOLANDII...

Zjazd odbył się 24.IV.br. w domu dla uchodźców w Amsterdamie. Chwilą milczenia uczczono pamięć śp. gen. Bora-Komorowskiego, Stanisława Lisa i Henryka Zabielskiego. Zjazd potępił stanowisko reżymu warszawskiego wobec Izraela i wyraził pełne poparcie dla prawa niepodległego bytu i pokojowego

Z ŻYCIA POLSKIEGO

rozwoju narodu i państwa izraelskiego.

Złożono liczne sprawozdania zarządu krajowego oraz kół SPK. Stowarzyszenie brało czynny udział w obchodach millenijnych w Bredzie, w Amsterdamie i Utrechcie, a ponadto w obchodach wyzwolenia Axel i Bredy, walk Samodzielnej Brygady Spadochronowej pod Arnhem i w uroczystości złożenia hołdu poległym w II-iej wojnie światowej pod pomnikiem w Amsterdamie, w której brali udział: królowa Juliana i książę Bernard.

Udzielono opieki kilku nowym uchodźcom z kraju oraz roztoczono żywą działalność prasową i propagandową w kołach holenderskich i belgijskich.

* * *

SPK w KANADZIE

Kwartalny komunikat Nr. 3 (23) z lipca br. Zarządu Głównego SPK w Kanadzie, podaje sprawozdanie z XII-go Walnego Zjazdu delegatów kanadyjskiego SPK. Zjazd uchwalił dwie rezolucje. I-sza określa stanowisko wobec kraju i reżymu nim rządzącego, II-ga, — stosunek lojalności do kraju osiedlenia, Kanady. Oprócz rezolucji, Komisje Zjazdowe powzięły szereg uchwał jak: pozytywny stosunek do obchodów w r.b. stulecia Kanady, poparcie zbiórki na pomniki Kopernika i Gzowskiego (zasłużony Polak w rozbudowie kolejnictwa kanadyjskiego w XIX wieku), sprawie naszej młodzieży, setnej rocznicy urodzin Marszałka Józefa Piłsudskiego, poparcie Instytutu im. gen. Sikorskiego w Londynie oraz poparcie „Orla Białego“. Ponadto komunikat zawiera sprawozdania prezesów Kół SPK, życzenia dla Zjazdu, sprawozdanie finansowe, tekst listu Zarządu światowej Federacji SPK do kombatantów Izraela, sprawozdanie ze Święta 3 D.S.K. w Toronto oraz sprawy wewnętrzne kombatantkie. Komunikat jest bogato ilustrowany fotografiami ze Zjazdu.

* * *

J.E. KS. KARDYNAŁ K. WOJTYŁA w WIEDNIU

Przedstawiciel Polish-American Immigration & Relief Committee, Zarząd SPK, duchowni polscy oraz szereg osób z Polonii wiedeńskiej powitali bawiącego przejazdem do Rzymu oraz zegnali w drodze powrotnej do Krakowa, Ks. Arcybiskupa J.E. Ks. Kardynała Karola Wojtyłę, wręczając mu bukiet kwiatów o barwach narodowych. J.E. Ks. Kardynał spędził chwilę na bardzo serdecznej i bezpośredniej rozmowie z rodakami zamieszkałymi w Wiedniu.

WYNIK KONKURSU NA UTWÓR POETYCKI O NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNIE

W konkursie Instytutu Polskiej Akcji Katolickiej w W. Brytanii na ten temat, (patrz „Orzeł Biały“ Nr. 30/1177, styczeń 1967), nagrody otrzymali: równorzędnie — Siostra Assunta z Zakonu Sakramentek w Polsce (godło „Assunta“) za utwór „Trahe nos, Virgo Immaculata“ oraz Beata Obertyńska w Londynie („106909“) za utwór „Tak mówił Jej Anioł Stróż“. Trzecie z kolei wyróżnienie przypadło Teresie Weysenhoff z Polski („Bursztynowe Źródło“) za wiersz „Regina Poloniae“. Ponadto wyróżniono Marię Bochnarową w Stanach Zjednoczonych za wiersz „Nadziejo Błękitna“ i Zofię Ilińską w Anglii za utwór „Marya Panna“.

Ogółem nadesłano 98 utworów, w tym 27 z Polski, 40 z krajów Europy, 28 ze Stanów Zjednoczonych i Kanady, 2 z Australii i 1 z Brazylii.

Skład Sądu konkursowego: prof. Wł. Guenther — przewodniczący oraz członkowie: p. M. Chmielowiec, ks. dr J. Kołodziejczyk, O. J. Mirewicz, T.J., dyr. A.J. Onyszkiewicz i prof. F. Śmieja.

* * *

SZCZĘŚLIWE ZAKOŃCZENIE SPORU O TYTUŁ WŁASNOŚCI BIBLIOTEKI POLSKIEJ w LONDYNIE

Polska Rada Biblioteczna zawiadamia, że rząd J.K.M. zrzekł się roszczeń do księgozbiorów Biblioteki Polskiej w Londynie z tytułu udzielonych poprzednio subwencji Bibliotece Polskiej i przyznał prawo własności Biblioteki Polskiemu Ośrodkowi Społeczno-Kulturalnemu, pod warunkiem, że wykaże się dostatecznymi źródłami dochodu do zapewnienia jej bytu. P.O.S.K. zawarł więc umowę z Uniwersytetem Londyńskim, na mocy której otrzymywać będzie dla Biblioteki po £2.500 rocznie przez okres pięcioletni wzamian za udostępnienie księgozbioru wykładowcom i słuchaczom Szkoły Studiów Słowiańskich. Tak więc, z dniem 1. sierpnia br. Ośrodek Społeczno-Kulturalny stał się pełnoprawnym właścicielem Biblioteki Polskiej w Londynie (podobnie jak od marca br. jest nim w stosunku do Centrali Bibliotek Ruchomych), a Polska Rada Biblioteczna objęła zarząd nad bibliotekami i przejęła troskę o ich utrzymanie i rozwój.

Polska Rada Biblioteczna zwróciła się do całej społeczności emigracyjnej o czynną pomoc materialną w uratowaniu istnienia Biblioteki Polskiej. Apel ten spotkał się z oddźwiękiem przede wszystkim związków młodzieży, Stowarzyszenia Techników Polskich, terenowych Kół SPK z całego wolnego świata, Stowarzyszenia Lotników Polskich i innych organizacji. W sposób wzru-

Notatnik kulturalny

B.D.I.C

UKRYTA ROBOTA: W tym podtytuł jest nie tylko aluzja do „Traktatu o dobrej robocie“, ale również i nawiązanie do „ukrytego bezrobocia“, który był plagą wsi polskiej przed wojną. Wsi tu już nie mamy, bezrobocia też, ale mamy skrzyżowanie pn. „ukryta robota“. Na emigrację przeszedł poważny odłam naszego niepodległego życia naukowego. Do niego przyłącza się nowe życie naukowe następnych pokoleń narosłych na obczyźnie. Część tego życia znana jest tylko powierzchownie i bynajmniej nie powszechnie. Część jest nie tyle utajona, co ukryta. Nie tkwi w niedostępnych zakamarkach mózgowych uczonych, lecz zmateralizowana w pracach niewydanych lub wydawnictwach zmagazynowanych po zakamarkach, mimo że ich realizacja odbywa się zazwyczaj dzięki niepojętym cudom finansowym.

(Dokończenie ze str. 34)

szający odpowiedzieli na to wezwanie emeryci, wdowy i dziatwa szkolna.

Jak dotychczas wpłynęło na Fundusz Biblioteczny, ze źródeł polskich, około £5.000 od niespełna 2.000 ofiarodawców, co stanowi zaledwie półtora procent ogółu Polaków w W. Brytanii, albo około 5% polskich mieszkańców Londynu. Jeżeli powściągliwość ta była częściowo zrozumiała obawą przejścia bibliotek w obce ręce, to obecnie wobec bezspornej własności całej społeczności polskiej niepodległościowej, nie powinna więcej mieć miejsca.

Polska Rada Biblioteczna zwraca się więc z gorącym apelem do wszystkich Polaków, którym los kultury polskiej i zapewnienie przyszłym pokoleniom polskim tak ważnych placówek kulturalnych jak Biblioteki Polskie, Instytut Polski i Muzeum gen. Sikorskiego, Instytut Józefa Piłsudskiego, Studium Polski Podziemnej i inne, jest drogą, o dalszą i nieustanną pomoc materialną przez dalsze wpłaty na „Polish Library Fund“, 9, Princes Gardens, London, S.W.7.

Jeżeli emigracja polska w XIX wieku, po powstaniu listopadowym, nieskończenie mniej liczna od naszej, mogła stworzyć i utrzymać Bibliotekę Polską w Paryżu, która promieniowała i promieniuje do dziś dnia, jako centrum kultury polskiej na Zachodzie, tym więcej stać nas — emigrację nieporównanie liczniejszą i materialnie o wiele bogatszą — do utrzymania naszych centrów kulturalnych w stolicy Anglii.

Mamy tutaj na myśli takie szacowne wydawnictwo, jak Rocznik Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie, którego ukazał się XV. tom, czy raczej zeszyt, rejestrujący około 280 uczonych polskich rozproszonych po całym świecie, co nie znaczy, że istnieje dalszych 300 do 500 niezarejestrowanych, o pełnych kwalifikacjach.

Wiadomo, że dzięki pomocy ze strony Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie ukazał się pierwszy zeszyt „Antemurale“ wypełniony pracami uczonych polskich z P.T.N.n.O., ale zawartość jego dokładna nie jest znana. Brak recenzji zapewne z racji braku egzemplarzy recenzyjnych, o które pismo bijące rekordy w zakresie recenzowania książek nie powinno się upominać.

Ale są jeszcze ukryte „skarby“ innego rodzaju. Wiadomo, ale woli się o tym nie mówić, że po śp. Jakubie Hoffmannie pozostało opracowanie dorobku pisarskiego emigracji w zakresie nauk humanistycznych, które wypadło z „Literatury Polskiej na Obczyźnie 1940-1960“. Jak wypadły również dalsze opracowania dorobku piśmiennictwa wojskowego, czy społeczno-gospodarczego, których autorzy wciąż żyją wśród nas. Zabrakło środków, czy też były zastrzeżenia redakcyjne. Trudno upominać się o wszystko i za wszystkich. Ale nie powinno puszczać się w niepamięć niewykorzystania dotychczas materiałów zebranych przez Polską Bibliotekę w Londynie, a dotyczących bibliografii dzieł polskich uczonych ogłoszonych w językach obcych poza Polską. Może przy sprężystym patronacie Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego kierownictwo biblioteki będzie mogło swe projekty wydawnictw bibliograficznych zrealizować.

Przy sposobności wspomnieć można, że istnieje obszerne opracowanie dzieł współczesnego teatru emigracyjnego, na którego wydanie nie może się zdobyć inna, niż P.T.N.n.O., instytucja, bezpośrednio w tym zainteresowana. We wszystkich tych przykładach chodzi o prace, które mają dorobek naukowy czy artystyczny utrwalac, otwierać nań oczy i przekazywać następnym pokoleniom. Z wysiłków reklamowych robionych na przeforsowanie czytelnictwa niektórych utworów pisarskich o bardzo osobistym charakterze zebrać można środki na wydanie jakiejś części prac o znaczeniu powszechnym.

REGIONALNE OPŁOTKI: Nauka polska miała zawsze czołowych ekspozycyjnych tylko.

mentów o kalibrze światowym od Kopernika i Włodkowica po Curie-Skłodowską czy Beaudouin de Courtenay, działających w Kraju, ale nie raz i na obczyźnie. Nie mniej, jak na to zwraca uwagę autor najnowszej historii polskiej filozofii Henryk Skolimowski, (o czym obszerniej na innym miejscu), miała swój charakter regionalny. Wskazywał nań i Wielki Patriotą, kiedy mówił, że Polska jest podobna do obwazanka, gdzie wszystko jest dookoła, jeśli nie na prowincji, to na kresach. Czyż z tym pokostem regionalizmu nie przeszła nauka nasza poza opłotki krajowe i czy nie zaważyło to na jej stylu, który w wielu wypadkach tak razi młodsze pokolenie wychowane poza rodzinnymi opłotkami? I czy w tym, właśnie, niektórzy upatrują źródło pewnego rozdwojenia wśród kadr naukowych: na tych, którzy dzierżą berło kierownicze i organizacyjne i przewodzą ze swych wyżyn obrastających mchem i pajęczyną, a innych — zarejestrowanych i często niezarejestrowanych, żyjących się na szerokim świecie, i nawet nie kwapiących się o zaszczytne członkostwo w najszczytniejszych polskich towarzystwach naukowych.

Zdaje się, że można już o tym nie tylko mówić, ale i pisać otwarcie, bo jest coraz więcej objawów, że trwając od pewnego czasu niedowład zostanie przewyciężony, i że teraz nie tyle uchwyt berła, ile gros czarnej roboty przechodzi powoli na młodsze i żwawsze ramiona. Do tych objawów zaliczyć by można powstanie ostatnio, — zamiast przy Polskim Towarzystwie Naukowym, ze względów czysto personalnych, — przy Polskim Towarzystwie Historycznym, Sekcji Historii Kultury, o znacznie szerszym, niż ten tytuł, zakresie zadań. Przewodniczy jej prof. dr J. Bujnowski, który puścił energicznie w ruch dział odczytowy. Do tych objawów należy też „odmłodzenie“ kadr pracowników pomocniczych w Instytucie Polskim, przez dopuszczenie grona ochotników honorowych. Ale już tutaj „rozmach“ w ocenie wydarzeń „przeziści“ ponad i poza cel. Donosząc o tym fakcie prof. Bujnowski napisał, że tym przekreślone zostało „krakanie niektórych pesymistów“. (Pewnie idzie o p. C. Woyno, autora artykułu w paryskiej „Kulturze“, który mówiąc o instytucjach takich, jak Instytut stwierdził, że „Rady i zarządy tych instytucji składają się w 100% z ludzi starszych wiekiem, stojących w obliczu śmierci“). O „przekreśleniu“ można mówić jedynie wówczas, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że to po tym „krakaniu“ dopiero nastąpiło dopuszczenie tej „nie wołanej“ „młodzieży“ na razie do robót porządkowych tylko.

PRZEWAŻNIE DLA PAŃ

NARODOWA
LIGA KOBIETY SAMOTNEJ

Anglia jest nie tylko krajem kontrastów, które obserwujemy wszyscy w życiu codziennym, ale także i krajem zaskakujących idei. Jednym z ciekawszych pomysłów społecznych było powstanie tzw. Narodowej Rady Kobiety Samotnej (National Council for the Single Woman and her Dependents), która to Rada niedawno zwołała konferencję w mieście Chislehurst, nadając swym obradom znamienne nazwę „Konferencja Feniks“. Do stowarzyszenia Rady Kobiety Samotnej należeć mogą kobiety nie posiadające bliskich, kobiety osierocone przez śmierć najbliższych.

Za pomocą owej organizacji osamotniona kobieta powstaje nagle jak Feniks z popiołów, aby nauczyć się żyć w odmiennych i nowych dla siebie warunkach: żyć w pojedynkę. Wiemy, że Anglia szczególnie obfituje w ten rodzaj kobiet — nieraz bez bliskiej duszy na całym bożym świecie. Ich smutny los wywodzi się często aż od czasów wiktoriańskich, gdyż wówczas to młode dziewczęta, by tak powiedzieć — z „urzędu“ i z obowiązku córki, poświęcały całe swe życie rodzicom, nieznanemu bratu, czy chorej i jak ona niezamężnej siostrze. Poświęcały swą młodość, a potem i lata dojrzałe aż do śmierci bliskich, która przeważnie następowała wtedy, gdy już poświęcająca się dla rodziny kobieta nie miała żadnych szans dla ułożenia sobie własnego życia. Ten wiktoriański układ społeczno-rodzinny trwa jeszcze tu i ówdzie na angielskiej prowincji w oderwaniu od świata, który dał tak ogromny skok naprzód w wielu innych dziedzinach codziennego życia.

Kilkudniowa konferencja „Feniks“ omawiała wiele aspektów, które miały na celu „rehabilitację“ osamotnionych kobiet — tych kobiet, które po latach takiej czy innej rodzinnej niewoli, przez śmierć najbliższych straciły naraz swój życiowy pion.

Poza aspektami moralnymi i psychologicznymi organizacja poruszyła także na swej konferencji sprawy praktyczne i tak żywotne jak: podstawowe zasady naprawiania kanalizacji (np. zasadniczą sprawą odetkania zlewu), naprawę przyrządów elektrycznych takich, jak żelazka, czy czajniki, zmiany stopki przy krótkim spięciu, proste roboty ślusarskie, szklenie okien, lub naprawa opony samochodowej. Wykładowcą na kursie „praktycznym“ konferencji „Feniks“ był typowy angielski „handyman“ czyli polski majster-klepek, a frekwen-

cja na jego wykładach była zupełnie przykładowa.

AUTOSTOPEM?

Przejdźmy jednak do zagadnień życia codziennego o nieco lżejszym kalibrze. Jesteśmy na początku września, więc nie za późno jest jeszcze na miłe i dobre wakacje przy łagodnej pogodzie. Nie tylko bowiem meteorolodzy, ale i my sami „wczasowicze“ zauważyliśmy, że wrzesień jest od kilku lat najpewniejszym miesiącem jeżeli chodzi o pogodę. Możemy więc ze względną pewnością snuć wrześniowe marzenia na temat odpoczynku na jakiejś złotej plaży i nad ciepłym morzem, albo dla odmiany w górach, które może najpiękniejsze są właśnie wczesną jesienią. Nie zawsze jednak mamy wystarczające środki na to, aby jak najwygodniej i jak najszybciej dostać się do z góry upatrzonego wypoczynkowego rajku. Już tak to bywa bowiem na tym niesprawiedliwym świecie, że im jesteśmy młodsze — a ten paragraf piszę specjalnie dla młodych kobiet — tym mniej mamy środków do urzeczywistnienia naszych wakacyjnych marzeń. Ale — młode kobiety mają wiele inicjatywy. Od czegoż więc jazda na autostopa?

Ten sposób podróżowania jest popularny na całym świecie i podczas miesięcy letnich tysiące młodych ludzi i dziewcząt ochoczo z niego korzysta. Ale — czy jest to sposób transportu całkowicie bezpieczny dla kobiet? Czy za darmowy przejazd przedsiębiorcza podróżniczka nie zapłaci nieraz zbyt wysokiej ceny strachu, niewygody i poniżenia?

Chciałabym się podzielić z czytelniczkami kobiecego łamu „Orła“ doświadczeniami młodych kobiet, które niedawno zabierały głos w tej „autostopowej“ sprawie na łamach codziennej prasy brytyjskiej. Oto kilka wypowiedzi doświadczonych auto-stopowiczek, które redakcja pewnego brytyjskiego dziennika zamieściła pod wspólnym, znamienym tytułem: „Moralność jazdy na auto-stopa“.

„...Przejechałam na auto-stopa przeszło 20 tysięcy kilometrów — pisze pewna studentka — przez najdalsze rejon tropików brazylijskich. Po drodze zwiedziłam Rio de Janeiro, Buenos Aires, Limę, Caracas, aż wreszcie oparłam się w amerykańskim San Francisco. Na mojej drodze — jak to nazywam „podniesionego kciuka“ spotykałam najróżnorodniejsze typy pod słońcem: argentyńskich owczarzy i cowboyów, poszukiwaczy nieodkrytych źródeł ropy naftowej, sekciarzy i leaderów

jazzowych zespołów. Poznawałam świat i poznawałam ludzi. Nigdy, podczas tej długiej podróży nie zetknęłam się z zaczepką, chęcią wyzysku, czy ze zboczeniem.“

Napewno dziewczyna ta miała szczęście podróżując po krajach co prawda dzikich, ale przesiąkniętych wciąż jeszcze rycerską tradycją hiszpańskiego conquistadora — dla słabej kobiety. Bo oto inna dziewczyna tak pisze:

„... Wydaje mi się, że składową częścią „dobrego uczynku“ każdego zatrzymanego na szosie szofera — jest jego przekonanie, że za podwiezienie „należy“ mu się zapłata. Pamiętam jak jeden zatrzymany przez mnie na szosie we Włoszech mężczyzna po poinformowaniu mnie, że na córkę w moim wieku, zamknął mnie na całą noc w swoim samochodzie ze złości, że nie chciałam spędzić razem z nim nocy w przydrożnej karczmie. Inny znów, bardzo poważnie przestrzegał mnie, że jeśli nie będę dla niego podczas naszej wspólnej podróży „uprzejmieszka“, — straci mnie w przepaść. Przestrzegam jak najusilniej wszystkie młode kobiety przed autostopem, gdyż wiem z własnego doświadczenia, że na wyciągniętą rękę zatrzyma się raczej starszy, sfrustrowany gość, a nie normalny młody mężczyzna, który może mieć także swoje powody i doświadczenia, aby nie podbierać z pustej szosy nieznanego sobie kobiety.“

Trzecia młoda osoba pisze najrozsądniej: „Nie wybierajmy się nigdy w pojedynkę w podróż auto-stopem. Wiadomo, że co dwie głowy to nie jedna. Dwie kobiety czują się różnie i są o wiele bezpieczniejsze na drodze.“

I wreszcie uwaga czwartej: „Drogie amatorki darmowych przejazdów: to co was spotka w trakcie podróży zależy od was samych. Wasze minki i uśmiechy, wasza kokieteria, aby się tylko zatrzymał i zabrał, wasze pozowania się przy przydrożnym rowie i wasze chichoty w czasie podróży, chociażby tylko z nerwowego napięcia — wszystko to czyni was odpowiedzialnymi za nieprzyjemne przygody. I jeszcze jedna rada: para sfatygowanych spodni, brak szminki, gruby sweter i psychiczną postawą: jestem żądna zwiedzania i niczego więcej — pomogą wam do szczęśliwego przejechania wielu tysięcy kilometrów bez fizycznego i psychicznego uszczerbku.“

Sądzę, że ostatni list jest najbliższy prawdy. W każdym razie przed powzięciem decyzji — jechać na autostopa, czy nie jechać? — zastanówmy się poważnie: a może jednak będzie i łatwiej i wygodniej zaoszczędzić sobie chociażby kosztem jeszcze jednej letniej sukienki — na bilet kolejowy?

Dokończenie na str. 37)

Jeżeli sport ma być źródłem dobrego samopoczucia i zdrowia, to dlaczego istnieją pewne gałęzie sportu, w których notujemy raz po raz śmierć? Można się z tym nie zgodzić, ale gdy umiera na ringu pięściarz w czasie (lub po walce), w wyniku goźnego uderzenia pięścią w głowę, wywołującego wylew krwi, to — jak powiadam — można się z takim sportem nie zgadzać, lecz ostatecznie znana jest przyczyna śmierci. Niedawno temu znane pismo włoskie „L'Osservatore della Domenica“ stwierdziło, iż od roku 1943 straciło życie 167 pięściarzy, najczęściej w wyniku uszkodzenia mózgu. Jest to cyfra na pewno tragiczna, jak tragiczne są wypadki śmierci w czasie wyścigów samochodowych czy motocyklowych. W tym niebezpiecznym sporcie każdy zawodnik musi się liczyć z ogromnym ryzykiem, jakie bierze na siebie dobrowolnie. Ale, co myśleć o wypadkach śmierci np. w sporcie kolarskim? —

Zanim przejdę do konkretnych faktów, przypomnę, że w pierwszej połowie tego roku komisja ministerialna Rady Europejskiej przyjęła ciekawą rezolucję, w sprawie używania przez zawodników narkotyków i innych środków podniecających. W rezolucji zalecono wszystkim rządów, ażeby tepily w swoich krajach używanie środków podniecających, ażeby wprowadzone zostały sankcje karne w stosunku do

(Dokończenie ze str. 36)

MASECZKA ODŚWIEŻAJĄCA

Na zakończenie obecnej gawędy, po rozważaniach dla bardzo młodych niewiast, bo tym nieco starszym po prostu nie chce się jechać na autostopa — rada kosmetyczna dla kobiet, które na pewno są zawsze bardzo młode duchem, ale już nie zawsze wyglądem: mam na myśli te panie, które czasami, mimo, że są w sile wieku — czują, iż przydałaby się im maseczka odświeżająca wciąż jeszcze młodą, ale troszeczkę zmęczoną twarz. Maseczka jest prosta, skuteczna (sama wypróbowałam!) i dostępna dla każdej. Drogie panie — raz w miesiącu po prostu musimy nasze twarze... nakrochmalić! Tak: oto jedna z czołowych kosmetyczek paryskich taką nam daje radę: weźmy zwyczajny krochmal, taki jakim krochmalimy niedobitki męzowskich koszul, tych, które nie były jeszcze „drip-dry“ czyli wysychające bez prasowania. Oczywiście musi to być prawdziwy krochmal, a nie plastykowy. Rozrobmy go jak na koszulę męską i połóżmy na 20 minut na twarz. Gdy maseczkę zmyjemy potem letnią wodą i przetłuszczonym mydłem — ujrzymy w lustrze naszą dawną, młodą, gładką twarz: twarz, na jaką zasługujemy na codzień.

K. E.

PAWEŁ HĘCIAK

SAMOBÓJCY SPORTOWI

wszystkich winnych, a więc zarówno zawodników, jak i organizatorów oraz funkcjonariuszy, ażeby wreszcie kary nałożone w jednym kraju na winnych używania narkotyków obowiązywały we wszystkich krajach. Innymi słowy, by zawodnikowi skazanemu za używanie narkotyków w jednym kraju nie wolno było startować w innym kraju. We wstępie do rezolucji ustalono, co to jest „doping“: jest to dostarczenie komuś albo używanie na własną rękę takich środków, które by w sztuczny, a tym samym w niełojalny sposób zwiększały siły zawodnika biorącego udział w zawodach. Komisja stwierdziła nadto, że sport służy w pierwszym rzędzie dla podniesienia zdrowia, kształtowania charakteru i sił fizycznych, a także dla podtrzymania międzynarodowego porozumienia. Stąd właściwe zachowanie się — zwłaszcza wybitnych sportowców — ma wpływ na kształtowanie się młodzieży, a nawet dorosłych. I dlatego ci, którzy używają środków podniecających szkodzą przede wszystkim własnemu zdrowiu, obniżają własną godność i wprowadzają element niełojalności i nieuczynowości do sportu.

Piękne to słowa, które przekreśla smutna i skandaliczna praktyka. Bo od lat wiadomo, iż narkotyki są powszechnie używane przede wszystkim w sporcie kolarskim, gdzie wysiłek jest długi, częstokroć kilkudniowy czy kilkutygodniowy i nad wyraz wyczerpujący. Po raz pierwszy chyba otwarły się oczy wszystkim w czasie olimpiady rzymskiej, w 1960 r., gdy zmarł kolarz duński. Knud Jensen. Oczywiście wysiłek był tego dnia olbrzymi (wyścig na 100 kilometrów) i oczywiście był upał szalony — około 100 stopni Fahrenheita. Lecz rzeczą oczywistą było także, iż Jensen zażywał mocnego „druhu“ Ronicol, który przyspiesza dostawę świeżej krwi do mięśni, i że serce tego wysiłku nie wytrzymało. Oficjalnie stwierdzono, że nastąpił udar słoneczny, co było przykładem zwyczajnego zakłamania.

Od dwóch lat istnieją we Francji przepisy zakazujące używania sztucznych środków w sporcie, lecz powszechnie wiadomo, iż na przepisy te patrzy się przez palce. I wierzyć można, znannemu angielskiemu dziennikarzowi sportowemu, Christopher Brasher, który na łamach jednego z tygodników londyńskich zupełnie wyraźnie napisał, że zawodnicy nie chcą się poddać badaniu lekarskiemu, nie chcą oddać próbki moczu do badania laboratoryjnego i że nie ma na to żadnej siły. Bo cóż? zawodnicy po prostu odmówią udziału w

zawodach, a wtedy impreza leży bez czołowych gwiazd, wobec tego lepiej nie wszczynać z nimi awantury.

Piszę o tym nieco szerzej na tle głośnego w ostatnich tygodniach wypadku, jaki wydarzył się w czasie słynnego Tour de France, największego na świecie wyścigu kolarskiego, trwającego 24 dni, na przestrzeni około 3.000 mil. W wyścigu bierze zwykle udział 130 kolarzy, którzy przemierzają szosy, lasy, równiny i góry Francji, Belgii, Szwajcarii, Luksemburga i Hiszpanii, a wszystko z towarzyszeniem wielkiego cyrku propagandowego — prasowego, radiowego, telewizyjnego. Zwycięzca otrzymuje około 15 tysięcy funtów, plus niezliczone nagrody i nadzieję na dodatkowe startowanie w różnych krajach — właśnie jako zwycięzca Tour de France.

W tym roku wyścig ten miał przebieg wyjątkowo tragiczny. Wiadomo było od wielu lat, że chyba wszyscy kolarze używali środków podniecających, czego nawet nie ukrywali. Przepisy francuskie pozwalają używać coraminy, leku za który w Anglii zawodnika się dyskwalifikuje. Na XIII. etapie Tour de France zasnął nagle znakomity kolarz angielski, Tom Simpson, wielokrotny olimpijczyk, szosowy mistrz świata w 1965 roku, pierwszy Anglik, który w poprzednim Tour de France zdobył złotą koszulkę lidera. Słowem — niewątpliwie wielki kolarz klasy światowej. Dla wtajemniczonych nie ulegało wątpliwości, iż Simpson stał się ofiarą swojej własnej słabości i ambicji, by utrzymać się za wszelką cenę w czołówce światowej. Badania rychło to potwierdziły. Na tle tego smutnego wypadku — Simpson osierocił dwoje dzieci — Brasher z całą szczerością stwierdza, że wiadomo mu było, iż Simpson od lat używał kofeiny (najczęściej) i wcale tego nie ukrywał. Za tę słabość przepłacił obecnie życiem.

Śmierć ta wywarła wstrząsające wrażenie wśród wszystkich innych uczestników wyścigu. Niektórzy płakali po stracie wielkiego kolarza, a na pewno płakali jego koledzy, z którymi wspólnie reprezentował barwy angielskie. Czternasty etap wyścigu rozpoczął się chwilą milczenia, dla uczczenia pamięci zmarłego, a potem cały następny etap odbył się bez walki. Czterem kolegom z teamu Simpsona pozwolono wyforować się na 4 minuty przed wszystkimi kolarzami, w ten sposób zwyciężyła na tym etapie drużyna angielska, a indywidualne zwycięstwo odniósł

(Dokończenie na str. 38)

także Anglik — Barry Hoban. Był to niewątpliwie wzruszający gest sportowy, który zasługuje na uznanie, choć zmarłemu życia nie wróci.

Czy z lekcji tej wyciągnięto właściwą naukę? Niestety — nie. Jak się bowiem okazało z innego zespołu kolarskiego biorącego udział w tym samym wyścigu, lecz pod nazwą Tour de l'Avenir zdyskwalifikowano aż 6 kolarzy różnych narodowości, gdyż lekarze znaleźli ślady niedozwolonych tabletek w urynie. Mało tego — kilka tygodni później zdyskwalifikowano zawodowego kolarza angielskiego, Roger Newtona, biorącego udział w jakiejś angielskiej imprezie kolarskiej. Tak więc nauka poszła w las. U Simpsona znaleziono różne tabletki (Onidrine i inne), a liczba tych fatalnych drugów jest ogromna. Badaniem ich zajmują się różne instytucje naukowe. W Londynie założyła Chelsea College of Science and Technology. Wyniki badań są stuprocentowo pewne. Wszystko zależy jednak od samych zawodników i kierownictwa, które terroryzują zawodnicy. Międzynarodowe Federacje sportowe winny wprowadzić bardzo ostre przepisy zakazujące używania drugów, a przede wszystkim powinno się ustalić nazwy wszystkich drugów i stopień ich szkodliwości dla zdrowia. A tymczasem każdy kraj produkuje setki własnych drugów, w których nazwach jest coraz trudniej się orientować. Przykładem jednak może być Anglia. W popularnym wyścigu kolarskim dokoła Anglii na każdym etapie bada się przymusowo pierwszych trzech zwycięzców i pierwszych kolarzy prowadzących w ogólnej punktacji. Bardzo surowe winne być badania na najbliższej Olimpiadzie — zarówno zimowej, która odbędzie się w tym roku w Grenoble, jak i letniej w Mexico City.

Paweł Hęciak

Wzmocnijcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

F R A N C J A

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

Śp. Lodzia Kupczyńska-Skrzywanek

„Dolina Śmierci“ — Karkin Batacz. Lodzia Kupczyńska małymi nóżkami podnosiła tumany kurzu, idąc — przepraszam maszerując — z kompanią junaczek do kuchni obozowej po posiłki, lub na lekcje do gaiku, jedyne zadrzewionego terenu w półpustynnym obozie uzbekistańskim. Była malutka, szczuplutka i bardzo osłabiona. Czepiała jej się wszystkie obozowe choroby, głównie dezenteria, która nie oszczędziła żadnej z nas.

Lodzia niczym nie różniła się od innych dziewczynek ściągniętych do Szkoły Junaczek przy Polskich Siłach Zbrojnych w Z.S.R.R. I byłaby jedną z tysiąca trzydziestu czterech, gdyby nie jej srebrny głosik. Gdy kompania maszerowała, Lodzia zaczynała śpiewać. Słaby srebrny dzwoneczek dzwonił czyściutko ponad smutnym dziewczęcym obozem.

„Maszerują chłopcy, maszerują“ powtarzały za nią inne głosiki i buziaki się rozjaśniały na wspomnienie ojców, braci, którzy „poszli do wojska“. One też są w polskim wojsku, niedługo dostaną mundury, niedługo nabiorą sił, kolorów, urosną, pokonczą szkoły. Więc chodzą do tego gaiku i spijają z ust nauczycielek i profeserek wiadomości o tej Polsce utraconej, którą jeszcze tak dobrze pamiętają, o tym domu dalekim, gdzie było zawsze chleba podostatkiem, a do którego znowu wrócą.

„Raduje się serce — raduje się dusza“.

Jedziemy z wojskiem do Iranu! Gdzie to jest ten Iran? Na południe? A przecież droga do Polski wiedzie na zachód. Więc z ciekawością maszeruje Lodzia z kompanią do gaiku, gdzie nauczycielki potrafią odpowiedzieć na każde pytanie.

Nad morzem Kaspijskim jasno niebieskie oczy Łodzi otwierają się z zachwytem. Przejęta intonuje o pół tonu niżej niż zwykle „Choć burza huczy wkoło nas“. Piosenka znana z Polski nabiera wyrazu. Dziecko Kresów nigdy morza nie widziało. Jaka szkoda, że to nie Bałtyk. „Zielone wody Bałtyku“ — tak mówi Komendantka. Jak woda może być zielona? Zielone są łąki, pola... Zobaczą kiedyś — myśli, wstępując po schodach na kołyszający się statek.

Nogi ledwie niosą. Jak miła jest pomoc instruktorek, komendantek, które same słabe, pomagają jak mogą.

Słicznie jest w Pahlewi, na wolnej ziemi perskiej. Czysta plaża, ciepłe morze i... kwiaty. Na te kwiaty chodzi się popołudniu, po lekcjach i przystraja nimi ołtarzyk obozowy. Tak będzie się kwiatami z pół przystrajać połowe ołtarze w Teheranie, Gederze, Rehovodzie, Quastine, Jeninie i ołtarze wspaniałych świętyń Nazaretu, wszędzie gdzie Szkoła mieć będzie swoje m.p. „Chwalcie łąki umajone, gaje, doliny zielone chwalcie z nami Panią świata...“ Kwiaty różne, zawsze inne, w zależności od krajów, które z wojskiem w drodze do Polski przebywałyśmy, ale zawsze pachnące, zawsze kolorowe, zawsze własnoręcznie zbierane. Tak jak matka w domu nauczyła.

Gdy losy junaczek się ważyły, Lodzia zdecydowała zostać w wojskowej części Szkół Junaczek, która powoli przekształcała się w Szkołę Młodszych Ochotniczek (S.M.O.). W Teheranie, w czasie podziału szkoły Lodzia powinna była z grupą młodszych lub słabszych odejść do szkół cywilnych. Niziutka, szczuplutka, w za dużym mundurze nie zapowiadała się na „wielkiego żołnierza“. Ale Lodzia za nic na świecie nie rozstałaby się ze Szkołą Junaczek przy Armii Polskiej, z mundurem, z czapką z orzełkiem. Zresztą, cóż to byłoby za wojsko bez „zapiewajki“?

„Jak dobrze nam zdobywać góry i młodą pierśią chłonąć wiatr“ śpiewała, a niebotyczne góry Elburs czy Zagros, przebywane w drodze do Jerozolimy, odpowiadały jej podwójnym echem.

Na Ziemi Świętej Lodzia przeżywała swą tragedię. Żadna choroba jej nie oszczędziła; nawroty malarii, zastarzała anemia, osłabione serce zmuszały ją do dzielenia roku szkolnego między szpitala a obozem.

Nieraz wpadała do kancelarii (jako „weteranka“ z Karkin Batacz uważała, że ma większe prawa od „nowych“, które znów ze swej strony uważały, że jako ochotniczki odkomenderowane z P.S.K. do Szkół, mają więcej praw od „smarkatych“).

(Ciąg dalszy obok)

„Niech mnie Pani Komendantka ratuje, znów Pani Doktor odsyła mnie do szpitala“.

Ratowałam jak mogłam.

„Kiedy egzaminy? Za 3 tygodnie? Bierz książki, za tydzień osobiście cię odbiorę“.

Ufna, brała książki i jechała. Również za tydzień, gotowa do powrotu siedziała na progu szpitalnego baraku. Wracałyśmy szczęśliwe z powrotem do domu. Lodzia nuciła „Serce w plecaku“. Wiedziała, że lubię tę piosenkę. Wiedziała, że lubię gdy śpiewała.

W Nazarecie Lodzia zdała dużą maturę w liceum administracyjno-handlowym. Tu też zmienił się repertuar piosenek. Na plan pierwszy wysunęła się Karpacka Brygada, Czerwone maki na Monte Cassino i nasz „bohaterski“ hymn S.M.O.

Szkoły rozwiązano w Londynie. Lodzia została w Anglii — ja wyjechałam z rodziną do Brazylii.

Minęło 25 lat od założenia Szkół przy Armii Polskiej. Szkoły Junackie zorganizowały okazały Zjazd. S.M.O. przysłało mi zaproszenie. W Londynie przywitały mnie moje dawne dziewczynki. Te same kochane, serdeczne, swoje. Jakby tych lat rozłąki nie było. Z radością, zdziwieniem i dumą patrzyłam na wychowanki S.M.O. Jakie eleganckie, śliczne, pewne siebie, mądre, „ustawione w życiu“! (zachwyty „mamy“?). Między nimi Lodzia Kupczyńska-Skrzywanek.

Zebrań, zjazdów, narad. Role się odmięły. Stało się to tak naturalnie! Teraz one organizują, zapraszają, decydują. Bawi nas to niezmiernie. Chwała się stworzeniem Koła S.M.O. Naradzamy się nad napisaniem książki o S.M.O., książki o dziejach pokolenia wyrwanego śmierci — oddanego światu.

Jedziemy do Nottingham, drugiego największego ośrodka Koła S.M.O. w Anglii („aby one też coś z Pani obecności u nas miały, Pani Komendantko“).

W drodze dnia 4 czerwca, Lodzia Kupczyńska-Skrzywanek ulega nieszczęśliwemu wypadkowi.

Podobno nie ginie w naturze. Żadne słowa, żadna myśl, żaden oddech serca. Tak też srebrny głosik nie zginął i nadal drga w przestworzach, trącając w struny naszych serc.

T. Z. Spychowska-Czarlińska

ŚP. ALEKSANDER BREGMAN

Śmierć redaktora Aleksandra Bregmana okryła żałobą przede wszystkim świat dziennikarski. Był bowiem od lat kilkudziesięciu najwybitniejszym jego przedstawicielem, wszechstronnym publicystą i znakomitym znawcą międzynarodowych problemów politycznych. I jak na rasowego dziennikarza przystało, zamiast siedzieć za biurkiem redakcyjnym, wolał — i to był jego żywioł — podróżować po szerokim świecie, był wszędzie tam, gdzie ważyły się wielkie problemy, by na miejscu, poprzez żywe kontakty z politykami i dziennikarzami świata całego ustalać, wywierać i badać fakty, zwłaszcza wówczas, gdy w grę wchodziły interesy polskie.

Nic przeto dziwnego, że po wielu latach pracy zawodowej zdobył sobie ogromne doświadczenie i rzadko spotykaną znajomość popartą gruntownymi studiami i szerokim czytaniem. Tak się ułożyło jego życie dziennikarskie, które rozpoczął przed wojną jako redaktor polityczny koncernu „Prasy Polskiej“ w Warszawie, że wcześniej, jak na młodego dziennikarza, znalazł się w świecie międzynarodowym, a mianowicie w Genewie, która wówczas była centralnym ośrodkiem polityki międzynarodowej. Tu bowiem radziła Liga Narodów i tu właśnie Aleksander Bregman zdobywał doświadczenie i nazwisko, które rychło znane było w szerokich kołach politycznych i międzynarodowych. Nie było więc przypadkiem, że właśnie na uniwersytecie w Genewie uzyskał Bregman tytuł doktora na podstawie pracy poświęconej stosunkom Polski z Ligą Narodów.

W czasie ostatniej wojny znalazł się Bregman w Anglii, gdzie z miejsca związał się z wydawnictwem „Dziennika Polskiego“, współpracując z nim do ostatnich chwil swego życia, czy to jako naczelny redaktor, czy też jako publicysta polityczny. Tych dwadzieścia przeszło lat, to nie tylko okres najtrudniejszy w jego życiu, zwłaszcza lata ostatnie, gdy choroba coraz częściej atakowała jego organizm, ale i okres najczynniejszej jego pracy. Niezliczona ilość artykułów rozsianych przede wszystkim w polskiej prasie emigracyjnej, z „Dziennikiem Polskim“ na czele, to dorobek ogromnej wagi. Aleksander Bregman był także współpracownikiem „Orła Białego“ — choć pisywał na naszych łamach raczej do-

rywczco, z uwagi na nawał pracy i zobowiązania wobec innych pism. Bregman pisywał także do różnych pism angielskich, na łamach których niejednokrotnie zabierał głos, broniąc interesów polskich. Jako polski dziennikarz emigracyjny miał zupełnie wyjątkowe stosunki w angielskim świecie dziennikarskim. Tuż przed śmiercią nawiązywał kontakty z prasą argentyńską.

Publicystyka Aleksandra Bregmana była wszechstronna, barwna, pisana językiem jasnym i zrozumiałym, zdania i myśli układały się logicznie, zwięźle, nie był to styl napuszony, jakiego często używają ci, którzy nie mają wiele do powiedzenia. I dlatego publicystyka Bregmana, czy to będą artykuły na aktualne tematy polityczne czy też jego książki, zajmuje w polskim piśmiennictwie politycznym poważne miejsce.

Spośród państw, którym poświęcał najwięcej miejsca i uwagi były Stany Zjednoczone, Francja, Rosja Sowiecka i Niemcy zachodnie. Naświetlane przez niego zagadnienia niemieckie wywoływały żywe echa polemiczne. Trwałym jego dorobkiem są przede wszystkim trzy książki: „Polska i nowa Europa“, następnie: „Najlepszy sojusznik Hitlera“ (na temat współpracy Hitlera ze Stalinem) i „Jak świat światem...“ (o stosunkach polsko-niemieckich). W ostatnich latach żywo interesował się sytuacją na Dalekim Wschodzie i stąd jego niemalże sensacyjna podróż do Wietnamu, Japonii, na Formozę i do Korei. Następnej wyprawy do Wietnamu i Australii już nie dożył.

Aleksander był także długoletnim prezesem Związku Dziennikarzy R.P. na emigracji.

Urodził się w Warszawie 14 sierpnia 1906 r. Zmarł 8 sierpnia br. w Londynie. Po śmierci odznaczony został przez gen. Andersa Krzyżem Oficerskim Polonia Restituta. Nabożeństwo żałobne odbyło się w kościele Brompton Oratory w Londynie. Wzięli w nim udział czołowi przedstawiciele życia politycznego, kulturalnego, społecznego i dziennikarskiego. Mszę św. żałobną odprawił o. Jerzy Mirecki, a modlitwę nad otwartą mogiłą odmówił ks. kan. Wróbel. Zmarłego żegnali red. Karol Zbyszewski w imieniu redakcji „Dziennika Polskiego“ i Z. Racięski w imieniu Związku Dziennikarzy.

Na ręce wdowy i syna oraz redakcji „Dziennika Polskiego“ jak również Związku Dziennikarzy R.P. składamy serdeczne wyrazy głębokiego współczucia.

REDAKCJA „ORŁA BIAŁEGO“

PODSTAWĄ ISTNIENIA PISMA
JEST REGULARNIE OPŁACANA
PRENUMERATA



Świat się śmieje

Zawsze jest powód do radości.

Pewien optymista, który umiał dostrzec dobre strony średniego wieku, tak pocieszał swojego przyjaciela zmartwionego tym, że miał już pięćdziesiątkę na karku: „Powinieneś się cieszyć; zostawiłeś za sobą czterdziestkę, która jest starością młodości, a zacząłeś pięćdziesiątkę, która jest młodością starości.

Tajemnica.

Czemu pan zawdzięcza tak późny wiek? — pytało pewnego stulatka. Temu, że urodziłem się tak dawno.

Spadochroniarz.

Do biura werbunkowego zgłasza się młody człowiek i oświadcza, że chciałby zapisać się na kurs spadochronowy. Dają mu odpowiedni formularz do wypełnienia, młodzieniec studiuje go przez chwilę, po czym pyta z pewnym wahaniem: „Ile skoków muszę wykonać, żeby otrzymać patent spadochroniarza?“ — „Wszystkie“.

Kino.

Dwoje starsuszków siedzi w pokoju, on czyta, ona szydełkuje. Nie mają radia, ani telewizji. „Wiesz — mówi ona — trzeba by jakoś przełamać tę monotonię naszego życia, może byśmy kiedy poszli do kina?“ On: „Przecież byliśmy w kinie“. — Tak, ale teraz kino jest dźwiękowe“.

Kobieta za kierownicą.

Po długiej rozmowie z żoną, mąż który zapatruje się bardzo sceptycznie na jej talent do prowadzenia samochodu, godzi się wreszcie, aby posłała na kurs. Zadowolona, że potrafiła przełamać jego opór, już następnego dnia wybiera się na pierwszą lekcję. Po dwu godzinach, stojący na schodach domu mąż dostrzega z ulgą powracającą żonę. W samochodzie siedzi instruktor,

siwy pan. „Dlaczego wybrałaś sobie takiego starszka na instruktora?“ Na to instruktor, który niechęć usłyszał to pytanie: „Panie, kiedy pańska żona wsiadała do samochodu miałem jeszcze czarne włosy“.

Rada.

Ubiór urzędnika pewnego biura pozostawia wiele do życzenia; marynarka poplamiona, spodnie jak harmonijka, koszula bez guzików. Speszony trochę tym nieszczególnym wyglądem pracownika, szef biura mówi do niego: „Nie znam pańskiej sytuacji rodzinnej, ale radzę panu albo się ożenić, albo się rozwieść“.

Ucieczka.

Dwu pacjentów szpitala wariatów postanawia uciec z zakładu. Nocą, zwiąawszy dwa prześcieradła zwiewają przez okno. Pierwszy z nich zaczyna zjeżdżać w dół, ale po chwili zjawia się z powrotem i mówi: „Za krótkie“. Wobec tego dowiązują jeszcze jedno prześcieradło. Znowu następuje próba zjechania, ale podobnie jak za pierwszym razem pierwszy amator ucieczki zjawia się zziębnięty znowu przy oknie. „Co się znowu stało?“ pyta towarzysz. — „Za długie“.

Perfumy.

Matka małej Zuzanny czując zbliżające się przeziębienie wlewa do szklanki z gorącą wodą dawkę whisky i wypija. Wieczorem, przy matczynym pocałunku na dobranoc, mała córeczka zauważa: „Używałaś dzisiaj perfum papy“.

Spóźnienie.

Anatol France, zaproszony kiedyś na kolację do domu bogatej hrabiny w Paryżu, przyszedł z półgodzinnym opóźnieniem i z wielkim zażenowaniem przeproszał panią domu, która z uśmiechem przyjęła do wiadomości usprawiedliwienie się pisarza. Po kolacji, kiedy goście

przechodzili do salonu, hrabina opierając się o ramię jednego z przyjaciół, powiedziała: Jaki sympatyczny ten France, tak się tłumaczył, że przyszedł za późno, a w rzeczywistości przyszedł za wcześniej; był bowiem proszony na przyszły tydzień.“

V. I. P.

Andrzej, który wrócił do Warszawy po miesięcznym pobycie w Anglii, opowiada przyjacielowi co widział i co robił. „Między innymi byłem przyjęty na prywatnej audjencji przez królową Elżbietę“. „Wiem o tym“ — odpowiada przyjaciel. „Skąd?“ — „Wspominała mi o tym w swoim ostatnim liście“.

Na właściwym miejscu.

Do koszar napłynęła nowa fala rekrutów. „Coście robili w cywilu?“ — pyta sierżant pierwszego z brzegu. „Pracowałem w sklepie konfekcyjnym“. „Dobrze, pójdziecie do magazynu mundurowego“. „A wy, co robiliście w cywilu?“ „Byłem drwalem“ — „Pójdziecie do stolarni“. Trzeci, tapicer z zawodu i przy tym jąkała, zapytany o zawód, próbuje odpowiedzieć: „ta ta ta... ta ta...“ „Doskonale“ — decyduje sierżant — przydzielam was do kompanii karabinów maszynowych“.

Kontrwywiad.

Kolega do kolegi z brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych: „Taki chaos teraz panuje u nas, że nawet szpiedzy rosyjscy nie orientują się o co chodzi.“

Maksyma.

Aforyzm Shirley Mac Laine, uważanej za jedną z dowcipniejszych aktorek amerykańskich: „Doświadczenie to jest wszystko, co zostaje kobiecie, gdy wszystko jest stracone“.

Połowa

Wielki komik francuski Tati, twierdzi: „Wierzmy mniej więcej w połowę tego, co nam mówią o naszych przyjaciółach, niestety, zawsze w tę gorszą połowę“.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Syrena“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, Editions ELKA S.A.R.L. c/c p. No. 5507-30 Centre Paris, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.);

W BELGII: J. Korab Bzozowska-Csáky, 19, Rue Amédée Lynen, apt. 67, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen, Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZACH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNI: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

przypisku pka Mateckiego. Nikt mnie do udziału w owej konferencji nie zapraszał, nikt mi o niej nawet nie wspominał. O zamiarze zwołania takiej konferencji dowiedziałem się dopiero z tekstu przemówienia gen. Sosnkowskiego na uroczystościach 3 maja 1953 roku w Manchester (zob. „Orzeł Biały“ z dnia 9 maja 1953 r.), ale wtedy było już po wszystkim. Także jednak i w mowie manchesterskiej nazwisko moje nie było wymienione. W ogóle w rozmowach z gen. Sosnkowskim w latach 1952—1954 w sprawie scalenia obozu niepodległościowego żadnego udziału nie brałem. Radę Polityczną w rozmowach tych reprezentowali pp. Tomasz Arciszewski i Jerzy Zdziechowski, także pp. Mieczysław Thugutt i Antoni Dargas, ale nie ja. Mogę tedy powiedzieć, że w przypisku do „Materiałów Historycznych“ znalazłem się jak Piłat w credo.

Winienem dodać, że — wbrew temu, co czytamy w przypisku pka Mateckiego — sytuacja polityczna uległa kompletnej zmianie nie wskutek podróży sekretarza stanu Foster Dullesa do Londynu, gdzie mu miano wyperswadować tzw. politykę wyzwolenia i spowodować jej zaniesanie, lecz znacznie wcześniej, bo już w dniu 5 stycznia 1953 r., kiedy to premier Churchill odwiedził prezydenta-elektę Eisenhowera w Ameryce. Wcale to zresztą nie przeszkodziło Foster Dullesowi wygłosić w dniu 18 kwietnia 1953 r. przemówienie, w którym oświadczył, że pokój oparty na status quo byłby złudzeniem (illusion) oraz że „niezmiernie ważną rzeczą byłoby wyjaśnienie narodom, będącym w niewoli, iż my (tj. Stany Zjednoczone) nie pogodźmy się z ich niewolą jako trwałym faktem historycznym“. Przypominając projekt uroczystej uchwały w tej sprawie, która miała być powzięta „łącznie przez Kongres i Prezydenta“, Foster Dulles podkreślił, że „choć projekt ten stanie się przedmiotem obrad dopiero w przyszłości (Congress has yet to act), to jednak można już dziś być pewnym, że Kongres faktycznie podzielił sformułowane w projekcie stanowisko Prezydenta“. Do uchwały takiej nigdy nie doszło, ale to doprawdy nie moja wina. Zwracam też uwagę, że tak mowa prezydenta Eisenhowera z dnia 16 kwietnia 1953 r., jak i mowa sekretarza stanu Foster Dullesa z dnia 18 kwietnia 1953 r., obie idące po linii „przywrócenia całkowitej niepodległości narodom Wschodniej Europy“ — miały miejsce już po rozbięciu się zamierzeń gen. Sosnkowskiego i jego planów konferencji całości polskiej emigracji politycznej. Jeszcze w dniu 30 grudnia 1955 r. prezydent Eisenhower wydał następującej treści oświadczenie: „Pokojuowe wyzwolenie ujarzmionych narodów Wschodniej Europy jest i pozostaje jednym z głównych celów amerykańskiej polityki zagranicznej“. Zaniechanie przez Stany Zjednoczone „polityki wyzwolenia“ nie wiąże się tedy z niepowodzeniem zamierzeń gen. Sosnkowskiego. Należy je przypisać innym, znacznie donioślejszym czynnikom — i umieścić znacznie później w czasie.

Fraszki

Natura ludzka

*Poślizgnięcie się przyjaciela
Zawsze nas szczerze rozwesela.*

Demokratyczna swoboda poglądów

*I tego wolę trzeba uszanować,
Któremu nie chce się pracować.*

Gwarantowany sposób

*Nasz wróg nieprzejednany
To ten, co czuje się zobowiązany.*

Myśl bigamisty

*Życie szalenie ma ułatwione
Ten, co ma tylko jedną żonę.*

RAWICZ

KRZYŻÓWKA NR 596/67

ZNACZENIE WYRAZÓW

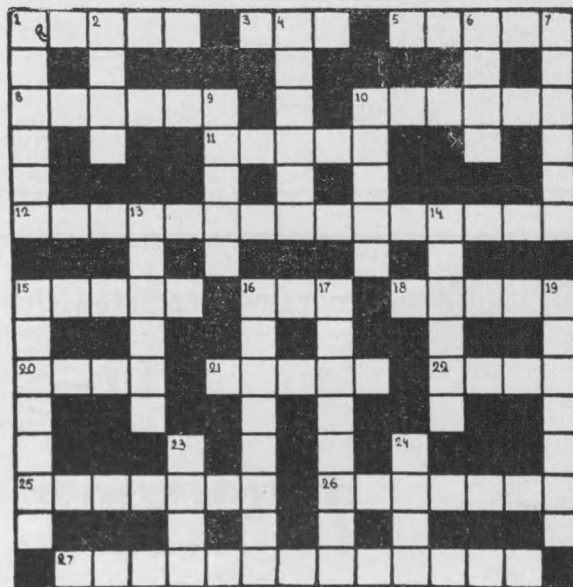
Poziome: 1) i 5) podejrzane negocjacje; 3) i 16) świat zabity deskami; 8) towarzyszy panice; 10) koń (wspak); 11) drzewo biblijne. 12) oko za oko, ząb za ząb (6, 2, 7); 15) zły duch rozsypał je w zbożu w nocy; 18) plon; 20) front przedmiotu; 21) Achilles wolał być parobkiem na ziemi niż tam panować; 22) urodzinowy jest oznaczony. 25) premier polski przed wojną; 26) zaprawdę!; 27) okres niepowodzeń (6, 7).

Pionowe: 1) Elias (wspak); 2) i 6) brudas; 4) jeden z trzech regimentarzy spod Piławiec; 7) rozporządzenia cesarskie (wspak); 9) ten na pewno widzi tylko siebie; 10) podarunek zmiennej pogody?; 13) może go sprawić nawet prosię?; 14) diabeł go włożył dla zmylenia? (l. mn.); 15) z Polaków pierwszy na jej skałę wdarł się Kochanowski; 16) „Matko skrzydlatych Miłości, ...trosk i radości, siadź na swój wóz uzłocony, białym łabędziem zwierzo-ny!“ (Jan Kochanowski); 17) od a do z;

„Materiały Historyczne“ ukazały się nakładem Gryf Publications Ltd., więc zwracam się do „Orla Białego“ jako do pisma zaprzyjaźnionego z tym domem wydawniczym, z prośbą o łaskawe zamieszczenie mego wyjaśnienia.

Łączę wyrazy uszanowania,

Adam Ciołkosz



19 nimi dzwonił, lecz nie w kościele; 23) rzeka na Wołyniu; 24) roślina lecznicza.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 595/67

Poziome: 1) i 5) tanecznicza, 3) i 16) skrzat, 8) Ardeny, 10) knajpa, 11) zator, 12) z motyką na słońce, 15) i 18) szambelani, 20) i 22) odaliski, 21) pasmo, 25) dobosze, 26) nagroda, 27) krakowski targ.

Pionowe: 1) trapez, 2) i 6) nadzieja, 4) koltun, 7) apasze, 9) skazy (wspak); 10) krasa, 13) tumult, 14) bielmo (wspak), 15) swobody, 16) wiertacz (wspak), 17) tymianek, 19) inicjał, 23) kosa (wspak), 24) agat.

KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY!

GRYF — KSIĘGARNIA S. P. K.
20, Queens Gate Terrace, London. S.W. 7. Tel. KNI 3500

p o l e c a dla córki
dla syna dwie znakomite książki:

Zygmunta Nowakowskiego

WIECZORY POD DĘBEM

Opowieść o naszej tysiącletniej przeszłości w formie błyskotliwej,
potocznej, pełnej humoru gawędy.

Cena: £ 2.2.0; \$ 3.00; Fr. 30.00

Józefy Mękarskiej

WĘDRÓWKA PO ZIEMIACH WSCHODNICH RZECZYPOSPOLITEJ

Przewodnik serdeczny po Wileńszczyźnie, Polesiu, Wołyniu, Podolu, Podkarpaciu.

„Przeczytałem ją ze wzruszeniem podziwiając też
pieczołowite, artystyczne wydanie“ — O. Halecki

Cena: 16/6; \$ 2.50; Fr. 15.00.

**OBIE KSIĄŻKI MOGA SŁUŻYĆ STARSZEJ MŁODZIEŻY JAKO POMOC W NAUCE
HISTORII I GEOGRAFII POLSKI.**

Generalne Przedstawicielstwo Instytutu Literackiego w Paryżu
na Wielką Brytanię
GRYF — KSIĘGARNIA S. P. K.
20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

ZESZYTY HISTORYCZNE

DOKUMENTY
PAMIĘTNIKI
WSPOMNIENIA

RECENZJE
POLEMIKI
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Ukazują się dwa razy do roku. Dotąd ukazało się 12 Zeszytów.
Cena pojedynczego zeszytu — 22 sh., 3 dol., 15 Fr.